

Sylwia Bies

FIKOJA

PRAWDA, KTÓRA ZABIJA...

Sylwia Bies

FIKCJA

Sylvia Bies

FIKCIJA



— / —
WYDAWNICTWO
VECTRA

Spis treści

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[PROLOG](#)

[CZĘŚĆ PIERWSZA](#)

[CZĘŚĆ DRUGA](#)

[CZĘŚĆ TRZECIA](#)

[EPILOG](#)

[Autorka](#)

Redakcja
Robert Ratajczak

Korekta
Natalia Jargieło

Fotografia na okładce
© lassedesignen – stock.adobe.com

© Copyright Sylwia Bies
© Wydawnictwo „Vectra”

Projekt okładki
Natalia Jargieło

Skład, łamanie, realizacja okładki
przygotowanie publikacji elektronicznej
Artur Kaczor, PUK KompART

Druk i oprawa
WZDZ Drukarnia Lega, Opole

ISBN 978-83-65950-39-0
(wydanie elektroniczne)

ISBN 978-83-65950-31-4
(wydanie papierowe)

Wydawca
Wydawnictwo „Vectra”
Czerwionka-Leszczyny 2020

www.arw-vectra.pl

Rodzicom
– *dziękuję, że nie pozwoliliście mi zgasnąć.*

PROLOG

Pani Aniela raz po raz zerkała na pognieciony kawałek papieru, na którym nieodwołalnie zapisany został na nią wyrok. Zamykała i znów otwierała oczy, jakby ten gest, niczym magiczne zaklęcie mógł sprawić, że ustawione w szeregu litery i cyfry zmienią szyk, a tym samym okaże się nieprawdą, że do końca zostało już tak niewiele. Na cud nie miała co liczyć. Przeszło trzydziestoletnie doświadczenie pracy z chorymi na nowotwory krwi nie pozostawiało jej żadnych złudzeń.

Właściwie nie było jej żal umierać. I tak przez większość czasu tkwiła samotnie w tym wielkim pustym domu. Odkąd przeszła na emeryturę, a Elka i Ala wyprowadzili się na swoje, wnuczki poszły do szkoły i to z rówieśnikami spotykały się chętniej niż ze starą babcią, straciła poczucie bycia potrzebną komukolwiek.

Szacując czas, jaki jej jeszcze pozostał, przypomniwała sobie ostatni list od Romana. Wiedziała, że nadszedł właściwy moment, by spełnić jego prośbę. Sięgnęła do najwyższej szuflady komody po kartkę z zapisanym numerem telefonu. Niepotrzebnie. Często powtarzała go w myślach aż wbił się w jej pamięć tak mocno, że palce intuicyjnie naciskały kolejne klawisze.

W słuchawce zabrzmiał pierwszy sygnał oczekiwania na połączenie. Nerwowo przełknęła ślinę i w napięciu oczekiwała na chwilę, gdy usłyszy głos siostrzeńca...

CZĘŚĆ PIERWSZA

1.

Dlaczego nikt nie uprzedził mnie, że *na zawsze* to w istocie będzie tak krótko, zbyt krótko... *Całe życie*, które mieliśmy spędzić razem skończyło się właśnie dzisiaj, w ten pogodny czerwcowy dzień, który mógłby być jednym z tych dni, gdy człowiek całym sobą krzyczy: *CHCE SIĘ ŻYĆ!* Nie chce się, bez Wojtka nie da się żyć. A przynajmniej ja nie potrafię.

Obok mnie na kanapie siedzi Kama i jak mantrę powtarza, że będzie dobrze. Nie wiem, czy próbuje okłamać samą siebie, czy po prostu bezwiednie powtarza to, co ludzie zwykli mówić osobom zrozpaczonym po śmierci kogoś bliskiego. Na sam dźwięk słowa *śmierć* przeszywa mnie chłód, tak namacalny, że zaczynam znów się trząść.

Kama przytula mnie i okrywa kocem. Kraciasty pled pachnie Wojtkiem, podobnie jak poduszka i każdy centymetr sześcienny naszego dwupokojowego mieszkania. Wszystkie moje myśli pachną Wojtkiem, a ta, że już nigdy go nie zobaczę, nagle wydaje się być zupełnie abstrakcyjna. Przecież mój mąż lada chwila tu wejdzie i powie, że ten wypadek to był tylko głupi żart, próba, taki mało śmieszny test na to, jak bardzo się kochamy. Ja na niego nakręcę, by nigdy więcej nie denerwował mnie i nie żartował w tak okrutny sposób, zwłaszcza teraz, kiedy spodziewam się dziecka.

Z odrętwienia wyrywa mnie dźwięk telefonu. Od teraz już zawsze będzie brzmiał złowieszczo, bezduszny posłaniec złych wiadomości... Dzwoni matka Wojtka i w kilku żołnierskich słowach, tonem nieznoszącym sprzeciwu, oznajmia, że samodzielnie zajmie się organizacją pogrzebu. Nawet nie pyta jak się czuję. Rozłącza się, nim wydobywający się z mojego gardła cichy pisk zdąży przerodzić się w histeryczny krzyk.

Pogrzeb. Wojtka. Mojego Wojtka. Wojtek nie żyje, a ja nawet nie pomyślałam, że trzeba wyprawić mu pogrzeb. Dobrze. Niech jego matka się

tym zajmie. Ja tymczasem zwinę się w kłębek, policzę do dziesięciu i też spróbuję umrzeć.

2.

– Kaja, obudź się, proszę. Jest już południe. Powinnaś coś zjeść. Dla dziecka – Kama potrząsa delikatnie moim ramieniem.

Słyszę jej głos. Spod półprzymkniętych powiek widzę niewyraźnie jej sylwetkę. To oznacza, że żyję. Nie umarłam. To jednak nie takie proste, a Wojtkowi jakoś się udało.

– Nie chcę.

– Kajuś, wiesz, że powinnaś...

Mam ochotę coś odburknąć, nakrzyczeć na Kamę, żeby dała mi spokój i się stąd wyniosła, ale w głębi serca czuję wdzięczność, że jest tu przy mnie i próbuje się mną zaopiekować. Oprócz niej nie mam nikogo. Rodzice i babcia nie żyją, z nikim więcej się nie przyjaźnię, teściową od dnia ślubu widziałam raptem kilka razy. Łzy znów napływają mi do oczu. Z nową siłą wracają do mnie ostatnie wydarzenia.

Jest coś nieodgadnionego w tym, że najtragiczniejsze dni naszego życia jesteśmy w stanie odtworzyć minuta po minucie, wszystkie te zupełnie nieistotne szczegóły, niczym niechciane tatuaże wryte zostają w ludzkim umyśle i pozostają tam już do końca. Jak stopklatki z upiornego filmu klasy B. Nie przypomnę sobie, co jadłam na śniadanie 14 marca 2014, w jaką sukienkę byłam ubrana na weselu koleżanki z podstawówki w 2015, ani jaką książkę czytałam w poprzednie Boże Narodzenie. Nigdy za to nie zapomnę jak przebiegał dzień śmierci mojego męża. Jestem przekonana, że nawet za kilkanaście lat będę w stanie odtworzyć go w pamięci minuta po minucie, uwzględniając każdy, najdrobniejszy nawet detal.

*

Obudziła mnie przyjemna myśl, że już piątek i nareszcie spędzę razem z Wojtkiem leniwe dwa dni. Może pojedziemy na piknik za miasto, pójdziemy na Grodzką na dobry obiad albo do kina, a może w ogóle nie wyjdziemy z łóżka i będziemy cały dzień objadać się czekoladą, zastanawiając się nad właściwym imieniem dla naszego syna, który

przyjdzie na świat jesienią. Wstałam, odsunęłam rolety, wzięłam szybki prysznic, a następnie zjadłam jogurt naturalny z płatkami owsianymi i świeżymi owocami, szczęśliwa, że poranne mdłości jakiś czas temu ustały i znów mogę cieszyć się smakiem ulubionych rzeczy. Zrobiłam sobie luźny koczek na czubku głowy i lekki makijaż, włożyłam kwiecistą sukienkę i pasujące do niej sandaalki. Zamknęłam za sobą mieszkanie i wybiegłam z klatki schodowej, pełna entuzjazmu, że już za kilka chwil zobaczę moją Kamę.

Z Kamilą Raczek poznałyśmy się na studiach. Obie wybrałyśmy bankowość i finanse na krakowskim Uniwersytecie Ekonomicznym. Ja bardziej ze względów pragmatycznych, babcia tyle razy powtarzała, żebym podjęła takie studia, po których ukończeniu będę miała szansę na stabilną pracę, zaś Kama od zawsze upatrywała swojego miejsca w świecie wielkich pieniędzy. Mierzyła wysoko – jej marzeniem było zostać dyrektorem oddziału banku, najlepiej w którejś z europejskich stolic. Tak też się stało, od trzech lat Kamila mieszkała i pracowała w Londynie, piastując tam wymarzone stanowisko. Nic dziwnego, bo była nie tylko przebojowa, odważna i zdeterminowana, ale też skrupulatnie pracowała na swój sukces. Była najlepsza w naszej grupie zajęciowej, zawsze świetnie przygotowana do egzaminów.

Wiele razy przeszło mi przez myśl, że to wprost niemożliwe, by ta rudowłosa piękność wybrała na swoją przyjaciółkę właśnie mnie – niegrzeszącą urodą szarą myszkę w zwyczajnych ciuchach, nieco zagubioną i nieśmiałą sierotą z prowincji.

Wbrew pozorom stanowiłyśmy bardzo zgrany duet. Na drugim roku wyprowadziłam się z pokoju w akademiku i zamieszkałyśmy razem w wynajmowanym mieszkaniu, opłacanym przez jej zamożnych rodziców. Wspólnie przygotowowałyśmy się do kolejnych sesji, razem przeżywałyśmy pierwsze dorosłe miłosne wzloty i upadki. To właśnie Kama była moim świadkiem na cichym i skromnym ślubie z Wojtkiem. Nie mogło być inaczej.

Chociaż od momentu, gdy ją poznałam, wiedziałam, że wybierze któregoś dnia karierę za granicą, serce mało mi nie pękło, kiedy w klimatycznej knajpce na Kazimierzu oznajmiła mi o wyjeździe do Londynu. Dotrzymała obietnicy o regularnych wizytach w kraju, przyjeżdżała do Krakowa przynajmniej dwa razy w roku.

Poprzedniej nocy samolot Kamy wylądował w Balicach i właśnie tego felernego dnia umówiliśmy się na kawę w naszej ulubionej kawiarni. Śmiałyśmy się, oglądałyśmy zdjęcia z ostatniego wyjazdu Kamy na Lazurowe Wybrzeże i moje wydruki z zesłotygodniowego USG, popijając karmelowe latte. Nie mogłyśmy się nagadać i nacieszyć swoim towarzystwem, kiedy nagle zadzwonił mój telefon. To Wojtek. Nie zdziwiło mnie, że jego imię pojawiło się na wyświetlaczu. Często w przerwie pomiędzy kolejnymi spotkaniami z klientami znajdował czas na krótką rozmowę. Pytał czy dobrze się czuję, czy ma zrobić jakieś zakupy w drodze z pracy albo po prostu... mówił, że mnie kocha.

– Jak mija dzień, skarbie? Właśnie jestem z Kamą i...

– Dzień dobry – obcy głos w słuchawce brutalnie przerwał mój radosny świergot. – Nazywam się Dariusz Wasiele. Dzwonię pod numer zapisany jako ICE, żeby poinformować, że właściciel tego telefonu uległ wypadkowi samochodowemu.

Zamarłam. Zdążyłam tylko wyszeptać przyjaciółce, że Wojtek miał wypadek, zanim komórka wyslizgnęła mi się z ręki. Kama złapała ją szybkim ruchem i natychmiast przyłożyła sobie do ucha:

– Przepraszam, jestem przyjaciółką Kai. Proszę powiedzieć, co się stało – poważna mina Kamy przeraziła mnie. Kiwała głową, zapisywała coś na papierowej serwetce i przytrzymując ramieniem telefon, jednocześnie uruchamiała nawigację na swoim iPhone.

Chwilę później siedziałyśmy w samochodzie, który Kama wypożyczyła na lotnisku. Gnałyśmy zatłoczonymi o tej porze Alejami w kierunku Zakopianki, gdzie zdaniem niejakiego Dariusza Wasieli zdarzył się wypadek. W mojej głowie przewijały się różne pytania... *Co się stało? Jak to się stało? Dlaczego Wojtek jechał w kierunku Rabki? Czy miał tam spotkać się z jakimś klientem? Czemu nie wspomniał o tym rano? W jakim jest stanie?* Na czele z najważniejszym: *czy mój mąż w ogóle żyje?*

Całą drogę milczałyśmy. Żadna z nas nie znajdowała odpowiednich na taką okoliczność słów. Już od Głogoczowa jeden pas jezdni był całkiem zakorkowany, drugim powoli udawało nam się poruszać do przodu. Denerwowałam się na korek uniemożliwiający nam szybkie dotarcie do miejsca zdarzenia, choć paradoksalnie to właśnie wypadek Wojtka musiał spowodować ten zator.

Kilka kilometrów przed Myślenicami nawigacja kobiecym głosem oznajmiła, że dotarliśmy do celu. I bez jej pomocy nie miałybyśmy wątpliwości, że jesteśmy niedaleko miejsca wypadku. Wokół migotały światła policyjnego radiowozu i karetki pogotowia, a jeden pas jezdnii zastawiał wóz strażacki. Kama dojechała do ostatniego pojazdu unieruchomionego w korku i w asyście nerwowego trąbienia klaksonów zjechała na pobocze. Nie czekając aż przyjaciółka wyłączy silnik, wysiadłam z auta, by jak szalona pędzić przed siebie w kierunku wraku służbowego samochodu Wojtka. Nadludzkim wysiłkiem przebiegłam jakieś 500 metrów dzielących mnie od miejsca tragedii.

Pojazd dosłownie wbił się w przydrożne drzewo. Zmiażdżona maska, rozbite szyby, wszędzie ślady krwi. Widok ten być może pozostanie mi przed oczami już na zawsze, a może moja podświadomość za jakiś czas wyprze go w sferę niebytu i wracać będzie tylko w sennych koszmarach. Wokół panował kompletny chaos, cały czas ktoś biegał, ktoś inny krzyczał, jacyś łowcy sensacji pstrykali zdjęcia telefonami komórkowymi.

Podeszłam do stojącego najbliżej policjanta i wysapałam, że jestem żoną ofiary i muszę jak najszybciej zobaczyć mojego męża. Kątem oka zarejestrowałam, jak do biegnącej za mną Kamy podchodzi jakiś otyły, spocony facet, pewnie ten Dariusz, który powiadomił nas o wypadku. Jakaś część mnie podpowiada, że go nie lubię, ale taki los zazwyczaj spotyka tych, co przynoszą złe wiadomości.

Następne minuty pamiętam jak przez mgłę. Głos tego lekarza, który mówi jak bardzo mu przykro. Pełne współczucia oczy policjantki, która instruuje mnie jak załatwić formalności z odholowaniem rozbitego samochodu. Przerażoną twarz Kamy, która pierwszy raz w życiu nie ma gotowego scenariusza na to, jaki powinien być jej dalszy krok. Mój krzyk, który echem odbija się od wzgórz.

3.

– Czy ktoś ma ochotę na coś do picia? – Kama zgrabnie przejmuje rolę gospodyni i jestem jej za to ogromnie wdzięczna.

Siadamy przy niewielkim stole. Ja, Kama, moja teściowa i szwagier. Jakimś cudem udało mi się przekonać matkę Wojtka, żeby nie organizowała wystawnej stypy. Wiem, że pewnie było jej to nie w smak, *co ludzie*

powiedzą i tak dalej, ale ku mojemu zdziwieniu, nawet nie próbowała przekonać mnie, bym zmieniła zdanie i zgodziła się chociaż na obiad w eleganckiej restauracji.

Nienawidzę styp, przerobiłam ich w życiu już kilka. Żałobnicy, którzy chwilę wcześniej zalewali się łzami na widok trumny spuszczonej w głąb ziemi i spieszyli z bardziej lub mniej szczerymi kondolencjami do najbliższych zmarłego, nad talerzem gorącego rosołu zaczynają rozprawiać nad smakowymi walorami tejże zupy. Kiedy na stół wjeżdża kotlet, rozmowy stają się coraz śmielsze. *Co u Ciebie słychać, Krysiu? Ależ ten Wasz Marcinek wyrósł! Co tam u Mariana, jak w pracy? Widziałam na Facebooku, że byliście na Majorce. All inclusive, czy tylko HB?* Na tym etapie ktoś jeszcze czasem reflektuje się, że wypada uczcić pamięć zmarłego chociażby dygresją *dobry był z niego człowiek* albo *przynajmniej nie będzie już cierpieć*. Poziom żenady sięga zenitu, kiedy kelner przynosi butelkę wódki. Wszelkie konwenanse idą w zapomnienie, impreza rozkręca się na całego. Prawie nikt już nie pamięta, z jakiego powodu znalazł się w tym miejscu: imieniny, jubileusz, chrzciny czy stypa.

Wojtek sobie na to nie zasłużył. Za nic nie pozwoliłabym, by z jego ostatniej drogi zrobiono podobny cyrk. Śmierć najbliższego mi człowieka to nie pretekst do darmowego napitku dla dawno niewidzianych wujków i źródłem nowych plotek dla ich znudzonych własnym życiem żon.

Kamila krząta się w małej kuchni, wlewa wodę do czajnika, z zawieszanej nad zlewem szafki wyciąga kubki i wrzuca do nich torebki owocowej herbaty. Niezastąpiona Kama. W całej tej koszarnej sytuacji jej przyjazd do Polski w czasie, gdy zginął Wojtek, to naprawdę pomyślny zbieg okoliczności. Wzięła na siebie bez wahania wszystkie przykre obowiązki, na wypełnienie których ja nie znalazłabym siły. Najbardziej wdzięczna jestem jej za leki uspokajające. Dalsza kuzynka Kamy, kończąca właśnie specjalizację z psychiatrii, przepisała mi pigułki, które uśmierzają ból psychiczny i podobno nie powinny zaszkodzić mojemu synowi.

Szczerze mówiąc, w tym momencie jest mi wszystko jedno. Wcale nie zależy mi na utrzymaniu ciąży, bez Wojtka wszystko straciło sens. Gotowa byłabym połknąć cokolwiek, nie zważając na ewentualne konsekwencje, by tylko choć przez chwilę przestać czuć. Nie byłabym jednak w stanie nawet zebrać się do lekarza, nie mówiąc już o konieczności opowiedzenia obcemu człowiekowi w kitlu o tym, co wydarzyło się cztery dni temu.

Dzięki pigułkom przyniesionym przez Kamę udało mi się jakoś przetrwać ostatnie dni i noce. Choć właściwszym byłoby raczej słowo *przespać*. Dzisiejszy pogrzeb Wojtka też był jak niewyraźny sen. Otumaniony umysł nie zarejestrował zbyt wielu szczegółów. Wiem, że na cmentarzu nie zgromadziło się szczególnie dużo osób. Wojtek nie miał zbyt licznej rodziny, widziałam zbitych w grupę jego kolegów z pracy i najbliższych znajomych ze studiów. Oprócz nich kilka zupełnie obcych mi osób, być może nawet przypadkowych gapiów. W końcu nie codziennie chowa się trzydziestolatka, przed którym życie stało otworem. Dziś już tylko głębokim otworem w mokrej ziemi. Mszę pogrzebową odprawił chyba ten sam ksiądz, który udzielał nam ślubu, a może to tylko moje mylne wrażenie. Nigdy nie miałam zbyt dobrej pamięci do twarzy.

Matka i brat Wojtka z wielką godnością przyjmowali kondolencje, a ja, podtrzymywana pod ramię przez Kamę, stałam kilka metrów dalej i pustym wzorkiem wpatrywałam się w miejsce wiecznego odpoczynku mojego męża. Zapewne dla kogoś niezaznajomionego z sytuacją, wyglądałam bardziej jak przechodzień, który zaciekawiony przystanął na chwilę, aniżeli młoda wdowa. Na cmentarzu obecna byłam tylko ciałem, moje serce zostało tam, przy nim, w dębowej trumnie, wybranej i opłaconej przez jego matkę.

A teraz, we czworo, siedzimy przy stole i milczymy. Skoro nawet Kama nie potrafi podjąć jakiegokolwiek tematu, by przerwać tę krępującą ciszę, ja nie zamierzam próbować. Myślę, co tak naprawdę wiem o najbliższych mojego męża. Teść zmarł niemal trzy lata temu, półtora roku po naszym ślubie. Wojtek był z nim bardzo związany, więc śmierć ojca po kilkumiesięcznej walce z rakiem trzustki, okazała się ogromnym ciosem. Taka tragedia często spaja rodzinę opłakującą odejście bliskiej osoby, jednak w tym przypadku było zupełnie inaczej. I tak chłodne relacje Wojtka z matką rozluźniły się jeszcze bardziej, a Filip już następnego dnia po pogrzebie wrócił do Berlina, gdzie studiował i pracował.

Prawda jest taka, że to dla mnie zupełnie obcy ludzie. Nigdy nie odwiedzaliśmy się na rodzinnych obiadach, nie umawialiśmy na wspólne wyjazdy, a o mojej ciąży Wojtek poinformował matkę telefonicznie, mimo że mieszkaliśmy na dwóch krańcach tego samego miasta. Szwagra widziałam dziś czwarty, może piąty raz w życiu. O ile z teściową zdarzyło mi się zamienić od czasu do czasu kilka zdań, nie byłam w stanie

przypomnieć sobie dłuższej rozmowy z Filipem. Był skryty i cichy, a w jego spojrzeniu kryło się coś tajemniczego. Mogłam przypuszczać, że gdyby nie moja ciąża, pewnie już nigdy więcej byśmy się nie spotkali. Jeżeli mój syn się urodzi, będę musiała utrzymywać te iluzoryczne więzi z jego babcią i wujkiem. Poza mną są jego jedyną rodziną, żywym wspomnieniem ojca, którego nie będzie dane mu poznać.

Nagle czuję się bardzo zmęczona. Nie mam siły siedzieć nad zimną już herbatą i nadal trzymać fason. Mam ochotę położyć się i wypłakać w poduszkę ten cały nagromadzony przez ostatnie dni ból. Chyba leki przestają działać. Nie zamierzam łykać już dzisiaj kolejnej tabletki, nie chcę więcej sztucznie hamować łez, tęsknoty i tego dojmującego poczucia pustki. Przepraszam wszystkich i usprawiedliwiając się bólem głowy, wychodzę do drugiego pokoju i zamykam za sobą drzwi.

Płacę bezgłośnie, bo nie chcę, żeby ktokolwiek z nich wparował tutaj z nic nie wartymi słowami pocieszenia. Dobrze wiem, że teraz ludzie będą sobie uzurpować prawo do nieustannego powtarzania mi: *jesteś jeszcze młoda, masz dla kogo żyć, ułożysz sobie na nowo życie, Wojtek chciałby, żebyś żyła normalnie*, a ci bardziej egzaltowani wysilą się na: *pamiętaj, że wiele najpiękniejszych chwil wciąż jest przed tobą* albo *on opiekuje się tobą z nieba*. Nie wiem, czy niebo w ogóle istnieje. Świetnie zdaję sobie za to sprawę z realnego wymiaru piekła, bo doświadczam go tutaj, na ziemi.

Nawet nie wiem, kiedy udało mi się zasnąć. Kama musiała w międzyczasie do mnie zajrzeć bo jestem równo przykryta kocem, a drzwi do pokoju są uchylone. Nie mam pojęcia ile czasu upłynęło, ale mam nadzieję, że wystarczająco długo, by matka i brat Wojtka zdążyli już opuścić mieszkanie. Wsłuchuję się w pozorną ciszę i wtedy dobiegają mnie szepty dochodzące z drugiego pokoju. Rozpoznaję głosy Kamy i teściowej, ale nie jestem w stanie wyodrębnić żadnych słów. I wtedy nadchodzi kolejna fala zbawiennego snu.

Kiedy się budzę, za oknem jest już zupełnie ciemno, a na brzegu łóżka siedzi Kamila i głaszcze mnie po głowie. Zaczerwienione oczy i smugi tuszu pod oczami wyraźnie wskazują, że też przed chwilą płakała. Kiedy orientuje się, że wpatruję się w jej twarz, mówi szeptem:

– Śpij Kajka, śpij. To był dla nas wszystkich trudny dzień...

Próbuję zasnąć, ale przed oczami przewijają mi się sceny z małżeńskiego życia. Nie rozumiem, dlaczego obraz zatrzymuje się na

wspomnieniu dnia, kiedy Wojtek postanowił przedstawić mnie rodzicom. Doskonale pamiętam serdeczny uścisk jego ojca oraz wyciągniętą w moim kierunku lodowatą dłoń Zofii Tomczyk. Kiedy podaję jej swoją ze słowami *Kaja, miło mi Panią poznać*, w odpowiedzi słyszę tylko: *Phi... Kaja, Kaja. Cóż to za dziwaczne imię... Ani tego zdrobnić, ani nic.*

Ojciec Wojtka próbuje to obrócić w żart, ale już wtedy wiedziałam, że bynajmniej nie z powodu imienia nie przypadłam tej kobiecie do gustu.

4.

Kama tymczasowo wprowadziła się do mnie. Mam wyrzuty sumienia, że zniszczyłam jej tak długo wyczekiwany urlop w Polsce. Miała spotykać się ze znajomymi, imprezować, pojechać do Kołobrzegu na festiwal muzyczny, a zamiast tego tkwi w mieszkaniu, gotując obiady wiecznie zapłakanej przyjaciółce. Tak bardzo chciałabym umieć okazać jej wdzięczność, powiedzieć, że doceniam absolutnie każdą, najdrobniejszą nawet rzecz, jaką dla mnie robi, lecz nie potrafię. Zdaję sobie sprawę jak bardzo jest to irracjonalne, ale czuję, że z każdym kolejnym dniem narasta we mnie niczym nieuzasadniona agresja wobec niej.

Podczas kolejnej z niekończących się prób nakłonienia mnie do jedzenia, wybucham:

– Kobieto, odwal się ode mnie. Zajmij się swoim życiem, a mi daj wreszcie święty spokój. Kto w ogóle cię tutaj zapraszał?

Widzę jak w kącikach oczu zbierają jej się łzy. Mam ochotę wtulić się w nią, podziękować i przeprosić za ten chamski warkot, ale robię coś zupełnie innego. Wpadam w dziką furję, zrzucam talerz z nietkniętym nawet spaghetti, wrzeszcząc:

– No i czego ryczysz?

– Ale...

– No co? Może jeszcze mi powiesz, że wiesz co czuję. Gównu wiesz. Nigdy nikogo nie straciłaś, jesteś dzieckiem szczęścia. Pieprzona Matka Teresa z Londynu. Siedzisz tu, gapisz się na mnie i zatruwasz mi życie tą swoją udawaną troską, bo dzięki temu możesz poczuć się lepiej. Wrócisz do Anglii i będziesz mogła opowiedzieć swoim wymuskany koleżankom, jaka jesteś szlachetna. Nie potrzebuję twojej litości. Chcę być sama!

Widzę, że przyjaciółka jest bliska tego, by przestać hamować wzbierający już od jakiegoś czasu gniew i nagadać mi od niewdzięczników. Tak pewnie byłoby o wiele łatwiej, zaczęłybyśmy się kłócić, rzucać okrutne słowa, których żadną siłą nie można by już cofnąć. Wolałabym usłyszeć od Kamy, że ma mnie dość, łatwiejsza do zniesienia byłaby jej wyartykułowana złość niż to pełne godności milczenie.

Nigdy nie przyznam się do tego głośno, ale jestem pełna podziwu, gdy Kamila mimo wszystko zachowuje spokój i bez słowa nalewa wodę do pustej butelki, żeby podlać kwiaty. A właściwie to, co z nich zostało. Gdzieś mam jakieś badyle, wszystko mam gdzieś. Chcę po prostu zostać sama i w spokoju zakończyć tę nędzną imitację życia.

Kiedy Kama zasypia, wertuję Internet, przeczesując fora i strony poświęcone tematyce samobójstwa. Wniosek jest tylko jeden: niestety nie istnieje żaden stuprocentowo skuteczny, szybki i bezbolesny sposób zabicia się. Za najbardziej pewne podobno uznaje się powieszenie bądź rzucenie pod pociąg. Jestem przekonana, że na to nie wystarczy mi odwagi. Najchętniej połknęłabym magiczną pigułkę, dzięki której nie obudziłabym się nigdy więcej. Mieszanka leków i alkoholu? Podcięcie żył? Skok z mostu do Wisły?

Moje życie skończyło się wraz z chwilą, gdy serce Wojtka zabiło po raz ostatni. Nawet jeżeli nie ma żadnego *potem*, jeśli śmierć jest kresem wszystkiego i więcej nie spotkamy się w jakichś *zaświatach*, sama nie chcę, nie potrafię już żyć, a jedyne, czego naprawdę pragnę, to umrzeć. Rzuciłabym się w tę nieznaną otchłań bez zawahania, gdybym miała pewność, że się uda.

Najmocniej przeraża mnie wizja nieudanego samobójstwa. Ciarki przechodzą mi po plecach na samą myśl, że mogłabym skończyć jak roślina: uwięziona w bezwładnym ciele, niemogąca wydusić choćby słowa, bez szans na kolejną próbę. Dopóki mam sprawne ręce, nogi i umysł, muszę wszystko dokładnie zaplanować i przemyśleć, nie mogę pozwolić sobie na pochopny ruch, który zaprowadziłby mnie prosto do psychiatryka albo na intensywną terapię, a nie do grobu.

Pragnienie śmierci staje się moją obsesją. Snucie planów na temat możliwych scenariuszy zakończenia tego niewyobrażalnego cierpienia paradoksalnie daje mi poczucie ulgi, uspokaja mnie. Po odstawieniu leków udaje mi się zasnąć tylko dzięki myślom o śmierci, które stały się swoistą

kołysanką. Zdaję sobie sprawę, że muszę dopracować plan w najdrobniejszych szczegółach, bowiem debiutu w roli samobójczyni nie będzie poprzedzać żadna próba generalna.

Pod skórą czuję, że Kama w jakiś sposób przejrzała moje myśli i dlatego stara się nie zostawiać mnie bez nadzoru zbyt długo. Nie mówi tego na głos, ale obawiam się, że zastanawia się nad rezygnacją ze zbliżającego się wielkimi krokami powrotu do Londynu ze względu na to, co dzieje się w moim życiu. Życiu? Właściwszym będzie powiedzieć: tym, co z niego pozostało.

Nie mogę dopuścić do tego, by Kama zrezygnowała ze swoich planów, a tym samym pokrzyżowała moje. Muszę uśpić jej czujność, przekonać, że dam sobie radę, zresztą nie pierwszy raz tracę kogoś bliskiego i podnoszę się z kolan. Tym razem już się nie podniosę, ale wiem to tylko ja. Ona nie musi.

Z tego, że na świecie nie ma ani równowagi, ani sprawiedliwości, zdaję sobie sprawę już od dawna, nie jestem przecież naiwnym dzieckiem. Nie mam pojęcia co lub kto decyduje o przydziale nieszczęść i strat dla danej jednostki ludzkiej, ale czuję się w pewnym sensie jakimś anty-wybrańcem losu. Ciągłe kogoś tracę, a gdy wydawać by się mogło, że nareszcie nabieram wiatru w żagle i zaczynają się dla mnie tłuste lata, znów śmierć bezczelnie odbiera mi całą nadzieję.

Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miałam dwa lata. Mimo że ich nie pamiętam, całe życie tęskniłam za samym faktem posiadania mamy i taty. Śmierć rodziców to dla każdego dziecka niewyobrazalna tragedia, ale w związku z tym, że nigdy świadomie nie doświadczyłam rodzicielskiej miłości, przedmiotem mojej tęsknoty nie były realne postacie, a raczej ich abstrakcyjne wyobrażenie. Tak wczesna strata rodziców to swego rodzaju błogosławieństwo. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal – tak zawsze to sobie tłumaczyłam. I chyba dzięki temu całkiem nieźle radziłam sobie z faktem bycia sierotą.

Babcia Stasia była moją nagrodą pocieszenia za ten niezbyt udany życiowy start. Jej zaangażowanie w moje wychowanie było godne podziwu. Robiła wszystko, co w jej mocy, bym nigdy nie czuła się gorsza od dzieci dorastających w pełnych rodzinach. Poświęciła mi cały swój czas i uwagę, a kiedy zdrowie zaczęło odmawiać posłuszeństwa, sama zaproponowała, że zamieszka w domu opieki, a ja będę mogła spokojnie kontynuować studia.

Początkowo nie chciałam się na to zgodzić, ostatecznie to właśnie Wojtek przekonał mnie, iż decyzja babci jest przejawem bezgranicznej miłości i troski o przyszłość jedynej wnuczki. Odwiedzałam ją w każdy weekend i widziałam wyraźnie, jak z tygodnia na tydzień gaśnie w niej życie. I chociaż jej śmierć była dla mnie ogromnym ciosem, zdecydowanie większym niż strata rodziców, których tak naprawdę nie znałam, to mogłam się na nią choć trochę przygotować. Kiedy umiera starsza, schorowana kobieta, nie kłóci się to z porządkiem świata, chociaż i tak jest niezwykle bolesne.

Gdy odchodziła moja ukochana babcia, był przy mnie Wojtek. Wsparcie narzeczonego pomogło mi uporać się ze stratą. Miłość Wojtka pozwoliła mi uwierzyć, że jestem w stanie nie tylko poradzić sobie z brakiem jedynej krewnej, ale też z optymizmem i nadzieją spojrzeć w przyszłość. Nie byłam sama.

Nagłego i niespodziewanego odejścia Wojtka nie potrafię objąć rozumem. Tragiczna śmierć młodego małżonka, przyszłego ojca, zdrowego jak ryba trzydziestolatka, przeczy wszelkim prawom logiki. Kiedy serce Wojtka przestało bić, po raz pierwszy w życiu poczułam, że i mnie brakuje oddechu. Minęło kilka dni, a ja nadal nie jestem w stanie nabrać w płuca powietrza. Bez niego u boku i tak umieram, więc zamierzam tylko przyspieszyć to, co i tak nieodwołalne.

Któregoś wieczoru zmuszam się do przygotowania kolacji. Proszę Kamę, żeby wzięła relaksującą kąpiel i pozwoliła, żebym chociaż ten jeden raz to ja dla odmiany mogła zaopiekować się nią. Spogląda na mnie niepewnie, nie wiedząc, czy cieszyć się z nagłej poprawy nastroju, czy wręcz przeciwnie – odczytać to jako niepokojący sygnał.

– Nie potnę się, kiedy będziesz w wannie. Słowo harcerza – unoszę wskazujący i środkowy palec do góry, siląc się przy tym na uśmiech.

Pół godziny później siedzimy razem na kanapie, jemy lekko przypalony ryż, gapiąc się bezmyślnie w telewizor. Wiem, że lepszego momentu, by wybadać Kamę co do jej dalszych planów już nie będzie. Muszę zostać zupełnie sama, by bez wyrzutów sumienia odebrać sobie życie. Nie zamierzam nikogo krzywdzić. Nie chciałabym narażać Kamy na ryzyko znalezienia moich zwłok, poczucie winy i wyrzucanie samej sobie, że mnie nie upilnowała. Muszę zrobić wszystko, żeby wróciła do swojego poukładanego życia w Wielkiej Brytanii i dopiero wtedy pomyśleć o sobie.

Trącam przyjaciółkę łokciem i mówię:

– Wiem, że dzisiejsza kolacja nie jest popisem na miarę masterchefa, ale chciałam w ten sposób podziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłaś od kiedy... No wiesz...

– Nie musisz dziękować, przecież to normalne. Przecież ty zachowałabyś się tak samo, gdyby mnie spotkało nieszczęście. Możesz i zawsze będziesz mogła na mnie liczyć – odpowiada, łapiąc mnie za rękę.

– Wiem. Zdaję sobie sprawę, że bywałam nieznośna. To wszystko mnie przerosło – wypowiadam te słowa i reflektuję się nagle, by nie brzmieć zbyt rozpaczliwie. Chwytam się za delikatnie wypukły brzuch i kontynuuję. – Za kilka miesięcy będę mamą. Muszę wziąć się w garść. Wracam do normalnego życia.

Kama nie bardzo wie jak powinna zareagować na moją deklarację. Na jej twarzy maluje się poczucie ulgi, ale w oczach widzę jednocześnie strach i niedowierzenie. Zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, mój głos znów przerywa ciszę:

– Ty masz swoje sprawy, ja też muszę zacząć wszystko układać. Wiem, że twój urlop powoli dobiega końca i sama nie wiesz, co teraz zrobić. Czujesz się zobowiązana mną zająć, choć powinnaś niedługo wrócić do pracy. Kama, nie możesz zrezygnować z kariery w Londynie. Jeśli zostaniesz w Polsce, nigdy nie będę mieć wystarczającej motywacji do ogarnięcia swojego życia. Dlatego proszę cię, wracaj do Anglii zgodnie z planem.

– Ale jesteś pewna, że sobie poradzisz?

– Ja nie mam innego wyjścia. Muszę sobie poradzić... – znów teatralnie łapię się za brzuch. – Dla niego.

Mam nadzieję, że udało mi się przekonać Kamę. Każdy z nas w głębi serca jest egoistą i dąży do osobistej wygody. Liczę na to, że i u mojej przyjaciółki ta egocentryczna część natury wygra nad świeżo odkrytym altruizmem. Na najbliższe dni muszę przykleić sztuczny uśmiech do twarzy i radośnie szczebiotać na temat cudu macierzyństwa, jaki wkrótce stanie się moim udziałem. Wtedy Kama z poczuciem dobrze spełnionej misji wsiądzie na pokład samolotu, a ja nareszcie się zabiję.

Od pogrzebu Wojtka minęły trzy tygodnie. Dwadzieścia jeden podobnych do siebie, bezbarwnych dni. Godziny, minuty i sekundy przepełnione bezbrzeżnym smutkiem i tęsknotą. Mieszkanie wygląda tak, jakby nadal trwało w oczekiwaniu na jego powrót – na biurku pod oknem leżą niedbale rzucone umowy kredytowe, nad którymi pracował wieczór przed śmiercią, z wiecznie niedomkniętej szuflady wystają skarpety w szkocką kratę, a na lodówce nadal wisi sporządzona w pośpiechu lista spraw do załatwienia w tym miesiącu.

Tak trudno mi uwierzyć, że Wojtek już nie zapuka do drzwi, nie stanie w progu. Już nigdy nie zdenerwuję się, że znów zapomniał kluczy, a on nie rozbroi mnie wtedy uśmiechem. Teraz uśmiechać będzie się do mnie tylko z naszych ślubnych zdjęć, zawieszonych na ścianie w przedpokoju.

Nagle czuję, że duszę się w tym mieszkaniu, przywołującym setki wspomnień na sekundę. Obrazy, które miały być ukojeniem i radosnym promieniem rozświetlającym naszą wspólną starość, przytłaczają mnie i potęgują poczucie osamotnienia. Postanawiam wyjść na zewnątrz, odetchnąć rytmem wielkiego miasta, wtopić się w tłum.

Nie zwracam uwagi na to jak wyglądam, nie ma znaczenia co mam na sobie. Liczy się tylko to, by jak najszybciej zaczerpnąć powietrza, zamknąć drzwi i anonimowo snuć się bez celu ulicami Krakowa. Byłe dalej od wszystkiego, co wiąże się ze wspomnieniem naszego szczęśliwego życia.

Wybiegam na ulicę i przez kilka minut pędzę przed siebie. Dla mijających mnie przechodniów wyglądam pewnie, jakbym przed czymś lub przed kimś uciekała. Poniekąd to prawda. Uciekam jednocześnie przed swoją przeszłością i niepewną przyszłością, przed samotnością, przed odpowiedzialnością za decyzję, jaką lada dzień zamierzam podjąć.

Kama, przeprowadziwszy wcześniej kilka poważnych rozmów ze mną, po wysłaniu mnie na spotkanie z psychologiem i opłaceniu trzech sesji na skypie ze znanym ze śniadaniówek (i potwornie drogim) terapeutą drugo- i trzeciologicznych gwiazd, dała się wreszcie przekonać do powrotu do Londynu. Na razie na próbę kilka dni temu wyprowadziła się ode mnie i zamieszkała u rodziców, żebym mogła przekonać się, czy na pewno dam sobie radę bez jej pomocy.

Chociaż jestem emocjonalnym wrakiem, w towarzystwie przyjaciółki oraz podczas telefonicznych rozmów udaje mi się zachować pozory. Zapewniam ją, że nadal łykam pigułki przepisane przez jej kuzynkę i nie

pozwalam, by przygnębienie mną zawładnęło. Kiedy któregoś dnia przyniosła torbę ubranek dla mojego synka, ścisnęło mnie w gardle na myśl, że przecież on nigdy się nie urodzi. Podziękowałam jednak i ze sztucznym entuzjazmem przejrzałam maleńkie śpioszki, skarpeteczki i kaftaniki.

– Kiedy przyjadę następnym razem maluszek będzie już na świecie – zawołała Kama. – Ciocia będzie go nosić, tulić i śpiewać kołysanki.

– Taaa... – przytaknęłam, składając w kostkę niebieski pajacyk w dinozaury.

I wtedy Kamila powiedziała coś, co bardzo mnie zabolalo. Gdyby nie to, że musiałam przy niej bardzo ważyć swoje słowa i reakcje, gotowa byłam uderzyć ją w twarz i wykrzyknąć, że zwyczajnie zazdrości mi cudownego męża, podczas gdy ona wciąż musi zadowalać się przelotnymi romansami, bo jak widać żaden z jej dotychczasowych partnerów nie był skłonny do stworzenia z nią stałego związku.

– Wiesz Kajka, cieszę się, że zrozumiałaś, że naprawdę masz teraz dla kogo żyć. Twój synek będzie najważniejszą mężczyzną w twoim życiu i już nigdy nie będziesz sama. On cię nie zrani i nie opuści. Wojtek... Wiem, że cierpisz i tęsknisz za nim, ale nie ma ideałów. Prędzej czy później pewnie by cię skrzywdził... Nie od dziś wiadomo, że facetom nie można ufać na sto procent.

– Mhm – mruknięłam tylko, choć wszystko we mnie buzowało. Co ona, do cholery, insynuuje?

Chwilę później Kama chyba zreflektowała się, że mogły dotknąć mnie jej słowa, bo nagle zapadła między nami niezręczna cisza. W milczeniu pomogła mi schować przyniesione ubranka do komody, pożegnała się i na odchodne jeszcze raz zapewniła, jak bardzo cieszą ją moje próby powrotu do normalności.

Teraz przemierzam ulice mojego miasta, ale to w czym upatrywałam nadziei na choćby chwilową ulgę od wspomnień, które bołą, okazuje się być źródłem jeszcze większej udręki. Mijane witryny sklepów, kawiarniane stoliki, muzyka sącząca się przez otwarte okno przejeżdżającego samochodu – zdaje się, że nie ma w Krakowie choćby jednego miejsca, które nie kojarzyłoby się w jakiś sposób z Wojtkiem. Wszędzie go widzę, słyszę, czuję.

Przystanek autobusowy – stąd odbierał mnie co wieczór, gdy wracałam od babci ze szpitala w jej dni przedostatnie. Osiedlowa Żabka – tu wpadaliśmy na szybkie zakupy. Kafejka na Grodzkiej – miejsce naszej pierwszej randki. Kino Kijów – sobotnie seanse, bo Wojtek uwielbiał polskie i francuskie komedie, obowiązkowo na dużym ekranie. Planty – spacerzy bez pośpiechu. Bulwary wiślane – rowerowe przejażdżki w pogodne, letnie dni.

Od nadmiaru bodźców zaczyna kręcić mi się w głowie. Do oczu napływają mi łzy. Nagle uświadamiam sobie, że nie byłam na cmentarzu od dnia pogrzebu. Przez trzy tygodnie nie odwiedziłam mojego najukochańszego, najdroższego Wojtusia. Co ze mnie za żona? Choć zdaję sobie sprawę jak absurdalnie to brzmi, zapomniałam, że ciało Wojtka znajduje się na cmentarzu. Tak mocno doskwiera mi jego nieobecność, świadomość jego odejścia już na zawsze sprawiła, że zapomniałam o możliwości odwiedzenia jego grobu. To odkrycie wywołuje we mnie histeryczny śmiech. Wyglądam jak szaleniec, kiedy stoję zapłakana na chodniku, a dźwięk, jaki z siebie wydaję, równie dobrze wyrażać może bezbrzeżną rozpacz, jak i wariacki rechot.

Mam to wszystko gdzieś. Nie zważając, że do przejścia jest ponad pięć kilometrów, ochoczo ruszam przed siebie. Jak tonący brzytwy, ja czepiam się myśli o ukojeniu, jakie zapewne spłynie na mnie nad grobem Wojtka. Jakimś cudem mój rozszalały od rozpaczyny umysł pozwala mi odetchnąć, koncentruję się wyłącznie na kolejnych odcinkach drogi do pokonania. Nie wiem ile czasu zajęło mi dotarcie do bramy cmentarza. Bołą mnie nogi, piekące uda i łydki okazują się przyjemną odmianą od nieustannie obolałej duszy.

O tej porze przed cmentarną bramą otwarty jest już tylko jeden stragan. Starsza, zmęczona życiem kobieta siedzi na rozkładanym wędkarskim krzeselku i dyskretnie przelicza dzisiejszy utarg. Podchodzę do niej i spośród niewielkiego asortymentu wybieram duży znicz w kształcie serca.

– Dorzucić zapalniczki? – pyta rutynowo sprzedawczyni.

– Tak, bardzo proszę.

– Piętnaście złotych się należy, kochaniutka.

Wyciągam z torebki portfel, otwieram go i kiedy zdaję sobie sprawę, że nie mam w nim żadnej gotówki, do oczu znów napływają mi łzy. Nie jestem przyzwyczajona do robienia zakupów na przycmentarnym straganie,

a tutaj przecież nie zapłacę kartą. Nie chcę rozplakać się jak skończona idiotka, ale im bardziej staram się powstrzymać od płaczu, tym głośniej zaczynam łkać.

– Ja... ja... przepraszam – próbuję zabrzmieć jak najbardziej beztrusko, ale zdaję sobie sprawę, jak piskliwie musi brzmieć teraz mój głos. – Muszę zrezygnować, wrócę jutro. Zapomniałam zabrać pieniędzy.

W tym momencie wzbierający płacz napiera z taką siłą, że nie jestem już w stanie go pohamować. Czuję się beznadziejnie. Przez trzy tygodnie nie przyszło mi do głowy, żeby odwiedzić grób Wojtka, a kiedy już tu jestem, nie będę mogła nawet zapalić dla niego znicza. Nie zasługiwałam na takiego męża, dlatego los mi go odebrał, a teraz nawet właściwie nie potrafię uczcić jego pamięci.

– Nie płacz, kochanieńka. To dla ukochanego lampka ma być? – kobieta lekko zaciąga, pewnie pochodzi ze Wschodu.

– Tak, dla męża. Zginął niedawno w wypadku – nie wiem dlaczego, ale kobieta budzi we mnie ogromne zaufanie, a bijące od niej ciepło sprawia, że opowiadam jej swoją historię. Pierwszy raz od śmierci Wojtka mówię o swoich uczuciach. Nazywam po imieniu ból, poczucie niesprawiedliwości i tęsknotę. Nie przynosi to oczekiwanej ulgi, a chwilami mam nawet wrażenie, jakbym opowiadała o obejrzanym wieczorem filmie, a nie najbardziej traumatycznym doświadczeniu w moim życiu.

– To smutne, kochanieńka – staruszka podaje mi chusteczkę. – Takie to życie okrutne, że tracimy to, co najcenniejsze. Weź ten znicz, złotko. Trzeba sobie pomagać. Weź.

Słowa grzęzną mi w gardle. Wzruszenie gestem tej nieznajomej kobiety w połączeniu z ogromną tęsknotą za Wojtkiem powoduje, że całkiem się rozklejam. Przytulam kobietę jak najbliższą osobę na świecie.

– Dziękuję. To takie miłe – łkam.

Chwilę później idę cmentarną aleją. Mijam dziesiątki nagrobków nieznanych mi osób, a każdy z nich jest realnym dowodem czegoś tak nieuchwytnego jak rozpacz osieroconych dzieci, tęsknota owdowiałych mężów i żon, bezsilność osamotnionych przyjaciół. Daty życia precyzyjnie wymierzyły dany im czas, przez większość zapewne niedoceniony, ale taka już ludzka natura. Po część z nich, tak jak i po Wojtka, śmierć przyszła nagle, przerywając ich życie w pół kroku. *Zginął śmiercią tragiczną* – jakby nie każde odejście było tragedią, nagłe czy spodziewane. Nawet ta

wyczekiwana śmierć, ta której tak bardzo pragnę, podszyta jest dramatem. Nikt przecież nie targa się na własne życie w entuzjastycznym przypiływie radości.

Mimo że za murami cmentarza toczy się codzienny rytm wielkiego miasta, tutaj słyhać jedynie ciszę. Inny świat – świat martwych ludzi, gdzie ci żyjący są tylko gośćmi.

Wojtek został pochowany w tym samym grobie, co jego ojciec. Uświadamiam sobie, że gdyby nie to, nie potrafiłabym odnaleźć miejsca jego pochówku. Na pogrzebie byłam zbyt otumaniona lekami, żeby móc zapamiętać trasę z kaplicy.

Po kilku minutach marszu stoję nad granitowym pomnikiem Wojtka i teścia. Na nagrobku wyryte jest jedynie imię i nazwisko, daty urodzenia i śmierci Romana Tomczyka. O tym, że spoczywa tu również mój mąż świadczą jedynie zwiędnięte wieńce z wyblakłymi napisami *Ostatnie pożegnanie*. Zalewa mnie kolejna fala wyrzutów sumienia. Nawet nie potrafiłam dopilnować, by grób uprzątnięto, zlecić firmie kamieniarskiej przygotowanie napisów. Znow płaczę, tym razem z wściekłości. Wszystko wymyka się z moich rąk, nie potrafię zapanować nad sytuacją. Nie jestem jedyną młodą wdową, a żaden z grobów zmarłych mężów nie został tak zaniedbany jak Wojtka.

Teraz to wszystko jest już nieważne. Za dwa dni Kama wyjeżdża do Londynu. Wtedy wszystko się zmieni, nie będę już musiała zachowywać pozorów, udawać, że jakoś sobie radzę. Jeszcze trochę i stanę się wolna. Jeszcze trochę i zniknę tak jak ty, Wojtusi.

6.

Ilość internetowych forów i artykułów na temat samobójczej śmierci uświadamia mi, jak wiele osób przeżywa dramat podobny do mojego. Zastanawiam się kto z nich rzeczywiście skutecznie targnął się na własne życie, ilu zostało odratowanych, którzy stchórzyli, czy ktokolwiek przeszedł na drugą stronę mocy i niczym internetowy kaznodzieja włącza się teraz do dyskusji, powtarzając do znudzenia, że samobójstwo nie jest żadnym rozwiązaniem, bo naprawdę warto żyć.

Jestem zdecydowana. Czwarty lipca to data idealna. Amerykanie obchodzą Dzień Niepodległości, a ja – Kaja Tomczyk, zamieszkująca

przeciwległą część globu, nareszcie będę wolna. To będzie mój dzień wolności od ciągłych lęków, koszmarnych snów, dręczących pytań, okrutnej samotności, bezbrzeżnej bezsilności i oceanu smutku tak bezkresnego, że Atlantyk to przy tym tylko kałuża.

Kama od pięciu dni jest już w Londynie. Pierwszego dnia dzwoniła piętnaście razy, drugiego dziewięć, trzeciego sześć, a wczoraj już tylko dwa. Dziś rano mówiła, że czeka ją *busy day at work*, więc jestem niemal pewna, że kolejnego telefonu mogę spodziewać się dopiero jutro. A dla mnie jutro już nie będzie.

Nigdy nie pozostawiałam spraw przypadkowi. Analizuję, planuję, rozkładam na czynniki pierwsze, nie dopuszczając do siebie możliwości spontanicznych działań. Powinam może raczej powiedzieć: *analizowałam, planowałam, rozkładałam na czynniki pierwsze*, ale nie potrafię jeszcze myśleć o sobie w czasie przeszłym. Póki istnieję, drobiazgowo przygotowuję się do ostatnich minut życia.

Nie zostawiam żadnego listu. Nie mam potrzeby tłumaczenia się ze swojej decyzji, nie mam nic, co chciałabym komukolwiek przekazać, nie mam żadnych życzeń, co do rodzaju pochówku. Mogą mnie spalić, wrzucić do anonimowej, zbiorczej mogiły na koszt miasta. Prawdopodobnie moje ciało znajdzie jakiś sąsiad, którego po pewnym czasie zaniepokoi smród zgnilizny, dobiegający z mieszkania. Lato jest upalne, więc pewnie dam o sobie znać najpóźniej do końca tygodnia. Nie zamierzam wywierać na tym biednym człowieku presji związanej z koniecznością spełnienia mej ostatniej woli. I tak pewnie widok rozkładającego się ciała stanie się głównym bohaterem sennych koszmarów przez przynajmniej kilka najbliższych tygodni.

Świadomość, że jestem teraz panią swojego życia i śmierci okazuje się być całkiem przyjemna. Staram się nie myśleć zbyt dużo o moim synu. I tak sami nie poradziłibyśmy sobie na świecie, oszczędzam mu w ten sposób przyszłych cierpień i rozczarowań. Myśl o zbliżającej się śmierci przynosi mi ukojenie. Czuję się przygotowana na to, co mnie czeka. Jedyne czego teraz się boję, to bezwarunkowa reakcja organizmu, za wszelką cenę walczącego o życie, o kolejny oddech. Muszę być konsekwentna, pamiętać o tym, że nie mogę się wycofać.

Proces duszenia składa się z czterech etapów. Mniej więcej po minucie, półtorej uderzy mnie fala duszności, rytm serca przyspieszy, a na twarzy

pojawią się pierwsze zasinienia. Do dwóch minut od momentu, gdy zabraknie mi powietrza, zaczną się drgawki, a ja stracę przytomność. Serce będzie biło coraz wolniej, nieświadomie oddam mocz i kał. Przez kolejne dwie minuty krótkimi, przerywanymi oddechami ciało będzie próbowało jeszcze zawalczyć o przetrwanie. Jeszcze przez dziesięć, piętnaście, góra dwadzieścia minut bijące sporadycznie serce utrzyma mnie przy życiu, ale ostatecznie podda się.

Ja też się poddałam. Można nazywać mnie tchórzem, nie dbam o to. Nikt, kto nie był w mojej skórze, nie ma prawa mnie oceniać.

Teraz albo nigdy. Raz jeszcze dokładnie oglądam jednorazówkę z grubego plastiku, upewniając się, że nie jest uszkodzona. Nie mogę dopuścić, by choćby przez maleńki otwór dostało się do środka powietrze, niwecząc wszelkie przygotowania. Drugi raz mogłabym nie zebrać się na odwagę.

Kładę się wygodnie w naszym łóżku. Rano zmieniłam pościel na tę, którą Wojtek najbardziej lubił. Nie wiem czemu, ale wykonuję prawą ręką znak krzyża. Bóg nie wybacza samobójcom, ale to nieistotne. Nie potrzebuję wybaczenia. Chcę tylko przestać wreszcie odczuwać ten najgorszy rodzaj bólu.

Wkładam na głowę reklamówkę, owijając uchwyty ciasno wokół szyi. Oddycham szybko i łapczywie, by powietrze wewnątrz skończyło się jak najszybciej. Po chwili folia przyczepia mi się do ust. Przy każdym wdechu i wydechu równomiernie szeleści. Wiem, że nadchodzi najważniejszy moment. Teraz muszę wytrzymać, w reklamówce nie ma już tlenu. Z gardła zaczynają wydobywać się dziwne dźwięki przypominające rżenie.

Mam mroczki przed oczami, więc zamykam powieki. Słyszę stukanie. Coraz głośniej i głośniej.

Dzwonek do drzwi.

Nie, tylko mi się wydaje. Skup się, Kaja. Już niedługo.

Dzwonek dzwoni po raz drugi. Tym razem dłużej.

Czuję, że zaczynam odpływać.

Na cholerny dzwonek ktoś naciska po raz trzeci. Zrywam reklamówkę z głowy. Nie! Wszystko we mnie krzyczy. Zaczynam kaszleć. Nie mogę uwierzyć, że było już tak blisko. Gdyby nie intruz za drzwiami, jeszcze chwila i byłabym po drugiej stronie.

Kolejne walenie w drzwi. Odkręcam zamek i z furią pociągam za klamkę, przekonana, że za chwilę zobaczę listonosza, świadków Jehowy lub co najwyżej któregoś z sąsiadów. Jego nie spodziewałam się zupełnie.

7.

– Mogę wejść? – pyta.

Młodszy brat mojego zmarłego męża nie ma pojęcia, że mam ochotę rozszarpać go na strzępy. Drugi raz nie zdobędę się na odwagę, wiem to. Cholera jasna, już naprawdę umierałam, niewiele brakowało do całkowitej utraty przytomności. Nie było to przyjemne i wymagało ogromnego samozaparcia, by nie zedrzeć foliowej reklamówki z twarzy w momencie, gdy skończył się w niej tlen. Przetrwałam to i zbliżająca się wielkimi krokami śmierć miała być nagrodą za wytrwałość. Zaczerpnęłam jednak haust powietrza i pewnie nigdy sobie tego nie wybaczę.

Długo nie odpowiadam, a Filip wpatruje się we mnie niepewnym wzrokiem. Już na pierwszy rzut oka widać, że czuje się nieswojo. A ja zamiast się odezwać, tylko ciężko dyszę. Pewnie potrwa to jeszcze jakiś czas nim mój oddech się całkiem wyrówna.

– Poznajesz mnie? – pyta Filip i dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, jak idiotycznie muszę wyglądać sapiąca, z wybałuszonymi oczami, wpatrzonymi gniewnie w jego twarz.

– Tak, jasne. Przepraszam. Po prostu się ciebie nie spodziewałam – otwieram szerzej drzwi, odsuwając się z przejścia. – Wejdz, zapraszam.

Mężczyzna przekracza próg mieszkania, a ja w tym samym momencie zaczynam zastanawiać się, czego może chcieć i o czym będę z nim rozmawiać.

Brat Wojtka z wyglądu wcale nie przypomina mojego zmarłego męża. Jest o wiele niższy i tęższy, ma zdecydowanie jaśniejsze włosy i łagodniejsze rysy twarzy. Charakterystyczną cechą Wojtka była mocno zarysowana szczęka, dokładnie taka sama jak u jego ojca. U Filipa zaś niezwykle wyraźne jest podobieństwo do matki.

Nie jestem w stanie ocenić zbieżności charakterów obu braci. Szwagra w zasadzie nie znam, w minionych latach nie zamieniłam z nim więcej niż kilka zdań. Nie mieliśmy dotąd zbyt wielu okazji, by lepiej się poznać.

Jako dziewiętnastolatek Filip wyjechał na studia informatyczne do Berlina. Tam szybko zaczął odnosić sukcesy jako programista. Teściowa często pokazywała mi artykuły z niemieckiej prasy, w których entuzjastycznie opisywano kolejne dokonania młodego naukowca z Polski. Jego ojciec odnosił się do działań syna dość sceptycznie, twierdząc, że wybija się po prostu na tle pozostałych kolegów z uczelni – głównie Niemców, w których inteligencję szczerze wątpił. Niejednokrotnie powtarzał, że gdyby młodszy syn studiował w Krakowie, byłby z pewnością zupełnie przeciętnym studentem. Wojtek uważał, że przez ten niesprawiedliwy, bądź co bądź, osąd, relacje ojca i Filipa były tak chłodne.

Brak wsparcia ze strony głowy rodziny bynajmniej nie wpłynął demotywująco na młodszego z braci Tomczyków. Jeszcze przed ukończeniem studiów Filip wraz z kolegą z uczelni stworzył aplikację na telefony komórkowe, która szybko okazała się wielkim sukcesem. Młodzi twórcy sporo zarobili na jej sprzedaży, dzięki czemu studenckie życie okazało się być dla nich o wiele łaskawsze niż dla ich rówieśników.

– Napijesz się czegoś? – pytam, reflektując się jednocześnie, że w tym domu nie ma do picia nic poza kranówką i resztkami dawno wygazowanej coli.

Zakupów nie robiłam już od jakiegoś czasu. Odkąd wyjechała Kama, prawie nic nie jadłam, a tym bardziej nie rozpieszczam się czynnościami tak zbędnymi jak picie kawy czy herbaty.

Trwa to dosłownie ułamek sekundy, ale zastanawiam się, co zrobić, jeśli szwagier poprosi o jakiś ciepły napój. Lepiej będzie od razu się przyznać do kiepskiego zaopatrzenia czy choć przez chwilę krzątać się po kuchni, udając finalnie zdziwienie, że akurat wszystko się skończyło i ewentualnie zaproponować szybkie wyjście do sklepu w celu natychmiastowego uzupełnienia braków?

Siłą woli próbuję zmusić nieproszonego gościa, by odmówił, a najlepiej jak najszybciej przypomnieć sobie, że zostawił w domu włączone żelazko i jednak musi zrezygnować z tej spontanicznej wizyty towarzyskiej.

– Kawy z mlekiem, jeśli to nie problem – odpowiada Filip zupełnie nieświadomy tego, że to dzięki niemu moje myśli odbiegły od tematu samobójstwa i śmierci w niesamowicie prozaicznym kierunku.

Co za absurdalna sytuacja! Kilka minut temu umierałam, walcząc z bezwarunkowymi odruchami i wrodzonym instynktem przetrwania, a teraz

stoję jak kołek przed niemal obcym facetem, zastanawiając się, czy przyznać się, że nie mam w mieszkaniu ani kawy, ani mleka. Świadomość tragikomizmu rodem z tandetnej czarnej komedii powoduje, że nie wiedzieć czemu, poddaję się całkowicie tej konwencji:

– Przepraszam, ale jednak będzie to problemem.

Teraz z kolei na twarzy szwagra maluje się taki grymas zdziwienia i niedowierzania, z jakim zapewne niedawno przywitałam go w progu. Przez chwilę wygląda, jakby w te pędy zamierzał wziąć nogi za pas. Wyobrażam sobie jak zaraz za drzwiami wyciąga z kieszeni komórkę i dzwoni do matki, by oznajmić, że Kaja po śmierci Wojtka zwariowała. Nie byłby wcale daleki od prawdy.

Nie rozumiem dlaczego, ale nagle odczuwam silną potrzebę zwierzenia się Filipowi. Zarówno z braku kawy, jak i chęci do życia. Postanawiam jednak wziąć się w garść, ostatnie, czego mi teraz potrzeba, to Filip w roli kontynuatora misji Kamy, by owdowiałą i samotną Kaję regularnie karmić, poić, podtrzymywać na duchu, pilnować, by przestrzegała terminów wizyt lekarskich i nie targnęła się na swoje życie.

– Przeszkodziłem ci w czymś? – pyta niepewnie. – Jeśli tak, to mów śmiało. Wpadnę na kawę innym razem.

Być może to działanie ciążowych hormonów powoduje tę nagłą zmianę, a może raczej do mojego niedotlenionego przed momentem mózgu w pełni dociera jak bliska byłam upragnionej od kilku tygodni śmierci, ale chwilową wesołość zastępuje dzika furia. Nie potrafię opanować emocji, w przyпіływie szału łapię pierwszy przedmiot, jaki mam w zasięgu ręki i ciskam nim z całych sił o podłogę. Porcelanowy słonik rozbija się w drobny mak. Filip patrzy z przerażeniem, kiedy zacynam wrzeszczeć:

– Wpadasz jak gdyby nigdy nic na kawkę i pytasz czy mi w czymś przeszkodziłeś?! Nawet nie wiesz, kurwa, jak bardzo. Byłam właśnie na najlepszej drodze, żeby skończyć z tym zasranym życiem, ostatnie minuty, może nawet sekundy dzieliły mnie od tego, by już dłużej nie cierpieć, ale nie... Tobie się, kurwa, wizyt towarzyskich nagle zachciało, poudawać szwagra idealnego, choć jesteśmy dla siebie praktycznie obcymi ludźmi i z tego powodu postanowiłeś napierdalać w mój dzwonek do drzwi jak pieprzony laureat konkursu na najbardziej upierdliwego świadka Jehowy.

– Nie mówisz poważnie?

– A czy wyglądam jakbym sobie jaja robiła? Wypieprzaj stąd! Chcę zostać sama!

– Kaja, serio... Ja nie wiedziałem...

– No to już wiesz. Możesz sobie teraz w CV wpisać ocalenie niedoszłej samobójczyni. Misja spełniona. Wypierdalaj!

Zalewam się łzami. Nagle czuję przeszywający chłód, oblewa mnie zimny pot, a każdy mięsień nieprzyjemnie drży. Przed oczami robi mi się ciemno. Przerażony wzrok Filipa jest ostatnim, co widzę, nim osunę się na ziemię.

8.

Mam wrażenie, jakby moja głowa ważyła przynajmniej tonę. Czuję rozpierający od środka ucisk, jestem pewna, że niewiele brakuje, żeby mózg rozsadził mi czaszkę. Sięgam dłonią do miejsca, z którego ból zdaje się promieniować i dopiero wtedy zauważam wenflon wbity powyżej nadgarstka. Podnoszę wzrok, choć sprawia mi to ogromną trudność. Do żyły wężykiem spływa niespiesznie bezbarwny płyn. Podłączono mi kroplówkę, więc muszę być w szpitalu. Nie mam pojęcia, kiedy i jak tutaj trafiłam, ale ten paskudny ból głowy na pewno ma z tym coś wspólnego. Próbuję wrócić myślami do ostatnich chwil, które pamiętam, choć wymaga to ode mnie sporo wysiłku.

Nagle czuję szarpnięcie w dole brzucha. Spoglądam na charakterystyczną wypukłość, momentalnie przypominając sobie, że jestem w ciąży. Jesienią ma się urodzić nasz synek. Wojtek tak bardzo cieszy się na myśl o maleńkim chłopcu, którego nauczy gry w piłkę, jazdy na rowerze, zarazi miłością do gór i pierogów ruskich. No właśnie, gdzie jest teraz Wojtek? Czy w ogóle wie, że znalazłam się w szpitalu?

Lewą ręką próbuję sięgnąć do metalowej szafki, spodziewając się, że właśnie tam powinien leżeć mój telefon komórkowy. Znowu przeszywa mnie ból głowy, promieniując aż do czubków palców u stóp. Wtedy też wraca znajomy ścisk w żołądku i trudne do opisu poczucie wewnętrznej pustki. Przez chwilę miałam wrażenie, jakbym przebudziła się z koszmarnego snu, ale rzeczywistość nie pozwala długo cieszyć się cudem niepamięci.

Mój Wojtek nie żyje. Nigdy więcej mnie nie przytuli, nie weźmie w ramiona nowonarodzonego syna, dla którego nie zdążyliśmy wspólnie

wybrać imienia, a tym bardziej nie zarazi go swoimi pasjami. Wojtek już nigdy nie wróci, a życie bez niego wypełnione jest bezbrzeżną pustką.

Ból głowy stopniowo traci na intensywności, dzięki czemu powoli wraca jasność myślenia. Próbuję odtworzyć ostatnie momenty przed utratą świadomości. Zamykam oczy. Przypominam sobie plastikową reklamówkę i potworne uczucie niemożności zaczerpnięcia tchu. Tak, próbowałam popełnić samobójstwo. Widocznie coś poszło nie po mojej myśli, skoro się tutaj znalazłam. Póki co nie jestem w stanie przywołać kolejnych obrazów. Być może straciłam przytomność, ktoś znalazł mnie i zabrał do szpitala? Nie, to przecież niemożliwe. Zaczynam podejrzewać, że sama w pewnym momencie stchórzyłam i wezwałam pomoc.

– Jak się czujesz? – z zamyślenia wyrывa mnie ciepły, męski głos.

Spoglądam na stojącą w drzwiach postać. To Filip, młodszy brat mojego męża. Skąd on się tutaj wziął? Widocznie zna odpowiedź na nurtujące mnie pytania.

– Okropnie – odpowiadam słabym głosem. – Czy to ty, no wiesz? ... Co właściwie się stało? Wiesz, dlaczego tutaj jestem?

Filip siada na szpitalnym, zapewne niewygodnym stołku i chwyta mnie za rękę.

– Zemdlałaś. Dlatego cię tutaj przywiozłem. Przed chwilą rozmawiałem z ordynatorem. Nie sądziłem, że uda mi się czegoś więcej dowiedzieć, ale mamy to samo nazwisko, więc najwyraźniej założył, że jesteśmy małżeństwem – szwagier puszcza do mnie oko. – Lekarz twierdzi, że przyczyną omdlenia było chwilowe niedotlenienie mózgu, a upadając uderzyłaś głową o podłogę. Z tego powodu możesz nie pamiętać ostatnich kilku godzin. Ale nie martw się, najważniejsze, że z dzieckiem wszystko w porządku.

Trochę mi wstyd, bo właściwie w żaden sposób nie zaniepokoiłam się stanem zdrowia mojego nienarodzonego syna. Nie chcę myśleć o konsekwencjach, jakie mogłaby mieć dla niego nieudana próba samobójcza. Wiem, że to okropne, ale w tej sytuacji wcale nie chcę, żeby się urodził. Bez Wojtka nic mnie nie cieszy, nie ma sensu, a wizja samotnego macierzyństwa jest przytłaczająca i przerażająca. Po policzku spływa mi kilka łez. Nie protestuję, kiedy Filip ociera je wierzchem dłoni.

– Możesz mi powiedzieć, na jakim oddziale leżę? – pytam szeptem, rozglądając się po sali.

Nie widzę co prawda w oknach krat, z korytarza nie dobiegają szaleńcze krzyki, ale nie mam pewności, czy aby nie spełnił się najczarniejszy scenariusz. Domyślam się bowiem, że w środkowej Europie XXI wieku szpitale psychiatryczne nie wyglądają już jak żywcem wyjęte z „Lotu nad kukułczym gniazdem” czy drugiej serii kultowego „American Horror Story”.

Brat Wojtka pochyla się nade mną i szepcze mi do ucha:

– Nikt się nie dowie o tym, co próbowałaś zrobić, zanim pojawiłem się w twoim mieszkaniu. To będzie nasza tajemnica, ale musisz mi obiecać, że już nigdy więcej nie targniesz się na swoje życie.

– Obiecuję – poruszam ustami bezgłośnie, bo sama nie jestem jeszcze pewna, czy dotrzymam danego słowa.

W głowie kłębią mi się tysiące myśli i pytań, które chciałabym zadać Filipowi, ale z jakiegoś nieokreślonego powodu boję się poruszyć temat nieudanej próby samobójczej. Widzę, że szwagier robi wszystko, by skierować moje myśli na inne tory. Stara się zabawić mnie rozmową o codziennym życiu w Niemczech, swoich planach na przyszłość, zeszłorocznej podróży autostopem po Bałkanach, najlepszych jego zdaniem knajpkach w Krakowie, ulubionych filmach i serialach. Ja przede wszystkim milczę. Jakaś część mnie jest przekonana, że niezobowiązująca rozmowa, zwyczajny *small talk* z innym mężczyzną to profanacja pamięci Wojtka.

Kolejne dni mijają według takiego samego scenariusza. Krótco po porannym obchodzie i śniadaniu zjawia się w szpitalu Filip z codziennym zapasem witamin z owoców oraz świeżą prasą. Sterta gazet i kobiecych czasopism piętrzy się na skraju łóżka, bo nie mam ochoty na czytanie o kolejnych durnych skandalach w polskim show-biznesie. Brat Wojtka niestrudzenie jednak tkwi przy szpitalnym łóżku przez kilka godzin dziennie i prowokuje do rozmowy na jakikolwiek temat.

Jestem pewna, że wyczuwa bijący ode mnie chłód i niechęć. Jestem zrezygnowana, nieludzko zmęczona sytuacją, w jakiej się znalazłam. Nie dopytuję lekarzy, kiedy wypiszą mnie do domu, bo wcale mi tam nie spieszo. Bez Wojtka nie mam już domu. Mieszkanie – tak teraz mówię i myślę o miejscu, które kiedyś nim było.

Kiedy Filip wpada na genialny, jego zdaniem, pomysł zabrania mnie na spacer do przyszpitalnego ogrodu, stanowczo protestuję. Im bardziej

natrętne są jego namowy, tym grubszą skorupą próbuję się otoczyć.

– Nie chcę i już. Daj mi spokój.

– Dobrze... W takim razie inaczej. Powiedz mi, na co masz ochotę, bo nie zgodzę się, żebyś kolejny dzień bez słowa wpatrywała się w sufit.

– Chcę po prostu w spokoju umrzeć – odwracam się do Filipa plecami i naciągam kołdrę aż po uszy. Ten niezrażony przesiada się na drugą stronę łóżka i jednym ruchem zrzuca ze mnie nakrycie.

– Kaja, proszę, pomyśl o tym, że najwidoczniej masz jeszcze coś ważnego do zrobienia, skoro nadal żyjesz, nawet wbrew swojej woli – mówi, patrząc mi głęboko w oczy. – Nie umarłaś, bo widocznie nie nadszedł twój czas. Daj sobie szansę na szczęście, przekonaj się jak to jest być mamą, spróbuj rzeczy, których nigdy dotąd nie robiłaś. Życie bez Wojtka na pewno jest inne, nie wątpię, że o wiele trudniejsze, ale możliwe. Musisz tylko w to uwierzyć. A wypisać się z tego świata jeszcze zdążysz.

Ten wyegzaltowany sposób mówienia w żaden sposób nie pasuje mi do postaci pragmatycznego programisty Filipa. Mam ochotę dogryźć mu, żeby darował sobie te kaznodziejskie mowy i zajął się czymś, co naprawdę mu wychodzi, ale zanim zdążę otworzyć usta, on bierze głęboki oddech i kontynuuje.

– Twój mąż chce, żebyś żyła. Inaczej... – zawiesza głos i dyskretnie ociera napływające łzy. – Inaczej nie przysłałby mnie do ciebie tamtego dnia, kiedy... no wiesz. Dziś jestem pewny, że to za jego przyczyną nogi poniosły mnie do twojego mieszkania, choć wcale nie miałem tego w planach.

9.

Przez ostatnie tygodnie co wieczór błagałam w myślach każdego znanego mi boga, bym nie musiała budzić się kolejnego ranka. Modliłam się o śmierć, która miała być wybawieniem od poczucia pustki, żalu, strachu i braku nadziei. Z jakiegoś powodu nie zostałam wysłuchana, a kiedy postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce, do drzwi mieszkania zaczął dobijać się Filip. Wtedy niemal obcy mi człowiek, a dziś... jeśli jeszcze nie przyjaciel, to na pewno ktoś na dobrej ku temu drodze.

Rozmowy z nim przyniosły ukojenie. Nie jestem pewna, czy znajdę w sobie siłę, by zacząć mierzyć się z przytłaczającą rzeczywistością zamiast przed

nią uciekać, ale nagle czuję, że chcę spróbować. Wiem, że żadna ilość wylanych łez nie sprawi, że odzyskam swoje dawne życie. Słone krople spływają obficie po policzkach. Chcę dziś wypłakać cały swój ból i choć w niewielkim stopniu się z niego oczyścić. A później odnajdę w sobie tę siłę, by mój mąż był ze mnie dumny, gdziekolwiek teraz jest.

Codziennie czuję się lepiej i po dziesięciodniowym pobycie w szpitalu lekarze decydują się wręczyć mi wypis, dołączając do niego w gratisie kilka recept, słownych nakazów i zakazów.

– Dziękujemy, panie doktorze, za opiekę – Filipa zdaje się nadal bawić fakt, że został wzięty za mojego męża. – Osobiście dopilnuję, by pacjentka przestrzegała wszystkich zaleceń.

Szwagier spogląda na mnie z uśmiechem, który ma w sobie jakąś szczególną jasność. Nie sposób nie odpowiedzieć mu tym samym. Uśmiecham się w sposób niewymuszony, pierwszy raz od dawna. Bardzo dawna. Mam wrażenie, że od tego momentu zdążyły minąć całe lata świetlne.

Chwilę później zjeżdżamy cuchnącą windą na sam dół i z ulgą opuszczamy budynek szpitala. Filip prowadzi mnie pod ramię do swojego samochodu. Widać, że pęka z dumy, kiedy otwiera drzwi sportowego i z całą pewnością piekielnie drogiego auta. Odpalając silnik, mówi:

– Mam dla ciebie niespodziankę. Zanim odwiozę cię do domu, zabieram cię w pewne miejsce. Zasłużyłaś na coś przyjemnego po tylu dniach spędzonych w tym przytłaczającym miejscu.

Filip pozostaje obojętny na moje prośby, by zdradził cel naszej podróży. Uśmiecha się szelmowsko i podgłaśnia muzykę, posyłając swój firmowy uśmiech. Jedziemy w milczeniu, a ja uświadamiam sobie, że tak naprawdę nigdy wcześniej nie miałam okazji wyrobić sobie własnej opinii na temat szwagra, głównie ze względu na jego rzadkie wizyty w Polsce i wyczuwalny dystans między nim a Wojtkiem. Za pewnik przyjmowałam wszystko, co mówił o nim mój mąż. Dziś jednak mogę stwierdzić, że młodszy z braci Tomczyków wcale nie jest nadętym samolubem, skupionym wyłącznie na karierze. Codzienne, wielogodzinne rozmowy z nim pozwoliły mi zacząć wierzyć, że istnieje jakieś życie po tej okropnej tragedii, dopuścić do siebie myśl, że pierwszym krokiem powinno być skupienie się wyłącznie na tu i teraz, bez wybiegania zbyt daleko w

przyszłość. A przede wszystkim uświadomił mi, jak bezsensowne jest roztrząsanie alternatywnych wersji minionych zdarzeń.

Po półgodzinnej jeździe samochód zatrzymuje się na podjeździe luksusowej kliniki WiśniewscyMed na obrzeżach miasta. Nowoczesny budynek otacza równo przystrzyżony trawnik. W wypolerowanych szybach na fasadzie można przejrzeć się jak w zwierciadle. Wszechobecna perfekcja zewsząd bije po oczach. Nie lubię takich snobistycznych miejsc. Nie pasuję do nich. Zastanawiam się, dlaczego Filip zdecydował się przywieźć mnie właśnie tutaj.

– Naprawdę uważasz, że zabranie mnie z jednego szpitala do drugiego będzie świetną niespodzianką?

Wlepiony we mnie wzrok Filipa świadczy o tym, że nie ma pojęcia, jaką reakcję odczytać powinien między wierszami zadanego pytania. Chyba obawia się ewentualnych pretensji, więc od razu zaczyna się gęsto tłumaczyć:

– W tej klinice wykonują bardzo dokładne USG w 3D. Pomyślałem, że miło ci będzie, jeśli zobaczysz po tym wszystkim maleńką buzię swojego synka. A ja chętnie sprawdzę jak będzie wyglądać mój bratanek.

Ściska mnie w dołku. Filip ma dobre intencje, tego jestem pewna, ale przeraża mnie sama myśl skonfrontowania się z widokiem dziecka. W szpitalu odwracałam wzrok od monitora, kiedy lekarz dyżurny sprawdzał, czy upadek nie zaszkodził *rozwojowi płodu*. Medyczne, wyzute z uczuć sformułowania przyjmuję z większym spokojem niż *synek*, *dzidzius*, *maleństwo*. Te słowa czynią go zbyt realnym.

Nie pałam entuzjazmem na myśl o narodzinach dziecka. Na tym etapie życia trudno mi wziąć odpowiedzialność za samą siebie, a tym bardziej za drugiego człowieka. I to jeszcze takiego maleńkiego, całkowicie zdanego na moją opiekę.

Jeszcze bardziej boję się, że okaże się podobny do swojego taty. Boję się na samą myśl, że w jego maleńkiej twarzyczce widzieć będę Wojtka i każde spojrzenie spowoduje nową falę bólu i tęsknoty, a wtedy mogłabym znienawidzić własne dziecko, bo zbyt mocno przypominać będzie o tej wielkiej stracie. Chciałabym ochronić go przed swoim gniewem, dlatego wolałabym, żeby się nie urodził.

– Widzę, że cię z wrażenia aż zatkało – dumny głos Filipa przywołuje mnie z powrotem na ziemię. – Wystarczy mi zwykłe *dziękuję*.

– Dziękuję – odpowiadam bezwiednie i daję się poprowadzić schodami do środka budynku.

Recepcja kliniki przypomina bardziej wnętrze eleganckiego SPA niż przychodni lekarskiej, nawet tej prywatnej i dosyć drogiej, gdzie sympatyczna pani doktor prowadziła moją ciążę aż do śmierci Wojtka. Na ladzie stoją świeże kwiaty w kryształowych wazonach, obok palą się świece w pastelowych kolorach. Zgrabna blondynka o śnieżnobiałym uśmiechu uderza palcami w klawiaturę komputera. Na nasz widok odrywa się od pracy, uśmiecha jeszcze szerzej i z wystudiowaną uprzejmością pyta, w czym może nam pomóc.

Filip podaje rejestratorce nasze nazwisko i chwilę później znajdujemy się w nowoczesnym gabinecie lekarskim. Jestem oszołomiona faktem, że zaraz będę musiała zderzyć się ze swoim największym lękiem, więc nawet nie protestuję, kiedy Filip, nie pytając mnie o zdanie, rozsiada się wygodnie na krześle przeznaczonym najprawdopodobniej dla przyszłych ojców. Młody lekarz prosi o wypełnienie karty informacyjnej. Stawiam krzywe litery w odpowiednich rubrykach, a kiedy wszystkie zostają zapełnione nierównym pismem, doktor Eryk Wiśniewski (jak głosi plakietka na jego piersi), zaprasza mnie na łóżko.

Zimny żel trafia na wypukłość brzucha. Zauważam, że podczas pobytu w szpitalu mocniej się zaokrąglił i o ile wcześniej ciąża nie była specjalnie widoczna, to teraz każdy, kto na mnie spojrzy, nie będzie miał wątpliwości, że spodziewam się dziecka. Moja pani ginekolog na pewno ucieszyłaby się z tego powodu, wcześniej nieco martwił ją ten powolny przyrost wagi. Ale to było w poprzednim życiu...

Głowica ultrasonografu miarowo przesuwają się po powierzchni skóry. Na ekranie pojawia się obraz. Nie chcę ostentacyjnie odwracać wzroku od monitora, więc póki co zasłaniam twarz chusteczką, udając wzruszenie.

– Zatem spodziewacie się państwo syna – odzywa się lekarz. – Zaraz zobaczymy jak maluszek prezentuje się w całej okazałości.

Na ekranie pojawia się wyraźny kształt maleńkiej twarzy. Zamknięte oczka, lekko zadarty nosek jak u Wojtka, kreseczka ust. W gardle czuję smak napływających łez. Nie wiem, co tak naprawdę myślę, nie umiem nazwać swoich emocji, ale jak zahipnotyzowana wpatruję się w obraz na monitorze. Mój syn nie wygląda jak przybysz z obcej planety, jak na szpitalnym USG. Jest po prostu malutkim człowiekiem i choć to pewnie

jeszcze niemożliwe do stwierdzenia, wydaje się tak bardzo podobny do Wojtka.

Patrzę na jego drobne i kruche ciało. Liczę paluszki. Karcę się za wcześniejsze myśli, jak w ogóle mogło przyjść mi do głowy, że obudzi najgorszą stronę mojej osobowości. Racja, czuję ogromny strach, niepewność, ale też chyba coś na kształt miłości.

– Przystojny, zdrowy chłopak – mówi lekarz. – Zaraz zgram państwu film z dzisiejszego USG na płytkę. Będziecie mogli pochwalić się rodzinie i znajomym. Imię już wybrane?

Chcę odpowiedzieć, że z powodu niesprzyjających okoliczności jeszcze nie miałam okazji zastanowić się nad wyborem imienia, ale po dzisiejszym dniu chciałabym nazwać synka Wituś, bo brzmi trochę podobnie do Wojtuś, a jednocześnie jest słodkie i konkretne – Witold. Zanim zdążę otworzyć usta, słyszę głos Filipa, spokojny i pewny, jakby miał tę kwestię przećwiczoną już od dawna.

– Franciszek. Nasz syn będzie miał na imię Franciszek, jak mój dziadek ze strony matki.

– Piękne imię – rutynowo odpowiada lekarz, ścierając z mojego brzucha resztki żelu. – Może się pani ubrać i zapraszam do recepcji po odbiór płyty.

Kiedy opuszczamy gabinet, nogi mam jak z waty. Trzęsę się w środku z nadmiaru emocji. Jestem jednocześnie wzruszona widokiem synka, przygnębiona nieobecnością Wojtka, przytłoczona niejasną przyszłością i wkurzona zachowaniem Filipa. Wiem, że bywam otepiała i wyglądam jak osoba niezdolna do podjęcia jakichkolwiek decyzji, ale to nie daje mi prawa do decydowania za mnie. Zwłaszcza w kwestiach, które w żaden sposób go nie dotyczą. Nie wiem jeszcze czy poruszę za chwilę ten temat, czy odpuszczę, wmawiając sobie, że Filip na pewno chciał dla mnie dobrze.

– Poproszę 250 złotych. Płatność kartą czy gotówką? – blondynka z recepcji onieśmiela swym idealnym uśmiechem.

Filip podaje kobiecie kartę i bez słowa wbija czterocyfrowy PIN. Zabiera z lady płytę z nagraniem badania i wsuwa ją do tylnej kieszeni spodni, uśmiechając się szelmowsko. Trudno ocenić, do której z nas skierował ten gest.

Wychodzimy z klimatyzowanego budynku i lipcowy skwar uderza prosto w twarz. Powietrze jest gęste, duszne i ciężkie od wszechobecnego

kurzu, zanosi się na burzę. Biorę głęboki wdech, choć mam wrażenie, że do płuc i tak dociera niewiele powietrza.

Teraz albo nigdy. Będę samotną matką, co oznacza, że ja i tylko ja wezmę odpowiedzialność za nas oboje. Muszę być twarda i niezależna, nie mogę pozwolić sobie na ciągłe opieranie się na kimś z zewnątrz. Czas stanąć na własnych nogach i przestać polegać na inicjatywie Filipa.

– Posłuchaj, to bardzo miłe, że zapłaciłeś za takie drogie badania, że odwiedzałeś mnie w szpitalu i wspierasz mnie w trudnych chwilach, ale...

– Kaju, bez żadnego *ale...* – Filip patrzy mi głęboko w oczy. – Zaopiekuję się wami.

Tuż nad naszymi głowami przelatuje czarny ptak. Odgłos krakania odbija się echem w mojej głowie jeszcze przez jakiś czas.

CZEŚĆ DRUGA

Siedem miesięcy później

1.

Zmiotam na łopatkę igły, które poprzedniej nocy spadły z więdnącej choinki. Namawiałam Filipa, by kupić jodłę, bo nie sypie się tak bardzo, ale uparł się na kłujący świerk. Zbyt zamaszystym ruchem próbuję zgarnąć ostatnią porcję igliwia i trącam łokciem bombkę zawieszoną na najniższej gałęzi. Dźwięk rozbitego szkła budzi Frania niespokojnie drzemiącego w koszyku. Rzucam wszystko i podbiegam do synka, by zdążyć utulić go, nim jego płacz rozniesie się po całym domu i znów przeszkodzi Filipowi w pracy nad nowym projektem.

Biorę Franka na ręce, ale widzę, że jest już za późno. Jego małe buźka aż pęcznieje, a dłonie zaciśnięte w piąsteczki boksują powietrze. Z gardła niemowlęcia wydobywa się krzyk. Niebywałe, że tak małe ciało potrafi wygenerować aż taki hałas.

Kołyszę syna w ramionach, ale jego płacz staje się coraz głośniejszy i bardziej donośny.

– Franiu, nie płacz, mamusia tak bardzo prosi. Już dobrze, cichutko... – czuję jak po policzku spływa mi łza. Już w ogóle nie kontroluję tego, że coraz częściej płaczę z bezsilności.

Słyszę charakterystyczne skrzypnięcie ostatniego ze schodów i podnoszę wzrok, choć dobrze wiem, co teraz zobaczę. Ten sam scenariusz powtarza się przecież od kilku tygodni. Rozwścieczony wzrok Filipa przywiera do mnie jak mokry podkoszulek do torsu podczas majowej ulewy. Cokolwiek teraz powiem czy zrobię, nie jestem w stanie odkleić go od siebie. Milczę więc pokornie, a kapiące łzy tworzą mokre plamy na kaftaniku Franka.

– Kobieto, ile razy mam ci powtarzać, że twoje żałosne mamroty nie uciszą płaczącego dziecka? Do jasnej cholery, obsługa niemowlaka to nie

fizyka kwantowa, skoro ryczy, to znaczy, że trzeba coś zrobić, nakarmić, przewinąć, pobujać, nie wiem co, ale na pewno nie beczeć nad nim i prosić o ciszę!

– Nie krzycz... Widzisz, że wtedy denerwuje się jeszcze bardziej.

– I posprzątaj w końcu ten syf! Nie widzisz, co się tu dzieje? Jakieś rozbite szkło wala się pod choinką. Zaraz w nie wdepniesz, rozetniesz stopę i cały dzień stracę na czekanie z tobą na SORze. Mam lepsze rzeczy do roboty, gdybyś jeszcze nie zdążyła zauważyć. Ktoś musi zarabiać na cały ten cyrk.

Filip wyrywa mi syna z rąk i bez słowa odchodzi z płaczącym zawiniątkiem do sypialni. Opadam bez sił na kanapie, zakrywam twarz dłońmi, wydobywa się ze mnie gwałtowny szloch.

Falę smutku nasilają odgłosy dobiegające z drugiego pokoju. Słyszę jak Filip spokojnie mówi do Franka, kładąc go na przewijaku. Odgłosowi rozpinanych rzepów wtóruje płacz chłopca. Z założeniem nowej pieluszki mój nowy mąż radzi sobie całkiem sprawnie, bo chwilę później płacz, przechodzący już tylko w miarowe kwilenie, cichnie.

– Zesrał się. Wystarczyło zmienić mu pieluchę, wielka filozofia... – krzyczy Filip.

Nie odpowiadam. I tak nie uwierzy moim zapewnieniom, że ledwie pół godziny temu przewinęłam Frania. Na pewno miał sucho, kiedy zasypiał w koszyku. Zrobił kupę, bo cały się napiął ze strachu przed hałasem i krzykami.

Wracam do czynności przerwanej płaczem synka. Bardzo dokładnie zmiatom resztki szkła i kolejne igły strącone z choinki. Syzyfowa praca. Ciepło kominka przyspiesza wędnięcie i osypywanie się świerku. Nie dość, że wygląda nieświeżo, to jeszcze wymusza konieczność ciągłego zamiatania. Tylko raz odważyłam się zapytać Filipa, czy nie moglibyśmy pozbyć się choinki, skoro minęło już święto Trzech Króli. Powiedział tylko, że w jego domu świąteczne drzewko rozbiera się dopiero drugiego lutego. Nie sądzę, by zależało mu na kultywowaniu rodzinnych tradycji. Po prostu sprawia mu przyjemność ostentacyjne znajdowanie igieł na podłodze salonu ilekroć do niego wejdzie – kolejnych rzekomych dowodów na to, że przez cały dzień tylko się objam.

Wyglądam przez okno. Śnieg skrzy się w styczniowym słońcu. Jest dość mroźno, ale pogoda zachęca do spaceru. Mijające dni były posępne i

mroczne, śniegowe chmury zasłaniały całe niebo, a z każdą godziną podnosił się poziom białego puchu. Postanawiam więc, że po następnym karmieniu ubiorę ciepło Frania i wyjdziemy na chwilę przed dom. Nie oddalimy się, Filip będzie mógł nas obserwować z gabinetu na piętrze. Zresztą i tak nie mielibyśmy przecież dokąd pójść.

Do pokoju wchodzi Filip ze śpiącym Franiem na rękach. Odkłada go do koszyka, posyłając mi gniewne spojrzenie.

– Wychodzę. Wróć wieczorem. Zajmuj się nim jak należy.

Filip wkłada buty i narzuca puchową kurtkę. Wyjmuje z kieszeni jedyny komplet kluczy i przekręca zamki, jak zawsze, dwa razy. Zgrzytają ząbkami – najpierw górny, potem dolny. Dźwięk wysuwanego z chrzęstem klucza oznacza tylko jedno: nici z moich popołudniowych planów.

2.

– Pamiętaj, że na siedemnastą jesteś umówiona z Kamą na wideo rozmowę. Pomaluj się, uczesz, wyglądam jak człowiek – krzyczy Filip ze swojego gabinetu.

Znad piętrzącego się stosu Frankowych ubranek do prasowania spoglądam na zegar. Zostały niecałe dwie godziny. Nie zdążę uprasować wszystkiego, nie ma szans. Biorę głęboki oddech i podkręcam tempo. Postanawiam nie przejmować się drobnymi zagnieceniami, przecież nikt ich nie zauważy. Body w traktorki – trzy dynamiczne ruchy żelazka, niebieskie spodenki – dwa ruchy, bawełniana czapeczka – wystarczy jeden. Jeśli Franio za godzinę sprawnie i bez grymaszenia zje swoją porcję mleka, może nawet uda mi się zrobić szybki makijaż, zatuszować te paskudne sińce pod oczami.

Chwilę przed umówioną godziną Franio jest już nakarmiony, przebrany w suchą pieluszkę i szaro-zielony pajacyk w dinozaury. Rzadko kiedy te codzienne czynności pielęgnacyjne przebiegają bez zakłóceń w postaci niespodziewanych i niczym nieuzasadnionych wybuchów płaczu. Franek jest niezwykle płaczliwym dzieckiem. Teraz śpi spokojnie w swoim drewnianym łóżeczku, a to nieczęsty widok. Filip rozsiada się w fotelu w kącie pokoju i uśmiecha z dumą.

Przeczესuję włosy przed lustrem, pociągam usta bezbarwnym błyszczkiem i kładę się na lewym boku, opierając głowę na zgiętym

łokciu. Naturalnie i na luzie. Leżę sobie na łóżku jak wyluzowana młoda mama, która zaraz zobaczy za pośrednictwem łącz internetowych swoją najlepszą przyjaciółkę. Fotel Filipa znajduje się dokładnie na wprost mnie, dzięki czemu nie ma najmniejszych szans, by ten pojawił się w zasięgu kamery, nawet jeśli niezdarnie potrączę komputer i urządzenie przesunie się w którąś ze stron. Z tego miejsca kontroluje każde moje słowo, ruch, nawet sposób ułożenia ust. Ustawiam laptopa przed sobą, podnoszę klapkę i uruchamiam go. *Show must go on.*

Po chwili na ekranie pojawia się uśmiechnięta twarz Kamy. Macha energicznie obiema dłońmi, a jej rude loki podskakują we wszystkich kierunkach. Dopiero po żywiołowym powitaniu kamera łapie ostrość. Odpowiadam szerokim uśmiechem. Tak się cieszę, że ją widzę.

– Hej, kochana! Co u was? Gdzie nasz mały przystojniak?

– Cześć, rudzielcu. Franio teraz śpi, zobaczymy jak długo – ostrożnie podchodzę z laptopem nad dziecięce łóżeczko i kieruję kamerę wprost na synka.

Kama wzdycha z nieskrywanym zachwytem, gdy na jej monitorze pojawia się buzia małego Franka.

– Ale słodziak! – przyjaciółka ścisza głos. – Ciocia Kama bardzo cię kocha i nie może się wprost doczekać, kiedy zobaczy cię na żywo. Przywiozę ci całe mnóstwo najrozkoszniejszych ciuszków z samego Londynu. Będziesz najbardziej stylowym facetem na świecie.

Filip daje mi głową znak, bym wróciła z komputerem na łóżko.

– Jak w pracy? – pytam.

– W porządku. Nie będziemy gadać o mojej nudnej pracy, opowiadaj co u ciebie. Czy Franio dalej nie daje ci się wyspać?

– Nie ma szans. Ciągłe jest bardzo płaczliwy i rozdrażniony. Mam nadzieję, że to kiedyś minie.

– Na pewno. Wiesz co mówią: małe dzieci, mały kłopot czy coś w tym stylu.

– Mhm... Kama, myślisz, że on taki jest przez... no wiesz... te leki? Może nie powinnam była brać ich tak długo.

– Kochana, nie zadręczaj się. Najważniejsze, że Franio jest zdrowy. Jest przecież mnóstwo rozdartych niemowlaków, choć ich mamy nie brały psychotropów w czasie ciąży.

Filip gromi mnie wzrokiem. Widzę, że nie podoba mu się kierunek, w jakim zmierza ta rozmowa. Nieświadomie to Kama nagle uderza w radosne tony, zupełnie jakby czytała w myślach mojego męża.

– Mów jak z Filipem. Pomaga ci? Tak sobie myślę, jaki to szczęśliwy zwrot akcji w całej tej dramatycznej historii.

– Och, Kama. Gdybyś widziała jak on fantastycznie opiekuje się Frankiem – te słowa dość lekko przechodzą mi przez gardło, bo Filip rzeczywiście skuteczniej potrafi uspokoić Frania, nie reaguje tak nerwowo na jego płacz, ma więcej cierpliwości niż ja. – Bardzo się cieszę, że postanowił zaopiekować się nami po śmierci Wojtka. Ożenił się ze mną, uznał Frania za swojego syna. Dzięki temu mały będzie miał normalną rodzinę.

Głos grzęźnie mi w gardle, oczy zaczynają się szklić, w ich kącikach stają pierwsze łzy. Na szczęście wygląda to na przejaw nagłego wzruszenia, bo Filip nie reaguje. Rozpiera się w fotelu dumny jak paw, uwielbia uchodzić w oczach innych za bohatera, porządnego faceta, który zapewnił spokojne i dostatnie życie owdowiałej, ciężarnej bratowej, sierocie bez przyszłości.

– Kochana, nawet nie wiesz, jak bardzo jestem szczęśliwa, gdy słyszę z twoich ust takie słowa. Tak bardzo się o ciebie martwiłam, a teraz masz dom, zdrowego i ślicznego synka, męża. Jestem pewna, że któregoś dnia zakochasz się w Filipie, a wtedy będziesz już najszczęśliwsza na świecie. Podobasz mu się Kaja, widzę jak na ciebie patrzy, jak o ciebie dba. *Wszystko mi mówi, że Kajkę ktoś pokochał* – nuci radośnie pod nosem.

Nie mam siły kontynuować tego tematu. Jeszcze chwila i rozpłaczę się na dobre. Przed oczami staje mi twarz mojego zmarłego męża. Zaczynam się trząść, ale udaje mi się jeszcze wydusić z wymuszonym śmiechem:

– Oj Kama, Kama. Daj spokój.

Z łóżeczka dobiega ciche kwilenie. Franuś się przebudził, dzięki Bogu. Chyba pierwszy raz tak entuzjastycznie reaguję na jego płacz. Przepraszam Kamę i rozłączam się, obiecując, że zadzwonimy się za tydzień o tej samej porze. Filip od razu notuje to w swoim kalendarzu.

Kiedy biorę Frania w objęcia, Filip zabiera z łóżka komputer i wychodzi z pokoju, oznajmiając:

– Idę pracować w gabinecie. Postaraj się, żeby dziecko było cicho. Nie chciałbym, by powtórzyła się sytuacja z wczoraj.

Kiwam posłusznie głową. Przechodzę z płaczącym synkiem do kuchni, jedną ręką przygotowuję mu mleko. Siadam na sofie w salonie i patrzę z rozczerwieniem jak malutkie usta Frania napinają się podczas jedzenia. Rytmiczne połykanie żółtawego płynu uspokaja mnie. Kiedy Franek jest taki jak dziś, kiedy co chwilę nie zanosi się płaczem, opieka nad nim sprawia mi ogromną przyjemność, pozwala się wyciszyć i skoncentrować wyłącznie na tej miłości. Zapominam o całym świecie, liczy się tylko mój malutki synek.

Tak bardzo chciałabym, żeby dwie najbliższe mi osoby na świecie – Kama i Franio – mogły się kiedyś poznać. Wyobrażam sobie jak mały Franek radośnie gaworzy w objęciach cioci Kamy, jak bawi się rudymi lokami opadającymi z jej twarzy. Obawiam się, że Filip nigdy do tego nie dopuści. Nie pozwalam, by smutek znów mnie przytłoczył. Przynajmniej mam możliwość utrzymywania z przyjaciółką dość regularnego kontaktu za pośrednictwem Internetu. Chociaż wiem, że Filip pozwala na to tylko po to, by połechtać swoje ego i nie wzbudzać żadnych podejrzeń, to widok Kamy pozwala mi wierzyć, że gdzieś tam w świecie istnieje choć jedna osoba, dla której jestem naprawdę ważna.

Cotygodniowe rozmowy z Kamą stały się już rytuałem, od kiedy w październiku ubiegłego roku zamieszkaliśmy w nowym domu na podkrakowskiej wsi. To dziwne, przyznaję, ale nie mam pojęcia jak nazywa się ta miejscowość. Filip przywiózł mnie tutaj prosto z luksusowej kliniki, gdzie na świat przyszedł Franek. Byłam zbyt pochłonięta wpatrywaniem się w twarzyczkę mojego ślicznego synka, by obserwować drogę. Zresztą wtedy nawet nie przypuszczałam, że te piękne wnętrza staną się moim więzieniem.

To miała być niespodzianka – nowy dom, nowy początek. Pamiętam jak zdumiona wysiadłam z samochodu z czterodniowym Franiem na rękach i nim zdążyłam zapytać, co to za miejsce, Filip powiedział z dumą:

– Witajcie w domu. Bałam się, że nie zdążę, ale na szczęście udało mi się zorganizować przeprowadzkę na czas.

Łzy wzruszenia napłynęły mi do oczu. Wtedy po raz kolejny poczułam, że Filip naprawdę chce wywiązać się z obietnicy złożonej w lipcu pod kliniką. Ja i moje dziecko będziemy mieć bezpieczny dom, pewną przyszłość i silnego mężczyznę, który o nas zadba. Nie czułam się szczęśliwa, bo szczęście bez Wojtka nie ma prawa bytu, ale spokojna.

Dzisiaj, trzy miesiące później, na próżno próbuję odnaleźć w sobie ten spokój. Stałam się rozhisteryzowanym kłębkim nerwów, gotowym przyznać, że deklaracja Filipa *zaopiekuję się wami* była nie tyle obietnicą, co groźbą.

3.

Nie wiem, dlaczego zdecydowałam się wyjść za Filipa. Ostatnie tygodnie przed narodzinami Frania są tylko jakąś niewyraźną fatamorganą, a poszczególne dni zlały się w mej pamięci w bezkształtną plamę.

Chwilowa poprawa nastroju po wyjściu ze szpitala szybko została wyparta przez czarne, agresywne myśli. Głosy w mojej głowie podpowiadały, że i tak nie poradzę sobie z codziennością. Rzeczywiście, zbliżający się termin porodu nie mobilizował mnie do działania, wręcz przeciwnie, z dnia na dzień popadałam w coraz większy marazm.

Wtedy, po kilkudniowym pobycie w Niemczech, znów zjawił się Filip. Jak zwykle miał gotowe rozwiązanie na wszystko. A mi w tamtym momencie było tak bardzo wszystko jedno, że godziłam się z każdym jego pomysłem i propozycją. Pół roku temu brzmiał on zresztą całkiem rozsądnie, nic nie wskazywało na to, bym miała wdepnąć w jakieś bagno. Poczułam się otoczona opieką, uwolniona od ciężaru podejmowania decyzji i samostanowienia. Abstrakcyjne pojęcie niezależności wydawało się zupełnie zbędnym elementem mojej codzienności, ostatnim, czego mogłabym potrzebować i pragnąć.

Filip postanowił wrócić do Polski. Jego profesja daje mu tak naprawdę możliwość pracy z dowolnego miejsca na świecie. W Berlinie wszelkimi formalnościami firmy zobowiązał zając się wspólnik Filipa, w zamian za dodatkowe pięć procent udziałów w spółce. Nie wiem, czy dobrze pamiętam, ale podczas tej rozmowy padło z jego ust zapewnienie, że jeśli utrzyma się obecna koniunktura i kurs euro, to nawet, gdyby był zmuszony do zrzeczenia się jeszcze połowy swoich akcji, mógłby żyć jak król.

Mojemu zamroczonemu tęsknotą i lekami umysłowi musiała najwyraźniej spodobać się owa wizja królewskiego życia, bo nie protestowałam, kiedy Filip zaczął załatwiać formalności związane ze ślubem. Wcześniej stwierdził, że niepotrzebnie odstawiłam leki przepisane przez kuzynkę Kamy, więc łykanie białej pigułki po śniadaniu włączyłam

do niezbyt długiej listy codziennych obowiązków. Nie zastanawiałam się skąd Filip brał kolejne fiołki, przypuszczałam, że poprosił o pomoc Kameę. Wtedy tak naprawdę najważniejsze było ich zbawienne działanie. Dużo spałam, niewiele myślałam, wszystkie lęki wydawały się mniejsze, problemy rozmyte. Żyłam trochę obok, a przeszłość wraz ze wszystkimi dotychczasowymi traumami stała się bardziej odległa i mniej realna, jakby nie do końca była moim udziałem.

Nie przypominam sobie wyraźnie nawet rozmowy, podczas której padła propozycja małżeństwa. To wszystko po prostu nagle zaczęło się dziać i zaledwie po trzech miesiącach od śmierci Wojtka, znów byłam Panią Młodą. Dziś uważam, że to profanacja, zdeptanie pamięci najwspanialszego człowieka, jakiego znałam, przejaw braku szacunku wobec niego, ale wtedy nie do końca byłam świadoma, co tak naprawdę robię. Chyba czułam nawet coś na kształt wdzięczności wobec Filipa.

Miałam na sobie luźną, kremową sukienkę, która nie była w stanie zamaskować ciężowego brzucha. Naszymi świadkami zostali Kama i jakiś znajomy Filipa z czasów szkoły średniej, którego imienia nie pamiętam. Jedyny gość – moja, o ironio, jednocześnie była, jak i obecna teściowa – wydawała się być zadowolona z obrotu sprawy, choć tak naprawdę nigdy nie wychodziło mi najlepiej odczytywanie emocji z jej twarzy.

Największą, i być może jedyną fanką mojego małżeństwa, okazuje się być Kama. Jej radosną reakcję na wieść o ślubie z Filipem odebrałam jako dobrą wróżbę, znak, że postępuję słusznie i nie ma niczego złego w poślubieniu młodszego brata zmarłego niedawno męża. Człowieka, którego tak naprawdę wcale nie znałam. A może po prostu widziałam tylko to, co w tamtym momencie chciałam zobaczyć.

A teraz, zaledwie kilka miesięcy później, choć mam wrażenie, że minęły dekady, trzymam w ramionach małego Frania i widzę, jak bardzo jest podobny do swojego taty. Co ja najlepszego zrobiłam? Z formalnego punktu widzenia jego ojcem jest Filip. Staram się nie myśleć, jak kiedyś wytłumaczę mu tę zawiłą historię rodzinną. Wiem jedno, zrobię wszystko, by pamięć o Wojtku była u jego syna zawsze żywa.

– Jak urośniesz, to opowiem ci wszystko o twoim prawdziwym tatusiu – szepczę mu do ucha.

Nie zauważam, kiedy w progu staje Filip. Nie mówi nic, ale z wyrazu jego twarzy wyraźnie odczytuję ostrzeżenie: *ani się waz*.

4.

Dni płyną zwyczajnym rytmem. Każdy kolejny jest podobny do mijającego do tego stopnia, że coraz częściej tracę rozeznanie i gubię się w tym, jaki właściwie mamy dzień tygodnia. Nie wspominając już o konkretnych datach. Filip pilnuje wszystkich terminów. Nie chce, żebym zaprzętała sobie tym głowę. Mam tylko dbać o dom i dziecko, niczym więcej nie muszę się przejmować.

– Kaja, pozwól mi zadbać o ciebie. O nic więcej nie proszę – powiedział wczoraj przy kolacji, kiedy znów zalałam się łzami bez konkretnego powodu.

Istotnie, kiedy nadchodzi termin kolejnego szczepienia Frania, do domu przyjeżdża zaprzyjaźniona pielęgniarka, a mnie omija cały ten stres z ubieraniem synka, wyprawą do przychodni, długim czekaniem w kolejce pełnej zdenerwowanych mam i ich pociech. Gdy mały się przeziębi, Filip wzywa najlepszego pediatrę w okolicy i sam później zajmuje się wykupieniem recept. Nie wspomnę już o martwieniu się o pieniądze. Kiedy tylko uznam, że chciałabym coś kupić dla siebie albo Frania, siadamy z Filipem przed komputerem i do woli mogę dorzucać kolejne rzeczy do wirtualnego koszyka. Później Filip zamawia je i płaci kurierowi, nie zważając na to, na jak wysoką kwotę opiewałyby zakupy. Niejedna kobieta byłaby zachwycona, gdyby mąż dbał o jej wygodę aż do tego stopnia.

Mam wrażenie, że poprzewracało mi się w głowie. Skoro tak silne wahania nastroju męczą nawet mnie, nie chcę myśleć, jakim problemem są dla Filipa. Podczas wieczornej rozmowy obiecałam mu, że zgodzę się na spotkanie ze specjalistą, który zdiagnozuje, czy moja płaczliwość i rozdrażnienie to zwyczajny baby blues czy już depresja poporodowa.

W myślach odtwarzam słowa Filipa i próbuję nie doszukiwać się w nich drugiego dna. Wygląda na to, że faktycznie jest zaniepokojony moim zachowaniem, a ja zaczynam wpadać w paranoję i widzieć rzeczy, których tak naprawdę nie ma.

– Wszystko, co robię, robię wyłącznie z myślą o tobie – wziął mnie za rękę i pogładził po dłoni. – Czasami mam wrażenie, że się mnie boisz. Kaja, co się dzieje? Czemu urodzenie dziecka zmieniło cię tak bardzo?

– Jestem zmęczona. Franek ciągle płacze, a ja nie wiem dlaczego. Widzę jak na mnie patrzysz.

– Jak?

– Ze złością. Jesteś wściekły, że nie radzę sobie z opieką nad Franiem – serwetką ocieram napływającą łzę, bo nie mam przy sobie chusteczki.

– Czasem wybucham, tak jak i ty. Dla nas obojga ciągłe krzyki i płacze dziecka są męczące. Bywa, że zachowujesz się zupełnie nieracjonalnie, jesteś na granicy hysterii i tylko mój podniesiony ton jest w stanie przywołać cię do porządku. Jeśli w jakiś sposób cię kiedykolwiek uraziłem, to przepraszam.

– W porządku. Masz rację. Powinam z kimś o tym porozmawiać.

– Pamiętaj, że chcę jak najlepiej. I zrobię wszystko, by tak było. Nawet jeśli czasem muszę wbrew twojej woli chronić cię przed sobą samą. Przed tą autodestrukcyjną częścią Kai, za którą przecież oboje nie przepadamy.

Choć to trudne, staram się spojrzeć na siebie i swoją sytuację z dystansu. Wyobrażam sobie, że jestem bohaterką jednego z tych seriali udających prawdziwe życie, w którym kamery śledzą poczynania aktorów amatorów, a uprzejmy lektor na bieżąco relacjonuje wydarzenia na ekranie, by w przebiegu akcji połapali się również ci mniej bystrzy widzowie. Z obawy przed niewłaściwą interpretacją, głos z telewizora informuje także, co czuje bohater w danym momencie i co jest przyczyną takiej, a nie innej emocji. Konia z rzędem za takiego lektora, który nazwałby po imieniu to, co tak naprawdę dzieje się wokół mnie.

W podkrakowskiej miejscowości mieszka Kaja Tomczyk z drugim mężem Filipem oraz synem z pierwszego małżeństwa – Franciszkiem. Pan Tomczyk jest jednocześnie wujem małego Franka oraz młodszym bratem tragicznie zmarłego Wojciecha, męża swojej żony. Filip zapewnia opiekę i dostatnie życie swojej nowej rodzinie. Kaja za to nie potrafi odnaleźć się w nowej sytuacji. Ciągłe tęskni za Wojtkiem, a macierzyństwo i związane z nim obowiązki coraz bardziej ją przerastają. Mąż stara się ją odciążyć i zmobilizować do skupienia na nowej roli i opiece nad synkiem. Pewne decyzje małżonka są dla Kai niezrozumiałe, momentami czuje się celowo odcięta od świata i innych ludzi. Prawda jest jednak taka, że gdyby zapytać młodą kobietą o to, czego pragnie, nie potrafiłaby odpowiedzieć. Chce tylko, by jej synek był zdrowy i szczęśliwy. Zdaje się, że dokładnie na tym samym zależy jej mężowi, często zresztą sam o tym wspomina. Kaja zaczyna popadać w paranoję, w

każdym zachowaniu Filipa dostrzega pragnienie upokorzenia i ubezwłasnowolnienia jej. Kilka miesięcy temu Kaja w rozpacz targnęła się już na własne życie i to właśnie Filip ją wówczas uratował. Jego obawy o konsekwencje kolejnych nieprzewidywalnych reakcji żony wywołanych gwałtownymi emocjami i stresem, zdają się zatem być uzasadnione. Młoda kobieta obiecuje sobie, że weźmie się w garść, spróbuje zapanować nad swoimi emocjami, a co najważniejsze – być lepszą i bardziej opanowaną matką dla małego Frania. Czy Kaja odnajdzie wewnętrzny spokój, zapomni o bolesnej przeszłości i zaufa Filipowi?

Bywa, że człowiek sam dla siebie staje się największym wrogiem, pozwalając, by irracjonalne lęki zupełnie zawładnęły umysłem i zniekształciły obraz rzeczywistości. Kiedy tak analizuję wszystko na chłodno, muszę przyznać rację Filipowi. Spadek nastroju po narodzinach Frania, nowe wyzwania, którym nie do końca potrafię podołać i ogromne zmiany, jakie zaszły w ciągu ostatniego roku sprawiają, że wyolbrzymiam wszystkie problemy.

Nie tak dawno usiłowałam odebrać sobie życie. Niedługo później przyznałam Filipowi, że skoro Wojtek nie żyje, to ja nie chcę być matką. Teraz najprawdopodobniej mam nawrót depresji. Biorąc pod uwagę wszystkie te okoliczności, nie mogę mieć za złe Filipowi, że mnie pilnuje i kontroluje. Martwi się nie tylko o moje zdrowie i życie, ale także o Frania. Moje niepohamowane wybuchy płaczu i hysterii, tylko umacniają go w tych obawach. Dobrze wiem, że nigdy więcej nie targnę się na swoje życie, a tym bardziej nie skrzywdziłabym Franka, ale on nie ma takiej pewności.

Muszę zachować spokój i bardziej trzeźwy ogląd sytuacji, bo jeszcze trochę i Filip uzna mnie za kompletną wariatkę. Jego spojrzenia i słowa są dokładnie tym, czym są, a ja niepotrzebnie doszukuję się w nich dziwnych podtekstów. Na samo wspomnienie moich niedawnych hysterii i ataków paniki chce mi się śmiać. Czuję jak umiejętność racjonalnego myślenia i rozsądek powoli wracają na swoje miejsce. I pomyśleć, że to wszystko zasługa kilku kieliszków czerwonego wina, którego smaku przez ostatnie miesiące zdążyłam już zapomnieć.

– Czyś ty kobieto do reszty zgłupiała? Wydawało mi się, że wczoraj coś do ciebie dotarło, ale z tobą jest jeszcze gorzej niż mogłem przypuszczać! Jesteś nieodpowiedzialną kretynką!

Kretynką, kretynką, kretynką... Krzyk Filipa odbija się echem od ścian pokoju. Wydaje mi się, że słyszę też płacz Franka, ale nie jestem pewna, czy nie jest on wyłącznie złudzeniem. W mojej głowie dyskoteka. Ktoś wali w bębny perkusji tuż przy uchu. Skronie rytmicznie pulsują, a moja świadomość jest daleko stąd.

Próbuję zmusić się siłą woli do otwarcia oczu. Wiem, że nie będzie to przyjemne doświadczenie. Strzępy przytłumionej intuicji podpowiadają: *będą problemy*. Światło wdziera się brutalnie w źrenice, więc instynktownie znów je zamykam. Źle się do tego zabrałam. Jeszcze raz, powolutku. Filip ciągle coś wrzeszczy, ale to teraz nieistotne. Otwieram jedno oko, jednocześnie osłaniam je dłonią przed nadmiernym dostępem kłującego światła. Liczę do pięciu, teraz drugie. Powoli i spokojnie.

Przez ułamek sekundy spoglądam w purpurową ze złości twarz Filipa. Chyba coś krzyczy, bo jego usta co rusz rozwierają się w kształt litery O, a kropelki śliny wyrzucane pod ogromnym ciśnieniem lądują na mojej twarzy. Nie słyszę jednak żadnych dźwięków, tak jakby ktoś przyciskiem na pilocie wyłączył głośność. Obraz też zaczyna tracić ostrość, wszystko zaczyna wirować, najpierw powoli, a później coraz szybciej i szybciej, jak na karuzeli sterowanej przez jakiegoś szaleńca.

Nagle wnętrznościami szarpie mocny skurcz. Nie potrafię zapanować nad konwulsjami napływającymi kolejnymi falami. Kiedy próbuję zasłonić usta dłonią, wymiotuję prosto na designerskie jeansy Filipa.

*

Budzę się kilka, a może kilkanaście godzin później. Za oknem ciemno. Wskazówki zegara pokazują godzinę 7.30, ale nie mam pojęcia czy to wieczór, czy może już poranek. Boli mnie głowa. Nieprzyjemną suchość w ustach potęguje wciąż jeszcze obecny posmak wymiocin.

Wszystko wskazuje, że mam kaca – nieproszonego i dawno niewidzianego gościa. Próbuję sobie przypomnieć, co doprowadziło mnie do takiego stanu. Łatwiej zresztą myśleć o przyczynach niż

konsekwencjach. Te bowiem pojawiają się szybciej niż przypuszczałam. Ból głowy to najprzyjemniejsza z nich.

Do pokoju bez słowa wchodzi Filip. Na rękach trzyma Franka, który radośnie wymachuje rączkami. Na mój widok dziecko zastyga w bezruchu i wpatruje się we mnie tak, jakbym wyglądała jak ktoś, kogo kiedyś znał, a teraz usiłował sobie przypomnieć skąd.

– Proszę, obudziła się nasza śpiąca królewna – Filip zaszcebiotał do syna. Chłopiec uśmiechnął się. – A teraz może mamusia łaskawie nam wyjaśni, dlaczego znowu zachowuje się jak nieodpowiedzialna gówniara.

– Filip, ja nie wiem co...

– Kaja, ja się już nie zamierzam denerwować i wchodzić z tobą w bezsensowne dyskusje. Weź na ręce swojego syna, spójrz mu w oczy i wytłumacz, jak można być tak bezmyślną pindą, by zalać się w trupa do nieprzytomności, mając dziecko pod opieką.

Filipowi zaczyna drgać prawa powieka. Widzę, że jest wściekły, ale robi wszystko, żeby nie wybuchnąć. Jest mi wstyd, bo zaczyna docierać do mnie, co się wydarzyło.

– Rany, Filip. Nie gniewaj się. Naprawdę nie wiem, jak to się stało. Analizowałam naszą rozmowę, moje zachowanie z ostatnich kilku tygodni. Stwierdziłam, że faktycznie za bardzo świruję i postanowiłam to zmienić.

– Mhm.

– Otworzyłam sobie wino dla rozluźnienia, nie wypiałam dużo. Nie rozumiem jak to się stało, że odpłynęłam.

Filip odkłada małego na matę i włącza grającą zabawkę. Pomieszczenie wypełniają radosne dźwięki melodyjki *Stary Donald farmę miał*.

– Kaja, na litość boską – Filip chwyta mnie za podbródek i patrzy mi prosto w oczy. Z jego spojrzenia bije chłód i obojętność. – Wyszedłem z domu na godzinę i jaki widok zastałem po powrocie? Franek leży zapłakany na podłodze, a ty jesteś zalana w trupa i nie masz pojęcia, co dzieje się wokół ciebie. Tak zachowuje się odpowiedzialna matka?

– Przepraszam. Frankowi na szczęście nic się nie stało.

– I to cię niby usprawiedliwia? Nie bądź śmieszna.

– Filip, naprawdę nie wypiałam dużo...

– Kaja, posłuchaj sama siebie. *Frankowi nic się nie stało, nie wypiałam dużo...* Tłumaczysz się jak rasowy alkoholik. Teraz to sam nie wiem, czy wcześniej nie podpijałaś, mając małego pod opieką.

- Nie, naprawdę. To był pierwszy raz. I na pewno ostatni.
- No i tutaj nareszcie się zgadzamy. Możesz być pewna, że to był ostatni raz. Już ja o to zadbam.

Filip zwalnia uścisk i siada na fotelu. Włącza telewizor i bezwiednie przerzuca kanały. Na pasku jednego z programów informacyjnych miga godzina 19:49. A zatem jest wieczór. Dzięki Bogu, to znaczy, że film urwał mi się tylko na kilka godzin.

Czuję się okropnie. Marzę o prysznicu i ciepłym łóżku. Muszę jednak zmobilizować siły i w pierwszej kolejności wykąpać i utulić do snu synka. Filip ma rację. Jestem bezmyślną, nieodpowiedzialną matką. Mój czteromiesięczny synek przez jakiś czas pozbawiony był opieki.

Wiem, że to nie ma żadnego znaczenia, ale próbuję sobie przypomnieć, ile wypiałam tego popołudnia. Mogłabym przysiąc, że jedynie dwie, góra trzy lampki wina. Nigdy wcześniej tak niewielka ilość nie powaliła mnie z nóg. Dawno jednak nie piłam, tak wiele przecież zmieniło się od czasu, gdy razem z Wojtkiem otwieraliśmy butelkę wina do romantycznej kolacji albo seansu filmowego na kanapie. Przede wszystkim ja jestem już innym człowiekiem. Kimś, kogo z pewnością nie polubiłaby dawna Kaja.

Jest mi wstyd. Przed Filipem, Frankiem, samą sobą, a nawet Wojtkiem, który jeśli patrzy na mnie z góry, to na pewno kręci teraz z niedowierzaniem głową. Miałam się zmienić, zapanować nad emocjami, a tymczasem dałam najprawdziwszy popis bezmyślności i egoizmu.

Zerkam w kierunku męża. Jest na mnie zły i chyba pierwszy raz nie wątpię, że naprawdę na to zasłużyłam. Wściekł się, bo kocha Franka i boi się o niego. Gdybym to ja zastała po powrocie do domu analogiczny obrazek, mogłabym go załuc ze złości. Tak bardzo naraziłam mojego kochanego synka.

Z ogromną czułością biorę Frania na ręce i zanoszę do kąpieli. Obiecuję sobie, że w najbliższym czasie wynagrodzę to wszystko i jemu, i Filipowi. Wezmę się w końcu w garść. Moi mężczyźni zasługują na to. Nie mam nikogo oprócz nich.

6.

Przewracam się w łóżku z boku na bok, niespokojnie czekając na wybuch płaczu Franka. Wsłuchuję się w odgłosy śpiącego domu. Wydaje się, że

minęły godziny od ostatniego karmienia, więc wstaję zaniepokojona, by sprawdzić czy dziecko na pewno oddycha. Nie zapalam światła, chwilę zatem trwa przyzwyczajenie oczu do ciemności, złapanie ostrości widzenia. Patrząc na spokojną twarz śpiącego synka, okrywam go kołderką, bo trochę rozkopał się podczas snu. Nie mogę przyzwyczaić się, że Franek skończył już pół roku i nie budzi się nocą tak często, jak na początku. W ciągu ostatnich tygodni w ogóle stał się spokojniejszy, mniej płaczliwy, a jego reakcje są o wiele bardziej przewidywalne.

Pamiętam, jak zimą marzyłam o dniu, gdy Franio będzie mniej absorbujący, kiedy wreszcie nauczę się rozpoznawać jego potrzeby i nareszcie złapię oddech. Przyszła wiosna, a mi zaczyna brakować tego poczucia, że jestem mu tak bardzo potrzebna. Zdaję sobie sprawę, jak to brzmi, ale chyba mam do niego żal, bo nie jest już taki maleńki, bezbronny i zdany tylko na mnie.

Uspokojona, ale i nieco zawiedziona, wracam do łóżka. Zaciskam powieki, próbując zasnąć, ale sen nie przychodzi. Ostatnio, mimo zmęczenia, cierpię na bezsenność. Choć to typowy u mnie objaw wiosennego przesilenia, w tym roku znacznie gorzej je znoszę. Nie jestem w stanie nocą czytać, słuchać muzyki na słuchawkach, czy oglądać telewizji, bo każde słowo, dźwięk czy obraz może skojarzyć mi się z Wojtkiem. O ile w dzień, w natłoku obowiązków nie mam czasu na wspomnienia i myślenie, o tyle nocą tęsknota za nim staje się wręcz namacalna. Jego nieznośny brak oplata swe ręce wokół mojej szyi tak, że nie mogę złapać tchu. A co najgorsze, wcale nie czuję jego obecności, choć na pogrzebie ktoś zapewniał mnie: *on już zawsze przy tobie będzie*. Chyba że ten ktoś miał na myśli ów bezbrzeżny smutek, którego, mimo najszczerzych chęci, nie jestem w stanie się pozbyć. Jeśli tak, miał rację.

Próbuję sobie przypomnieć twarz Wojtka, ale nie potrafię. Ogarnia mnie przerażenie, bo od jego śmierci nie minął jeszcze nawet rok, powinnam umieć odtworzyć w pamięci każdy centymetr jego ciała, ale nagle okazuje się to niemożliwe. Najprościej byłoby sięgnąć teraz po telefon, na karcie pamięci zapisanych mieliśmy całe mnóstwo wspólnych zdjęć, ale od kiedy urodził się Franek, nie mam komórki.

Ostatni raz trzymałam telefon w ręce tuż po cesarskim cięciu, kiedy przesyłałam Kamie pierwsze zdjęcia Frania. Później byłam zbyt zaaferowana opieką nad maluchem, by pilnować, co dzieje się ze

smartfonem. I wtedy najprawdopodobniej trafił nieodwołalnie w ręce Filipa. Kiedyś zapytałam, czy zamierza mi go oddać. Odpowiedział krótko:

– Nie. Tak będzie dla ciebie lepiej.

Nie nalegałam. W sumie i tak jedyną osobą, która mogłaby utrzymywać ze mną kontakt, jest Kama. Przypuszczam, że Filip robi to w moim imieniu. Wysyła regularnie zdjęcia Frania i wiadomości tekstowe, by nie wzbudzać żadnych podejrzeń. Skoro przez pół roku Kamila nie zorientowała się, że pisze z Filipem, to najwidoczniej mąż perfekcyjnie opanował sztukę podszywania się pode mnie.

Kiedy tak rozmyślam, że w gruncie rzeczy w tym domu nic nie należy wyłącznie do mnie, pod powieki zaczyna napływać sen. Ostatnią myślą, jaką udaje mi się uchwycić w stanie półświadomości jest wspomnienie Wojtka. Pamięć o nim jest jedynym, do czego mam prawo na wyłączność i tylko ta sfera pozostaje zamknięta dla Filipa. I to właśnie Wojtek śni mi się tej nocy, choć ani razu nie widzę jego twarzy. Wiem jednak, że to on, bo postać ze snu otula mnie takim poczuciem bezpieczeństwa, jakiego nie jestem w stanie doświadczyć przy nikim innym.

Dopiero koło piątej rano budzi mnie płacz synka. Słyszę jego zawodzenie, musi być bardzo głodny, ostatnią porcję mleka zjadł prawie sześć godzin temu. Próbuję się dobudzić, ale umysł i ciało odmawiają mi posłuszeństwa. Wiem, że muszę wstać i nakarmić Franka, ale nie chcę jeszcze rozstawać się z Wojtkiem. Chcę o nim śnić i śnić, bez końca.

Drzwi do mojej sypialni otwierają się gwałtownie. Sen pryska jak bańka mydlana, a jego miejsce zajmuje widok wściekłego Filipa, potrząsającego mnie za ramiona.

– Nie słyszysz, że dziecko płacze? – wrzeszczy przy wtórze piskliwego płaczu Franka. – Pieprzona śpiąca królewno, bierz się do roboty!

Wstaję natychmiast i bez słowa biorę syna na ręce. Schodzimy do kuchni i tam przygotowuję mu posiłek. Nie mam żalu do Filipa za tę gwałtowną pobudkę, kolejny raz dałam ciała jako matka.

Machinalnie wykonuję wszystkie poranne czynności. Spodziewam się, że czeka mnie ciężki dzień, skoro udało mi się rozwścieczyć męża, nim jeszcze na dobre otworzyłam oczy. O dziwo, nie przejmuję się tym za bardzo. Głowę zaprzatają mi dziś myśli o Wojtku. Zastanawiam się, jakim byłby ojcem i czy nasza relacja po narodzinach Franka zmieniłaby się. Ba! Franek najprawdopodobniej w ogóle nie byłby Frankiem, bo zapewne

zdecydowalibyśmy się na zupełnie inne imię. Być może gdyby żył Wojtek, lepiej dawałabym sobie radę z macierzyńskimi obowiązkami. Pewnie wszystko byłoby inne. Lepsze.

– O, jaki śliczny, najedzony chłopiec. Nie można było tak od razu, mamusiu? – Filip gładzi Franka palcem po policzku, a chwilę później niespodziewanie całuje mnie w policzek. Wzdrygam się.

– Wychodzisz gdzieś? – pytam.

To najlepsza okazja, by go wyczuć. Filip bywa niezwykle chimeryczny, a jego nastroje i nastawienie do mnie potrafi zmienić się w ciągu zaledwie kilku minut. Próbuję dowiedzieć się, z którą wersją mężczyzny będę miała dziś do czynienia – opryskliwym furiatem z sypialni, czy czułym ojcem i mężem sprzed chwili.

– Jadę do Rzeszowa na spotkanie z potencjalnym kontrahentem. Wrócę wieczorem. Mam nadzieję, że miło spędzicie dzień.

– Jest taka ładna pogoda. Myślałam, że wyjdziemy z Frankiem na spacer.

– Zapowiadają deszcze od południa. Pospacerujemy jutro. Ale na poprawę humoru zostawiłem coś dla ciebie w łazience na górze.

Filip całuje Franka w czoło i wychodzi z domu w widocznie dobrym nastroju. Znowu zostajemy tutaj zamknięci na cały dzień, ale najważniejsze, że zapowiada się dzień bez krzyków, czy co gorsza, zimnej wojny.

Wkładam Frania do kojca i wrzucam tam jego ulubione zabawki. Zamierzam jak najszybciej sprawdzić, jaką niespodziankę przygotował dla mnie mąż. Zaczyna odzywać się moja skłonność do podejrzewania Filipa o jak najgorsze zamiary względem mnie, bo z obawą popycham drzwi łazienki. Sama nie wiem, jaki widok spodziewałam się tam zastać, ale na brzegu wanny odnajduję tylko zestaw luksusowych kosmetyków do pielęgnacji ciała z dołączonym odręcznie pisanym liścikiem: *Kiedy Franio zaśnie, urządz sobie domowe SPA. Zasłużyłaś.*

Całodniową nieobecność Filipa postanawiam przyjąć zatem za dobrą monetę. Zamierzam dzisiaj odprężyć się i zrelaksować, a później odświeżyć swoje wspomnienia o Wojtku. Poprzezglądam zdjęcia, może poukładam je na nowo w albumie. O, albo lepiej – wybiorę moje ulubione i ustawię w ramkach na kominku. Franio będzie dorastać otoczony fotografiami swojego prawdziwego tatusia. Filip wyszedł z domu w dobrym humorze, więc po powrocie nie powinien się zdenerwować na widok zmian, jakie zamierzam dziś wprowadzić. Zresztą, jakie to ma znaczenie. Niemożliwe,

by miał coś przeciwko wyeksponowaniu zdjęć swojego zmarłego brata. Ich relacje nie były idealne, ale przecież łączyły ich więzy krwi. Na pewno też odczuwa tęsknotę za Wojtkiem.

Kiedy Franio zasypia, postanawiam od razu znaleźć pudełko ze zdjęciami zmarłego męża. Jest już po piętnastej, nie pozostało zbyt wiele wolnego czasu, więc całkowicie mijam mi ochota na jakiegokolwiek rytuały upiększające. Nie chciałabym jednak, żeby po powrocie Filipowi zrobiło się przykro, że nie doceniłam tego miłego gestu. Wyciskam z tubki trochę peelingu i wrzucam do toalety. Tam też wlewam odrobinę płynu do kąpieli i zapachowego olejku. Nieco balsamu nawilżającego wcieram w przedramiona.

Zastanawiam się, gdzie mogą znajdować się rzeczy z mojego dawnego mieszkania. Kiedy się tu wprowadziłam, wszystko było już zaaranżowane i urządzone przez Filipa. Do mojej sypialni przylega niewielka garderoba, w której równiuteńko poukładane zostały wszystkie buty i ubrania. W kuchni znalazły się nowiuteńkie sprzęty i elementy wyposażenia. Brakuje mi mojego ulubionego kubka na kawę. Wytłumaczyłam sobie jednak, że typowy mężczyzna, taki jak Filip, nie przywiązuje wagi do wartości sentymentalnej przedmiotów. Pewnie nawet nie pomyślał, że drogi zestaw eleganckich filiżanek bez wahania wymieniłabym na mój wysłużony kubek w kolorowe kropki.

Schodzę na dół do salonu i postanawiam dokładnie przejrzeć wszystkie szuflady w komodzie, przekonana, że właśnie tam powinnam rozpocząć poszukiwania ślubnego albumu i drewnianego pudełka ze starymi zdjęciami. Tam odłożyłam je w wigilijny poranek, kiedy to przeglądałam je ostatni raz, przybita myślą o pierwszych świętach bez Wojtka.

Przedmioty w kolejnych szufladach leżą ułożone jak od linijki, panuje tu pedantyczny wręcz porządek. Są teczki z dokumentami, kilka książek, pudełko z ładowarkami i innymi akcesoriami do telefonów. W ostatniej z nich znajduję dwie nieodpakowane bombonierki, środek do czyszczenia szyby kominkowej oraz ryzę papieru do drukarki. Nigdzie jednak nie ma ani śladu po pamiątkach z mojego dawnego życia.

Poszukiwania pochłaniają mnie bez reszty. Przekopuję całą swoją garderobę, wyrzucając na podłogę zawartość szaf. Bezowocnie szukam pudełka z fotografiami w komodach z ubrankami i zabawkami Frania,

przeczesuję centymetr po centymetrze szafki kuchenne i pomieszczenie gospodarcze.

Jestem przekonana, że zdjęcia Wojtka znajdują się w tym domu. Przeglądałam je przecież jakiś czas temu. Pamiętam doskonale szelest pergaminu pomiędzy kolejnymi, ciężkimi od kleju stronami albumu, na których uwieczniono najszcześniejszy dzień mojego życia.

– Pokój Filipa – mówię sama do siebie i wbiegam po schodach, by chwilę później pociągnąć za klamkę drzwi sąsiadujących z tymi prowadzącymi do mojej sypialni.

Nie powinnam być zaskoczona, że klamka nie ustępuje pod naciskiem. Filip pilnuje dostępu do tego pokoju i kiedy tylko przekracza jego próg, choćby na kilka minut, przekręca klucz i zabiera go ze sobą. Twierdzi, że to nie tylko jego sypialnia, ale całe centrum dowodzenia firmą, karierą i pieniędzmi. Zapytałam kiedyś, dlaczego tak radykalnie strzeże gabinetu, odpowiedział, że chciałby od małego przyzwyczaić Franka do trzymania się z daleka od jego miejsca pracy. Tak, by dziecko nie traktowało tego jako zakazu zbliżania się do pokoju, ale uznawało za zupełnie naturalny stan rzeczy. To tłumaczenie wydało mi się całkiem logiczne i nie drażyłam więcej tematu.

Teraz jednak, bardziej niż kiedykolwiek, zapragnęłam sforsować drzwi. Potrzeba zobaczenia twarzy Wojtka na fotografii nie była już pragnieniem, a koniecznością, zupełnie jakby od tego zależało życie moje i Franka. Jestem zdesperowana, muszę znaleźć te zdjęcia. Jeśli nie ma ich w żadnym z pozostałych pomieszczeń, to oznacza, że są tutaj. Nie wiem, po co Filip zabrał je do siebie, ale czuję się w obowiązku je odzyskać. Należą do mnie i nikt inny nie ma prawa nimi dysponować.

Szarpię klamką jeszcze kilkukrotnie, choć dobrze wiem, że nie przyniesie to żadnego efektu. Muszę znaleźć inny sposób. Przypominają mi się obejrzone niegdyś filmy szpiegowskie i postanawiam wypróbować sztuczkę z metalową wsuwką. Wypinam jedną z koczka, rozszerzam przy pomocy zębów i usiłuję wcisnąć w zamek. Być może metoda ta mogłaby się sprawdzić w przypadku klasycznej dziurki od klucza, ja ponoszę jednak klęskę. Zamek w drzwiach gabinetu Filipa jest zbyt nowoczesny, spinka nawet na milimetr do niego nie wchodzi, nie mówiąc już o możliwości przekręcenia jej wewnątrz.

Płacz Franka przerywa moją zabawę w domorosłego MacGyver'a. Karmię synka, kąpię i zakładam świeżą pieluszkę. Zauważam, że przez zaczerwienione dziąsło zaczyna przebijać się pierwszy ząbek.

– Czekają nas bezsenne noce, kochanie – mówię bardziej do siebie niż do niego.

Obiecuję sobie, że jeśli Filip wróci we względnie dobrym nastroju, po prostu zapytam go o te zdjęcia. Nie zrobię znów z siebie histeryczki. Najbardziej prawdopodobna wersja to ta, że Filip stęskniony za bratem zabrał zdjęcia do swojego pokoju, by tam spokojnie je przejrzeć. I choć na usta ciśnie mi się pytanie *dlaczego po prostu nie usiadł i nie pooglądał ich ze mną?*, doskonale znam na nie odpowiedź. Filip nigdy nie wie, jak zareaguję i chciał mi pewnie oszczędzić kolejnych łez. Nie mogę bezpodstawnie oskarżać go o celowe schowanie tych zdjęć. To absurdalne.

7.

Na zewnątrz jest już całkiem ciemno, a Filip jeszcze nie wrócił do domu. W normalnych warunkach po prostu zadzwoniłabym do męża, żeby zapytać czy wszystko u niego dobrze. Trochę się niepokoję, bo dochodzi dwudziesta druga i pierwszy raz o tej porze jesteśmy sami z Frankiem na tym odludziu.

Nie potrafię martwić się o Filipa tak, jak kiedyś drżałam o życie i bezpieczeństwo Wojtka. Nie wiem czy kiedykolwiek nauczę się o nim myśleć jako o najbliższym człowieku na świecie. Mimo to mam nadzieję, że niedługo wróci. Nie brakowałoby mi go jakoś szczególnie, po prostu bez Filipa nie bylibyśmy w stanie przeżyć z Frankiem. Jesteśmy od niego całkowicie zależni.

Zerkam do łóżeczka, upewniając się, że Franio śpi. Postanawiam dłużej nie czekać na powrót męża i wziąć szybki prysznic. Samotne matki przecież też jakoś sobie radzą. Na pewno nic złego się nie stanie, jeśli na pięć minut spuszczę Franka z oka. Zabieram ze sobą do łazienki elektroniczną nianię i zostawiam uchylone drzwi, by wyłapać ewentualny szelest z sypialni.

Zasuвам drzwi prysznica i odkręcam wodę. Ciepły strumień oblewa moje ciało. Wsuвам głowę pod deszczownicę, moczę włosy. Nakładam szampon i energicznymi ruchami pocieram skórę. Nie ma czasu na

powtórzenie czynności, a tym bardziej na nakładanie odżywki czy maski. Zawsze cienkie, mysie włosy w czasie ciąży osłabiły się do granic możliwości. Już nic im nie pomoże.

Na czas nakładania żelu pod prysznic wyłączam wodę. Wydaje mi się, że usłyszałam stuknięcie, wyteżam słuch, ale odpowiada mi tylko głucha cisza. Zaczynają za to odzywać się nieznośne głosy w głowie, urządzając sobie swoisty konkurs na wyartykułowanie najbardziej realnej z moich obaw. *A jeśli, a jeśli, a jeśli... A jeśli Filip nigdy nie wróci... A jeśli nie uda nam się stąd wydostać. A jeśli Franka kiedyś dotknie poważna choroba... A jeśli zasłużyłam sobie na wszystko, co mnie spotyka...*

Odkręcam wodę i ustawiam możliwie jak największe ciśnienie, jednostajnym szumem wody próbuję zagłuszyć swój strach. Wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby istniał jakiś przycisk, przy pomocy którego mogłabym wyłączyć myślenie i skłonność do rozbijania rzeczywistości na najdrobniejsze elementy. Spłukuję z siebie pianę, woda huczy tuż przy mojej twarzy. Chociaż słyszę dziwne dźwięki: skrzypienie schodów, metal upadający na podłogę i chrobotanie, a serce zaczyna walić ze strachu jak szalone, powtarzam sobie, że wszystkie są wytworem mojej wyobraźni, a jedyne, co naprawdę mogę słyszeć, to odgłos lejącej się wody i bulgotanie w rurach.

– Filip niedługo wróci – stwierdzam najpewniejszym głosem, na jaki mogę się w tej sytuacji zdobyć. – Nic złego się nie stało. Filip na pewno wróci.

Zamykam oczy, by policzyć spokojnie do dziesięciu i wyjść spod prysznic, kiedy szklane drzwi niespodziewanie rozchylają się. Nim zdążę krzyknąć z przerażenia, czy zasłonić dłonią nagie i bezbronne ciało, słyszę znajomy głos.

– Filip właśnie wrrrócił, kooo-chanie! – bełkocze. – Przytul mnie, moja booo-gini!

Zrywam ręcznik z wieszaka i owijam się nim.

– Wyjdź stąd natychmiast! Jesteś pijany.

– Nie zaaaa-słaniaj się przede mną. Do kurwy nędzy, jesteś moo-ją zoo-ną – wrzeszczy Filip, uderzając pięścią z całych sił w szafkę pod umywalką.

– Uspokój się, bo obudzisz Franka.

– Nie będę spoo-kojny! Zrzucaj z siebie ten ręcznik, aa-le już!

Sięgam do klamki, żeby przymknąć drzwi. Nie chcę, by nasze krzyki obudziły Franka. Szybko orientuję się, że to był błąd. Filip, mimo wyraźnego upojenia alkoholowego, sprawnie przekręca zamek i barykaduje wyjście z łazienki swoim ciałem.

Jestem zupełnie zdezorientowana i nie wiem, czego się mogę spodziewać. Pierwszy raz widzę Filipa pijanego, więc nie potrafię przewidzieć jego reakcji. Wojtek rzadko się upijał, a jeśli już, to bywał wtedy dość zabawny i pocieszny.

Najważniejsze zadanie na teraz, to wydostać się z łazienki, później spróbuję nakłonić Filipa do położenia się do łóżka. Patrzę na chwiejącego się na nogach i walczącego z klamrą paska męża i decyduję, że najlepiej będzie chyba po prostu wydawać krótkie, jasne, stanowcze komunikaty.

– Filip, odsuń się od drzwi. Muszę wyjść do Franka, bo w każdej chwili może się obudzić.

– W duuu-pie mam jakiegoś Franka! Chcę kooo-biety!

– Uspokój się i przepuść mnie.

Próbuję przepchnąć Filipa na bok i dosięgnąć zamka. Po alkoholu zdaje się jednak mieć przyływ sił. Jednym zwinnym ruchem popycha mnie na przeciwległą ścianę, drugą ręką zrzuca ze mnie luźno zawinięty ręcznik. Oblewa mnie rumieniec. Dziś pierwszy raz stoję przed Filipem zupełnie naga. Wmawiam sobie, że jutro z pewnością nie będzie nic z tego wieczoru pamiętał, choć mam świadomość, że to nieprawda. Daleko mu jeszcze do tego stanu, gdy mózg nie kontroluje ciała.

– Masz tak maaa-łe cycki, że nie musisz ich zasłaniać. Z lupą trzeeee-ba ich szukać. Ha! Ha!

Drwiący śmiech odbija się echem, podczas gdy ja próbuję jakoś osłonić przed jego wzrokiem najintymniejsze części mojego ciała.

– No, nie strzelaj fochem skaa-rbie. I tak mnie kręcisz.

Filip z całej siły dociska mnie do ściany. Zgiętym przedramieniem podtrzymuje mnie na wysokości talii tak, żebym nie mogła się ruszyć. Czuję się jak w pułapce, bezskutecznie próbuję się wyrwać z jego mocnego uścisku. Drugą, wolną ręką, grzebie w majtkach. Mam świadomość, co za chwilę się wydarzy. Jestem zbyt słaba, by się uwolnić spod ciężaru napierającego na mnie ciała. Łkam tylko cicho.

– Nie, błagam. Nie...

Jednym gwałtownym pchnięciem Filip przedziera się przez granicę, której nie pozwoliłam przekroczyć nikomu innemu niż Wojtek. Jest wewnątrz mnie i sapie zbereźnie. Jego śmierdzący drogim whisky oddech zostawia lepkie ślady na mojej twarzy i szyi. Nie myślę o niczym. Jak magiczne zaklęcie powtarzam bezgłośnie: *kończ już, kończ już*.

Jeszcze kilka mocnych pchnięć, kilka jęków oraz spazmatycznych drgnięć i jest po wszystkim. Biała maź spływa pomiędzy moimi udami, kreśląc swoją ścieżkę zwycięstwa. Nabrzmiały penis to igła, a ja jestem balonem, z którego przemocą usunięto powietrze. Teraz jestem już zupełnie pusta, nie zostało ze mnie nic.

– Zrobiłeś swoje, to teraz spierdalaj! – wrzeszczę, powstrzymując łzy. Nie rozkleję się przy nim. Nie dam mu tej satysfakcji.

Filip odsuwa się bez słowa. Na jego twarzy maluje się bezczelny uśmiech. Kiedy go mijam, wymownie oblizuje usta i puszcza do mnie oko.

Naga wsuwam się pod kołdrę. Ciałem wstrząsają dreszcze. Co po chwila oblewają mnie zimne poty. Dosięga mnie znajome uczucie, to silne pragnienie, by nareszcie zasnąć i nigdy więcej już się nie obudzić. Gdyby nie Franek... Nie, nigdy nie zostawiłabym synka z tym zwyrodnialcem.

Brzydzę się sobą, brzydzę się nim. Czuję się tak bardzo upokorzona. Filip przekroczył dzisiaj wszystkie granice. Znosiłam krzyki, odcięcie od świata, próbę wmówienia mi, że jestem złą matką. Gwałtu po pijaku nie przewidziałam nawet w najczarniejszym scenariuszu.

I wtedy odzywa się ten złowieszczy głos w mojej głowie, że najgorsze dopiero przede mną. Zatykam dłońmi uszy i krzyczę najgłośniejszym jak potrafię, byleby tylko go zagłuszyć.

8.

Snuję się po domu jak cień. Filip nie wyszedł jeszcze ze swojego pokoju, choć już prawie południe. Pewnie śpi. Dumny z siebie samiec, który wreszcie upolował spłoszoną zwierzynę.

Mam ochotę się napić. Upić do nieprzytomności i zasnąć. Nie czuć. Ale nie mogę, muszę być silna dla Franka. Próbuję skupić się na zabawie z nim. Potrząsam kolejno różnej wielkości i kształtu grzechotkami, naciskam łapki pluszowych maskotek, by zagrała wesoła melodyjka, nakręcam małego

blaszanego bączka, którego Kama kupiła dla niego w sklepie ze starociami jeszcze przed jego narodzinami. Zabawka z duszą.

I wtedy przypominam sobie o innym, wyjątkowym prezencie, jaki Franek dostał od mojej przyjaciółki. Srebrne serduszko na łańcuszku, we wnętrzu którego umieściła zdjęcie Wojtka.

– Jak w starym filmie – śmiała się, kiedy na ślubie wręczała mi potajemnie maleńkie pudełeczko. – Na razie jest dla ciebie, ale kiedy urodzi się maleństwo, przekażesz mu je w imieniu cioci Kamy.

Podświadomie czułam, że muszę ten medalion ochronić przed całym światem. Pilnowałam go jak oka w głowie, by nie zawieruszył się gdzieś przed narodzinami Franka. Był pierwszą rzeczą, jaką zapakowałam do szpitalnej torby. Po powrocie z kliniki wsunęłam serduszko do komody, na sam spód sterty pachnących i równiutko poskładanych niemowlęcych ubranek.

Nagle chęć wzięcia medalionu do ręki staje się potrzebą, donośnie domagającą się spełnienia – tu i teraz. Chcę poczuć w dłoni przedmiot, który należy tylko do nas, do mnie i Frania. Chcę zobaczyć uśmiechniętą twarz Wojtka, wypełnić te niepokojące plamy w pamięci, pogłębiające się z każdym kolejnym dniem rozłąki.

Wysuwam środkową szufladę i podnoszę maleńkie ciuszki. Z przerażeniem stwierdzam, że nie ma tam prezentu od Kamy. Wyrzucam zawartość mebla na podłogę i rozkładam z nadzieją każde z ubranek. Z żadnego z nich nie wypada jednak zagubiony przedmiot. W panice wsuwam palce pod szafkę, a później w wąską szczelinę między szufladą a obudową komody i przesuwam dłonią po każdym centymetrze kwadratowym tej przestrzeni. Nie wyczuwam kojącego chłodu metalu.

Dla spokoju sumienia przeglądam pozostałe półki i szuflady, choć dobrze wiem, że nie znajdę tam medalionu. Ani tam, ani w żadnym innym zakamarku mieszkania. Nie zawieruszył się, jestem o tym przekonana. Wydarzenia ostatnich dni łączą się w całość. Najpierw nie mogłam znaleźć ślubnego albumu, teraz medalion ze zdjęciem Wojtka rozpułnął się w powietrzu. Zniknięcie tych pamiątek w tym samym czasie nie jest przypadkiem. Nie mam wątpliwości, że zabrał je Filip, ale nie znam odpowiedzi na pytanie *po co?*

Wszystko we mnie krzyczy, lecz obiecuję sobie nie płakać. Dość łez wylałam ostatniej nocy. Muszę znaleźć w sobie siłę, bo czeka mnie dziś

konfrontacja z Filipem. Nie mogę dusić w sobie gniewu i upokorzenia. Zamierzam jasno postawić sprawę – nigdy więcej nie ma prawa mnie tknąć. Zaginięcie wisiora i zdjęć to póki co kwestia drugorzędna, przyjdzie jeszcze czas, by to wyjaśnić.

Staram się zająć myśli wykonywaniem banalnych obowiązków domowych. Wkładam ubrania do pralki, opróżniam zmywarkę, zmieniam Frankowi brudną pieluchę. Nie próbuję przy tym zachować ciszy, w nosie mam, czy brzdęk sztućców albo wirująca pralka obudzą Filipa.

Poranny smutek z każdą mijającą minutą ewoluuje w buzujący gniew. Jestem wściekła na niego, że był w stanie tak mnie potraktować. I na siebie, że dobrowolnie wplątałam się w ten chory układ.

Filip opuszcza swój pokój dopiero w porze poobiedniej drzemki Frania. Bezmyślnie wpatruję się w ekran telewizora, kiedy szanowny małżonek z głośnym ziewnięciem przekracza próg salonu.

– Zrób mi kawy. Głowa mi pęka, chyba wczoraj kapkę za dużo wypilem – rzuca w moim kierunku, moszcząc się wygodnie w fotelu. – Franek śpi?

– Sam sobie zrób. Nie jestem twoją służącą – cedzę przez zaciśnięte zęby.

Kiedy patrzę na jego opuchniętą twarz, przekrwione oczy i rozczochrane włosy, czuję nie tylko obrzydzenie, ale i wzbierającą na nowo falę upokorzenia i wstydu. Nie mogę dłużej milczeć. Filip wpatruje się we mnie z niedowierzaniem, lecz zanim zdąży cokolwiek powiedzieć, jednym tchem wyrzucam z siebie nagromadzony żal.

– Nie! Nie zrobię ci kawy i nie pozwolę dłużej traktować się w taki sposób. Nie wypileś wczoraj trochę za dużo, ty się zwyczajnie nawaliłeś jak świnia! Ale to nie jest aż taki problem. Zrobiłeś wczoraj coś wiele gorszego, o ile w ogóle cokolwiek pamiętasz w swoim pijackim zamroczeniu.

– O, przepraszam... – wchodzi mi w słowo. – O ile dobrze pamiętam, to właśnie ty nawalona w trzy dupy spałaś, mając pod opieką dziecko. Potrzebujesz, żeby odświeżyć ci pamięć?

– Nie zmieniaj tematu. Żałuję tego i będę żałować każdego kolejnego dnia. Zresztą przepraszałam już za to. Ty mnie wczoraj zgwałciłeś! Jakoś nie widzę w twoich oczach ani grama skruchy.

– Ha! Co zrobiłem? Zgwałciłem cię? Chyba żartujesz! – prychnął lekceważąco.

– Nie pamiętasz nic z poprzedniej nocy?

A co jeśli rzeczywiście urwał mu się film jeszcze przed powrotem do domu i nie ma pojęcia, co między nami zaszło? Świadomy czy też nie, to tak naprawdę nieistotne. Uprawialiśmy seks wbrew mojej woli, a głęboki stan nietrzeźwości w żaden sposób go nie rozgrzesza.

Filip wstaje z fotela, siada tuż obok na kanapie i ściśle obejmuje dłońmi moje nadgarstki. Wbija przenikliwe spojrzenie prosto w moje oczy, sycząc:

– Żonko, ja wszystko doskonale pamiętam. Wreszcie udało mi się skonsumować nasze małżeństwo. Cóż, trochę inaczej sobie to wyobrażałem. W moich fantazjach byłaś bardziej wilgotna, namiętna i podniecona, ale jeszcze nad tym popracujemy. Pierwsze śliwki robaczywki, czyż nie?

Odruchowo zrywam się z sofy, ale silny uścisk męskich rąk natychmiast sprowadza mnie z powrotem na miejsce. Nie mogę uwierzyć w słowa, które przed momentem padły z ust Filipa. Muszę to natychmiast przerwać i jasno wyznaczyć granice. Nieudolnie próbuję wyswobodzić nadgarstki. Silne dłonie mojego męża zaciskają się niczym imadło. Z całą pewnością jutro ich miejsce zajmą siniaki. Fizyczna przewaga Filipa nade mną jest ewidentna i bezsprzeczna, moim jedynym orężem w tej nierównej walce mogą okazać się wyłącznie słowa.

– Posłuchaj mnie uważnie. Nigdy więcej nie będę uprawiała z tobą seksu, rozumiesz? Zapominam o całej sytuacji i żyjemy tak, jakby wczorajsze zajście w łazience nie miało miejsca. Ale przysięgam, jeśli dotkniesz mnie jeszcze raz, natychmiast zgłaszam to policji. Dotarło to do ciebie?

– Oj, dziewczynko. Zabawna jesteś, kiedy próbujesz pozować na taką groźną i stanowczą – Filip śmieje się i rozluźnia nieco uścisk. – Pobawmy się zatem, puśćmy wodze fantazji i wyobraźmy sobie, że w jakiś sposób po naszych kolejnych igraszkach docierasz na komisariat. Mówisz: *ojej, ojej, panie władzo, mój własny mąż uprawiał ze mną przed chwilą seks. Proszę go aresztować*. Kaju kochana, słyszysz jak to absurdalnie brzmi?

– Musisz ze wszystkiego kpić?

– Po prostu próbuję ci uświadomić, że od kilku miesięcy jesteśmy małżeństwem, a seks jest jednym z ważniejszych aspektów sformalizowanego związku. Chyba nie zaprzeczysz. Jesteś moją żoną i oczekuję od ciebie regularnego współżycia, a kiedyś może nawet dziecka.

– Przecież dobrze wiesz o tym, że nasza sytuacja jest zupełnie inna. Naprawdę muszę ci to tłumaczyć? Nie jesteśmy zwyczajnym małżeństwem...

– Nasz ślub jest tak samo ważny jak każdy inny. A obowiązkiem żony jest sypiać ze swoim mężem. Jesienią urodziłaś Franka, więc cierpliwie odczekałem kilka miesięcy na swoją kolej. Jestem zdrowym mężczyzną, a ty niczego sobie kobietą. Seks między dwojgiem młodych małżonków to najbardziej naturalna rzecz na świecie – mówi do mnie tonem ojca tłumaczącego krnąbrnemu dziecku, dlaczego nie kupi mu kolejnego samochodziku.

Czuję się bezsilna i poirytowana, bo ta rozmowa coraz bardziej przypomina spotkanie przedstawicieli różnych planet, władających nie tylko różnymi językami, ale też zakorzenionych w odmiennych realiach i systemach wartości.

– Kurwa, Filip, naprawdę nie sądziłam, że będziemy musieli odbywać taką rozmowę. Nie masz do mnie za grosz szacunku, przekonałam się o tym dość boleśnie już jakiś czas temu. Ale na litość boską, nie minął jeszcze rok, od kiedy nie ma z nami Wojtka, a ty bierzesz mnie siłą wbrew mojej woli i nie widzisz w tym niczego niestosownego. Otrząśnij się człowieku przynajmniej z uwagi na pamięć o nim! – mój krzyk coraz bardziej przybiera na sile. Nie mogę przestać wrzeszczeć, mimo że hałas właśnie obudził drzemiącego Franka. – Oddaj mi zdjęcia, które zabrałaś. Nie zasługujesz na to, by patrzeć na niego!

– O czym ty w ogóle mówisz?

Filip patrzy na mnie jak na wariatkę. Wstaje i wychodzi bez słowa do kuchni.

9.

Ponure dni zimowe niepostrzeżenie przeobraziły się w płaczącą deszczem wiosnę. Franio ma już cztery ząbki, raczkuje coraz szybciej i śmieiej, a płasające do góry pośladki wyraźnie sugerują, że lada dzień rozpoczną się pierwsze próby wstawania.

Synek codziennie staje się coraz większy, silniejszy i bardziej kontaktowy. Wprost proporcjonalnie do jego rozwoju rośnie mój strach i obawa o jego przyszłość. Nie mówiąc już o nieustannie przybierających na

sile wyrzutach sumienia, bo przecież doskonale wiem, że sama wpakowałam nas w to piekło. Ten pozornie spokojny, piękny i ze smakiem urządzony dom nie jest miejscem, w którym powinno wychowywać się moje dziecko.

Agresja Filipa ciągle przybiera na sile. Na szczęście skierowana jest wyłącznie na mnie, Franek traktowany jest przez niego po królewsku, ale boję się, że któregoś dnia sytuacja może ulec zmianie. Mój mąż to niezwykle nieprzewidywalna postać, nigdy nie wiadomo, kiedy akurat trafi się na jego gorszy dzień i z byle powodu popadnie w niełaskę. Póki Franio jest rozkosznym, małym chłopcem o niewielkich potrzebach, ze strony Filipa raczej nic mu nie grozi. Z niepokojem myślę jednak o chwili, gdy ciekawski malec zacznie bałaganić na potęgę lub niszczyć meble, czy też rysować po nieskazitelnie białych ścianach. Nie wspomnę już o buncie dwulatka. Póki co nie widzę żadnego rozwiązania, a to powoduje, że coraz mocniej poddaję się poczuciu beznadziei i zrezygnowania. Staram się nie zastanawiać nad przyszłością. Pustka teraźniejszości oraz demony przeszłości zapewniają mi dostatecznie dużo wrażeń.

Nadejście kolejnych wieczorów wiąże się z ogromną porcją stresu. Nigdy nie wiem, czy przede mną jedna z tych nocy, podczas których Filip bezpardonowo wślizgnie się do mojego łóżka i natarczywie egzekwować będzie spełnianie małżeńskiego obowiązku. A w zasadzie każdego z jego możliwych wariantów. Choć powoli przywykam do sypiania z Filipem, niezmiennie czuję odrazę i obrzydzenie zarówno wobec niego, jak i samej siebie. Nie umiem pozbyć się paskudnego wyrzutu sumienia, że regularnie zdradzam Wojtka. I to z jego młodszym bratem.

Wojtek pojawia się w moich myślach coraz częściej, głównie za sprawą Frania, który coraz bardziej upodabnia się do zmarłego ojca. Choć jego obraz nadal pozostaje w mojej pamięci nieco zatarty, to w zmieniającej się z każdym tygodniem buzi synka rozpoznaję znajomą i ukochaną twarz. Nie mogę wówczas opędzić natarczywych rozmyślań na temat tragicznej śmierci Wojtka. Wracają pytania, które już na zawsze pozostaną bez odpowiedzi. Nie mam pojęcia, dokąd jechał i dlaczego jego samochód w ogóle znalazł się tego dnia na Zakopiance. Wolę nie myśleć, że mąż miał przede mną jakieś tajemnice, nie chcę też na ślepo stawiać hipotez, więc staram się zająć głowę czymkolwiek innym, byleby je rozgonić.

Dziś jest bardzo specyficzne święto, którego smutek odczuwam niemal każdą komórką ciała. Gdyby tego felernego czerwcowego dnia Wojtek nie zginął w wypadku samochodowym, obchodziłby właśnie swoje trzydzieste pierwsze urodziny. Trudno udźwignąć mi ten ból i nawet wyciągnięte w moim kierunku ramiona Franka nie są w stanie choćby częściowo go ukoić.

Sadzam Frania w foteliku do karmienia i daję mu do rączki pluszowego niedźwiadka. Przez kilka minut powinien zająć się zabawką i pozwolić mi zamienić kilka słów z mężem. Zamierzam wykorzystać fakt, że Filip wstał w stosunkowo dobrym humorze i teraz z tabletem w ręku usiadł do śniadania, które dla niego przygotowałam.

– Dobrze spałeś? – zagaduję, nalewając sobie kawy do porcelanowej filiżanki.

– Całkiem, całkiem. Bardziej podobały mi się te momenty nocy, kiedy jednak nie spałem. I nie mam tu na myśli pobudek zorganizowanych przez płaczącego Frania, he, he – nienawidzę tego głupkowatego uśmiechu, ale postanawiam puścić jego uwagi mimo uszu.

– Bardzo będziesz dziś zajęty? – staram się, by moje pytanie brzmiało jak najbardziej naturalnie. Nie chcę, żeby Filip domyślił się, że scenariusz tej rozmowy ćwiczyłam kilkakrotnie podczas ostatniej nocy. On jęczał z podniecenia, a ja starałam się udawać zadowoloną, w skupieniu dobierając do siebie kolejne słowa jak puzzle.

– Właściwie nie. A czemu pytasz?

– Chciałabym, żebyśmy wszyscy razem pojechali do Krakowa.

– Ale po co? Na zakupy? Tyle razy powtarzam ci, że wszystko zorganizuję, wystarczy tylko, że powiesz czego ci potrzeba – odpowiada, nie odrywając wzroku od ekranu tabletu.

– Nie chcę jechać do sklepu. Chcę zabrać Frania na cmentarz. Zresztą wypadałoby, żebyś ty też tam poszedł.

– Na cmentarz? Z małym dzieckiem? – Filip mało nie krztusi się kawą. – To raczej niezbyt standardowa atrakcja dla kilkumiesięcznego chłopca.

Staram się nie podnosić głosu, choć z każdą chwilą jest to coraz trudniejsze. Wiem jednak doskonale, że krzyk tylko rozwścieczyłby Filipa. Jedyna szansa, by przystał na moją propozycję to zachowanie całkowitego spokoju.

– Dziś Wojtek miałby urodziny. Chciałabym chociaż w taki sposób uczcić ten dzień, pójść na jego grób z synem i zapalić znicz.

– Jaki Wojtek? Kolejny raz wyjeżdżasz z jakimś Wojtkiem. Kaja, coś ty znowu wymyśliła?

– Filip, to naprawdę nie jest dobry temat do żartów. A jeśli myślisz, że w ten sposób rozładujesz napięcie, to wybaczone, ale ci się nie udało.

– Spójrz na mnie i sama sobie odpowiedz, czy wyglądam, jakbym żartował – głos Filipa staje się zimny i beznamiętny. – Pytam jeszcze raz. O czym ty, do cholery, mówisz?

– Chcę jechać na grób Wojtka. Proszę, zabierz nas tam – zaczynam łkać. – On miałby dzisiaj urodziny.

– Uspokój się i przestań płakać. Dziecko patrzy na matkę wariatkę, ogarnij się!

Palcem wskazującym Filip gładzi nos Franka, a chłopiec entuzjastycznie reaguje na tę pieśczoć, zaśmiewając się wniebogłose.

– A cio ta mamusia wymyśla, Franeczku? – szczebiocze. Dobrze wie, że taki sposób zwracania się do dziecka doprowadza mnie do szewskiej pasji. – Zaraz tatuś spacyfikuje mamusię i wybije jej z głowy jakieś dziwne pomysły.

Wyrywam Franka z krzeselka i biorę na ręce. Z pozoru niewinne słowa Filipa dla mnie brzmią jak groźba i obawiam się, że zaraz padnie cios. Wiem, nie powinnam traktować syna jako tarczy obronnej przed agresywnym mężem, ale jeśli Filip wymierzy mi dziś policzek, po którym zostanie ślad, nie będzie już najmniejszych szans, by zgodził się na wyjście z domu. Kiedy ostatnio rozciął mi wargę obrączką, przez prawie dwa tygodnie nie pozwolił nawet na spacer z Franiem dookoła domu, mimo że mieszkamy w dość odludnej okolicy. Bał się, że zobaczy mnie kurier, listonosz albo jakiś przypadkowy spacerowicz. Widok mojej ewidentnie obitej gęby zaburzyłby idealny obraz rodziny, jaki udało mu się wykreować.

– Nie mów tak do niego! – krzyczę, a Franek wybucha płaczem. – To nawet nie jest twój syn, nie masz prawa tak do niego mówić.

– Kaja, uspokój się! Co ty pierdolisz? – wyrywa mi syna z rąk i przytula do siebie. Franio kwili coraz ciszej. – Przerażasz mnie. Nie dość, że straszysz dziecko, to jeszcze bredzisz.

– Wcale nie bredzę. Franek jest dzieckiem Wojtka i dobrze o tym wiesz! Twój brat się w grobie przewraca, widząc jak mnie traktujesz.

– Co ty wygadujesz kobieto? Kaja, przestań pleść te bzdury i błagam cię, nie zmuszaj mnie, żebym musiał siłą przywołać cię do porządku. Bądź rozsądna, dziecko na ciebie patrzy i z każdym dniem rozumie coraz więcej. Niech nie dorasta w przekonaniu, że jego matka jest obłąkana.

Łzy płyną strumieniem. Nie wierzę, że to wszystko dzieje się naprawdę. Czuję jakbym waliła głową w mur, a ten ani drgnie. Dlaczego Filip tak się zachowuje? Dlaczego próbuje zrobić ze mnie wariatkę, udając, że nie wie, o co mi chodzi, gdy poruszam temat Wojtka.

Dlaczego on musiał umrzeć? Jego śmierć zmieniła moje życie w psychodeliczny koszmar. Tak bardzo za nim tęsknię, tak bardzo go potrzebuję. Choćby nie wiem co, muszę odwiedzić jego grób. To pragnienie jest o wiele silniejsze niż strach i zdrowy rozsądek. Plan rodzi się w mojej głowie w ciągu kilku sekund. Nie myśląc nad ewentualnymi konsekwencjami, od razu przechodzę do jego realizacji.

Biorę do ręki filiżankę z kawą, której nie zdążyłam jeszcze wypić i przechylam ją do ust. Sprawdzam językiem temperaturę napoju, na szczęście jest już chłodny. Opuszczam filiżankę i zamiast odstawić ją na stole, chlustam zawartością prosto w twarz Filipa, nie zważając na to, że na rękach trzyma Franka.

– Pojebało cię?! – wrzeszczy Filip, a Franio wybucha płaczem.

Kawa była zimna, wiem, że synkowi nie mogła stać się żadna krzywda, po prostu przestraszył się tego nagłego zamieszania. Nie oglądam się za siebie, pędzę prosto do przedpokoju. Mam niewiele czasu, by wydostać się z domu. Trzęsącymi dłońmi sięgam do kieszeni kurtki męża. Udaje mi się wydobyć stamtąd pęk kluczy. Nigdy ich nie używałam, nie wiem, którym otworzę drzwi wejściowe. Na oślep dopasowuję kolejne, ale żaden z nich nie pasuje do zamka. Wsuwam przedostatni klucz i przekręcam go. Nie mogę uwierzyć we własne szczęście, kiedy zapadka ustępuje pod naporem metalu. Już mam pociągnąć za klamkę, mobilizując całe ciało do biegu, gdy czuję silne uderzenie w dolną część pleców. Przeszywający ból powoduje, że osuwam się na podłogę. Zaciskam oczy z całych sił i przygotowuję się na przyjęcie kolejnego ciosu. Wydaje mi się, że stan napięcia i oczekiwania trwa całe wieki. Nic jednak się nie dzieje. Powoli otwieram oczy i rozluźniam mięśnie. Widzę nad sobą dyszącego Filipa, a w jego oczach dostrzegam przerażenie.

– Gdybyś po prostu zawiózł mnie na ten cholerny cmentarz, nie musiałabym próbować uciec – szepczę, bo nie mam już siły krzyczeć.

Ku mojemu zdziwieniu Filip nie podejmuje tematu. Awantura wisząca w powietrzu wydaje się być zakończona. Mąż podaje mi rękę i pomaga wstać.

– Idź do swojego pokoju i ochłoń. Uspokoję Franka i przyjdę do ciebie, żeby porozmawiać. To wszystko zaszło już za daleko.

*

Leżę zapłakana na łóżku i z niepokojem nasłuchuję odgłosów z korytarza. Za chwilę pewnie pojawi się tutaj Filip, a ja nie mam pojęcia, czego mogę się po nim spodziewać. Dzisiejszy cios w okolice nerek był najsilniejszym z dotychczasowych. Wydaje mi się, że on sam przeraził się intensywnością swojej reakcji. Boję się. Co najgorsze, obawiam się nie tylko Filipa, ale także samej siebie. Wydaje mi się, że w amoku gotowa byłabym nieumyślnie skrzywdzić Franka, narazić go na niebezpieczeństwo. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Kiedyś byłam taka rozważna, rozsądna i opanowana. Te czasy zdają się być tak odległe, że chwilami sama nie wiem, czy istniały naprawdę.

Gdyby ktoś rok temu powiedział mi, że tak będą wyglądały kolejne urodziny Wojtka, nie uwierzyłabym. Dziś ta absurdalna fikcja jest jedyną dostępną dla mnie rzeczywistością, w której wyjście na grób zmarłego męża urasta do rangi nieosiągalnego marzenia. Z takim samym efektem mogłabym poprosić Filipa o pozwolenie na lot w kosmos. Z tą różnicą, że to życzenie prawdopodobnie rozbawiłoby go, zamiast wywołać niekontrolowaną wściekłość.

Drzwi sypialni otwierają się i staje w nich Filip, niosący na rękach śpiącego Frania. Bezszelestnie odkłada dziecko do łóżeczka. Sprawia wrażenie smutnego i zatroskanego. Przyglądam się jego twarzy, gdy siada na skraju łóżka i ze zdziwieniem stwierdzam, że się go nie boję. Jego łagodne spojrzenie przywołuje na myśl wspomnienie sprzed kilku miesięcy, kiedy to narodziło się coś na kształt przyjaźni między nami. Nagle czuję obezwładniającą potrzebę powrotu do tej relacji, do czasów, gdy był on moim oparciem, a nie oprawcą.

Przysuwam się bliżej niego i chwytam za rękę.

– Przytul mnie – proszę, patrząc mu głęboko w oczy. – Co się z nami dzieje? Dlaczego już nie potrafimy się przyjaźnić? Spróbujmy to wszystko

naprawić.

Filip bierze mnie w ramiona. Przez chwilę milczy, a potem szepcze mi prosto do ucha:

– Już dobrze. Przyszedłem tutaj, bo chcę ci pomóc.

Zwalnia uścisk i bierze mnie za rękę. Prowadzi mnie na dół. Na ławie stoi butelka mojego ulubionego wina, a obok niego kartka ze starannie wykaligrafowanym wyrazem: *przepraszam*.

– Niektóre słowa łatwiej napisać niż wypowiedzieć – mówi, kiedy pytającym wzrokiem spoglądam na karteczkę.

– To prawda – odpowiadam, kiedy Filip zręcznie otwiera butelkę i nalewa purpurowy płyn do kieliszków.

– Usiądź, proszę. Chciałbym, żebyśmy spokojnie porozmawiali. Bez krzyków i płaczu. Mogę zacząć?

– Mhm...

– Kaju, obserwuję cię od jakiegoś czasu. Już kilka razy wspominałem, że twoje zachowanie wydaje mi się niepokojące. Zarzucałaś mi wtedy, że cię kontroluję i ograniczam wolność, a ja tłumaczyłem, że wszystkie moje działania mają na celu ochronę ciebie i Franka.

– Tak, ale...

– Pozwól mi skończyć. Są chwile, kiedy mnie przerażasz. Czasem mówisz o czymś z pełnym przekonaniem, a ja nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Zarzucasz mi, że celowo chowam przedmioty, o istnieniu których nigdy wcześniej nie słyszałem. Starłem się to ignorować, ale twój poranny wybuch po prostu mnie przeraził. Chcę ci pomóc, Kaju, ale najpierw ty musisz mi na to pozwolić.

– Dobrze – przytakuję i upijam łyk wina, choć tak naprawdę nie bardzo rozumiem, co Filip ma na myśli. Postanawiam jednak wysłuchać go do końca. Jeśli mamy naprawić tę relację, oboje musimy nad tym pracować.

– Powiem wprost. Obawiam się, że zaczynasz żyć w fikcyjnym, swoim własnym, wyimaginowanym świecie. Kilukrotnie wspomniałaś o jakimś Wojtku, sugerując, że jest on wyjątkowo bliską dla ciebie osobą i ja również powinienem go znać. Za każdym razem, gdy wywołujesz ten temat, zachowujesz się bardzo emocjonalnie, wręcz histerycznie, by nie powiedzieć paranoicznie.

– Ale Filip, przecież... – jego słowa niemal odbierają mi mowę. Czy to jakiś ponury żart? Zaczynam obawiać się, że to on może mieć poważne

zaburzenia, może nawet to początek choroby psychicznej. Nie chcę znów wyprowadzić go z równowagi, więc pytam spokojnie. – Naprawdę nie pamiętasz Wojtka?

– Nie. A powinienem?

– Filip, serio? Przecież to jest twój brat. To znaczy był. Wojtek to był twój brat.

– Kaju, ja nie mam brata – odpowiada Filip, przyglądając mi się badawczo. Chciałabym, żeby się roześmiał i powiedział, że tak tylko się ze mną droczy, ale wygląda na śmiertelnie poważnego.

– Nie masz, bo nie żyje. Zginął w wypadku.

– Posłuchaj mnie. Nie mam i nie miałem brata. Przerażasz mnie, kiedy mówisz do mnie w ten sposób.

– Ale... – głos mi się łamie. Zaczyna kręcić mi się w głowie. Podpieram głowę ręką, bo nagle wydaje się być zbyt ciężka. Jest mi strasznie słabo.

– Widzę, że jesteś przemęczona. To pewnie wszystko przez to. Ja dziś zajmę się Frankiem, a ty odpocznij. Jeśli za jakiś czas nie poczujesz się lepiej, znajdę dla ciebie jakiegoś specjalistę, a może nawet ośrodek, dobrze? Zaopiekuję się tobą, obiecuję.

Filip całuje mnie w czoło i na rękach zanoszą do sypialni. Zamykam oczy i w ciągu kilku sekund odpływam w nicłość.

10.

Filip ostatnio zdecydowanie mniej pracuje i więcej czasu poświęca Frankowi. Mnie w tym czasie zachęca do długich kąpiel, czytania książek i oglądania filmów. Z zewnątrz wyglądamy jak idealna rodzina, ale w istocie atmosfera w domu jest przedziwna. Trudno ją nawet opisać. Jesteśmy dla siebie wyjątkowo mili, ale oboje patrzymy na siebie z ogromną podejrzliwością. Mam wrażenie, że Filip cierpi na jakieś zaburzenia osobowości, on chyba myśli to samo o mnie. Żadne z nas od kilku dni nie poruszyło tematu Wojtka, ale nie możemy udawać w nieskończoność, że pewne słowa nie padły.

Chciałabym pogadać z Kama, ale od jakiegoś czasu Filip niechętnie aranżuje nasze spotkania, twierdząc, że po rozmowach z przyjaciółką jestem bardziej niespokojna i dla własnego dobra powinnam choć trochę ograniczyć ten kontakt. Zresztą sama Kama z trudnością znajduje czas na

babskie pogaduchy. Odkąd awansowała i dzieli swój czas między Londyn a Manchester, trudno jej upchnąć w grafiku wirtualną rozmowę z kumpelą z zapyziałej Polski. Jest przekonana, że u mnie wszystko w porządku i upajam się rodzinnym szczęściem. Eh, gdyby tylko wiedziała, co naprawdę dzieje się w moim życiu. I mojej głowie. Zwłaszcza głowie.

Z parteru niosą się odgłosy zabawy panów Tomczyków. Maluch piszczy ze szczęścia jak szalony, kiedy Filip udaje kłusującego konika. Na chwilę odrywam się od prasowania, wyłączam żelazko, siadam w fotelu i zamykam oczy, upajając się śmiechem Franka. Wyobrażam sobie, że tam na dole w salonie to Wojtek bawi się ze swoim synkiem. Wystarczyłoby wymienić jeden element tej układanki i moje życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Wojtek stanowi brakujący puzzel, bez którego obraz nigdy nie będzie pełny. Filip jest jak wciśnięty siłą kawałek z zupełnie innego zestawu. Franek jest jeszcze zbyt mały, by to dostrzec.

Choć nie planowałam drzemki, to płytki sen przychodzi znienacka. Śni mi się Wojtek. Po raz pierwszy tak wyraźnie widzę jego twarz. Jest kilka lat starszy, siedzi w swoim ulubionym fotelu w naszym starym mieszkaniu i coś czyta. Do pokoju wchodzi Franio, na oko cztero-, pięcioletni. Ma tę samą niemowlęcą buzię, ale jest zdecydowanie wyższy i ma bardziej bujną czuprynę. Wojtek odkłada książkę i mówi:

– Chodź, synku. Opowiesz mi, co ciekawego działo się dziś w przedszkolu.

Franio wybucha płaczem, łapie mnie za rękę i krzyczy:

– Mamo! Mamo! Kim jest ten pan? Ja się go boję! Chcę do tatusia! Gdzie jest mój tatuś?

– Franiu, uspokój się – gładzę go czule po głowie. – Przecież to jest twój tata.

– Kłamiesz! – krzyczy i uderza pięściami w mój brzuch. – Zabierz mnie do taty!

Wtedy Wojtek wstaje z fotela. Oczy ma błyszczące od łez. Podchodzi do drzwi wyjściowych i łapiąc za klamkę, mówi:

– Jak mogłaś? Tak bardzo się na tobie zawiodłem, Kaju...

Przekracza próg mieszkania. Chcę za nim pobiec i go zatrzymać, ale kiedy otwieram drzwi widzę tylko ciemność.

– Nie! Wojtek! Wróć! Wojtek! Wojtek! Woooj-teeek! – krzyczę, aż zaczyna mi brakować tchu.

Ktoś energicznie potrząsa moim ramieniem.

– Co się dzieje? Czemu tak krzyczysz?

Budzę się i widzę obok Filipa. Marszczy czoło i wpatruje się we mnie. Na podłodze przede mną siedzi Franek, który przygląda mi się z nie mniejszym zainteresowaniem niż jego opiekun.

– Przepraszam, musiałam się zdrzemnąć. Nawet nie wiem, kiedy ścięło mnie z nóg – tłumaczę się.

Na całym ciele mam gęsią skórę. Do jasnej cholery, ten sen był przerażająco realistyczny. Czuję, że jeszcze długo nie będę mogła o nim zapomnieć. To było ostrzeżenie z za grobu, wiem to. Nie mogę pozwolić, by pamięć o Wojtku umarła wraz z nim, a niestety jesteśmy na najlepszej ku temu drodze.

– Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego jak opętana wykrzykujesz imię tego Wojtki? Myślałem, że ten problem sam się rozwiązał, ale niestety widzę, że znowu wracamy do punktu wyjścia. To już nie chodzi o mnie. Dziecko straszysz, a na to ci nie mogę pozwolić, dobrze o tym wiesz.

– Filip, to nie powinno dłużej tak wyglądać. Ta sprawa zaczyna wymykać się spod kontroli.

– O tym właśnie mówię.

– Nie – zaprzeczam stanowczo. – Chodzi mi o to, że nie możemy ciągle udawać, że Wojtek nigdy nie istniał. Franek powinien znać prawdę. Nie wolno nam wychowywać go w kłamstwie, to nie w porządku. Zarówno wobec twojego brata, jak i Frania.

– Ile jeszcze razy mam ci powtórzyć, że nie mam i nie miałem brata?! Nie znam żadnego Wojtki. Daj już spokój! Jeszcze dzisiaj znajdę specjalistę, który ci pomoże.

– Może lepiej poszukaj kogoś dla siebie, bo skleroza przed trzydziestką nie jest normalna.

– Ej, ej! Nie zapędzaj się! Wyciągam do ciebie rękę, bo widzę, że masz jakieś zaburzenia, a ty tę rękę gryziesz.

– Nie mam żadnych zaburzeń. Nie zrobisz wariatki ani ze mnie, ani tym bardziej z mojego syna. On ma prawo wiedzieć, że nie jesteś jego ojcem, tylko wujkiem.

– Kaja, jeszcze jedna taka bzdura i stracę cierpliwość... Dlaczego mi to robisz? Nie widzisz jak bardzo mnie krzywdzisz, kiedy próbujesz mi wmówić, że nie jestem ojcem Franka? – oczy Filipa zaczynają się szklić.

Prędzej spodziewałabym się uderzenia w twarz niż jego łez. – Zaczekaj tu chwilę. Dasz radę zając się Franiem? Zejdę po coś na dół i zaraz wrócę.

Przytakuję i biorę synka na kolana. Nie rozumiem, co tak naprawdę się tutaj dzieje. Filip brzmi tak przekonująco, kiedy twierdzi, że Franek to jego syn. Ale ja przecież doskonale wiem, jaka jest prawda.

Po chwili do sypialni wchodzi Filip. Rozkłada złożoną na pół kartkę formatu A4 z charakterystycznym orzełkiem w lewym górnym rogu.

– Spójrz, to jest akt urodzenia Frania – mówi do mnie powoli i wyraźnie, jakbym była niedorozwinięta umysłowo. – W drugim punkcie mamy dane rodziców dziecka: ojca i matki. Co jest tam napisane w rubryce ojciec?

– Filip Tomczyk.

– No właśnie. Filip Tomczyk, czyli ja. Chyba nie zamierzasz sugerować, że sfałszowałem dokument?

– Nie. Ja doskonale wiem, jakie imię i nazwisko jest tam wpisane. Od samego początku byłam świadoma, że będziesz oficjalnie figurował jako ojciec Frania. Przecież sami to ustaliliśmy. Tak miało być dla niego łatwiej i wcale nie zamierzam się z tego wycofywać.

– Kamień z serca – w głosie Filipa wyczuwam ironię, ale postanawiam tego nie komentować.

– Po prostu uważam, że mamy moralny obowiązek wychować Franka w prawdzie.

– Jeśli już mówimy o moralnych obowiązkach wobec Frania, to moim jest chronić syna przed wariackimi wymysłami jego matki. Zabieram go na spacer, a ty, jeśli chcesz, to w tym czasie kontynuuj tworzenie nowego drzewa genealogicznego mojej rodziny.

Franio bez marudzenia wsuwa rączki w wyciągnięte w jego kierunku ramiona Filipa. Po kilku chwilach dobiega mnie dźwięk przekręcane go zamka i pierwszy raz od bardzo dawna zostaję w domu zupełnie sama.

Boję się, że Filip zrealizuje swoją obietnicę i umieści mnie w jakimś ośrodku zamkniętym. Zdrowy rozsądek podpowiada mi z kolei, że to niemożliwe. Nie wymyśliłam sobie istnienia Wojtka, są przecież ludzie, którzy potwierdzą moje słowa. Człowiek po śmierci nie rozpląwa się przecież, ot tak, zostają po nim chociażby dokumenty.

I choć jestem pewna swego, Filip zasiał we mnie maleńkie ziarno niepokoju. Jest tylko jeden, skuteczny sposób, by się go pozbyć. Muszę porozmawiać z Kamą sam na sam, bez obecności męża w pokoju.

Już wiem, jak spędzę to samotne popołudnie. Opracuję jakiś plan na skontaktowanie się z Kamą za plecami mojego męża. To musi być jednak plan doskonały. Jeśli Filip mnie nakryje, będę skończona.

11.

Moja babcia mówiła czasem, że człowiek umiera wtedy, kiedy najbardziej chce mu się żyć. Dokładnie to spotkało mnie w czerwcu ubiegłego roku. Miałam w zasięgu ręki wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłam: spokojną pracę, wspaniałego męża, idealną przyjaciółkę, a w brzuchu małego człowieka, którego pojawienia się pragnęliśmy wraz z Wojtkiem od dnia ślubu. Dziś gotowa byłabym zaprzedać duszę diabłu, byleby móc jeszcze kiedyś pomyśleć: *chwilo trwaj!* Ale to przecież nie przydarza się martwym.

Właśnie wtedy, kiedy czułam największy apetyt na życie, kiedy pragnęłam brać z niego pełnymi garściami, moja dusza umarła. Jestem jak wydmuszka, zostało mi tylko jałowe ciało. Życie, które i tak trudne jest samo w sobie, bez duszy i umiejętności odczuwania czegokolwiek poza pustką i tęsknotą, staje się prawdziwym koszmarem.

Staram się nie oczekiwać zbyt wiele. Koncentruję się na bieżącym dniu, próbuję czerpać choć trochę radości z postępów w rozwoju Franka. Od tygodnia mijamy się z Filipem właściwie bez słowa, nie wracamy do naszej ostatniej kłótni. Kiedy ma ochotę na seks, pojawia się w mojej sypialni, zaspokaja się i wraca do siebie. Zaczynam przyzwyczajać się do tych nocnych rytuałów i nie reaguję już tak emocjonalnie jak na początku. Kluczem do w miarę spokojnego życia u boku Filipa jest powściągnięcie jakichkolwiek uczuć oraz gwałtownych reakcji.

Na wszelki wypadek nie zamierzam więcej prowokować go rozmowami o Wojtku. Nie rozumiem jak to się stało, że człowiek, z którym zaprzyjaźniłam się kilka miesięcy temu, dziś robi wszystko, by mnie poniżyć. Odnoszę wrażenie, że psychiczne i fizyczne dręczenie mnie sprawia Filipowi przyjemność. Negowanie istnienia Wojtka to kolejna tortura. Skuteczna, bo to co robi, boli bardziej niż najsilniejszy cios pięścią. Nie chcę dawać mu już satysfakcji, udaję, że nie ma sprawy i nie pozwalam na to, by pokazać po sobie, że zamieszał mi w ten sposób w głowie.

Dziś jednak jest dzień, do którego przygotowywałam się od tygodnia. Dzień, który zaplanowałam w najdrobniejszych szczegółach. Dzień, w którym zamierzam przerwać milczenie.

*

Z zazdrością patrzę jak Franek szeroko uśmiecha się na widok schodzącego po schodach Filipa. Widzę zachwyty w oczach synka, kiedy ten bierze go na rękę. Maluch piszczy z radości i klaszcze w rączki, kiedy jego wujek buduje wieżę z klocków albo robi *brum, brum*, jadąc zabawkowym samochodzikiem. Na mnie Franio nie reaguje z takim entuzjazmem. Filip nie tylko próbuje skraść mi pamięć o Wojtku, ale także miłość jego syna. Nie mogę na to pozwolić. Muszę działać, nim będzie za późno. Musimy wydostać się z tej pułapki. Sama nie dam rady, ale ufam, że jest ktoś, kto nam pomoże.

– Tatuś zbuduje ci teraz dłuugi pociąg – słyszę dobiegające z salonu dźwięki zabawy, kiedy krzątam się po kuchni. – Załadujemy pociąg aż po sufit.

Za każdym razem, gdy z ust Filipa pada słowo *tatuś* czuję dziwne ukłucie. Sama zgodziłam się na tę farsę, bo chyba sądziłam, że tak będzie lepiej. Zresztą, właściwie nie wiem, czy w tym czasie w ogóle myślałam cokolwiek, nafaszerowana mieszkanką antydepresantów, rozpacz, strachu i zrezygnowania. Dzisiaj postąpiłabym pewnie inaczej. Czasu nie da się jednak cofnąć, trzeba ograniczyć skutki tej bezmyślnej decyzji. A pierwsze, co muszę zrobić, to upewnić się, że nie zwariowałam, nie wymyśliłam sobie istnienia Wojtka.

Niecierpliwie czekam aż Franek utnie sobie poobiednią drzemkę, a Filip zamknie się w tym czasie w swoim biurze. Oby nie brakło mi odwagi, by zrealizować plan, który dopracowałam w najdrobniejszych szczegółach.

Otwieram kuchenną szafkę z żeliwnymi patelniami, których rzadko używam. Bezszelestnie wysuwam butelkę ukrytą za najwyższym stosem. Powoli odkręcam plastikową nakrętkę i przykładam nos do szyjki butelki. Wdycham ten kwaśny zapach, dziś jeszcze mocniej wyczuwalny niż wczoraj. Smród nie uderza od razu, nie jest dosłowny jak śwąd alkoholu w tanich perfumach z kiosku Ruchu. Rozwija się stopniowo, dociera do nozdrzy dopiero po kilku sekundach niczym wyrafinowany bukiet markowych francuskich perfum. Po prostu idealny. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, ma szansę stać się moim ulubionym zapachem.

Po niecałych dwóch godzinach Franio zasypia w swoim łóżeczku, a Filip, zgodnie z przewidywaniami, zamyka się w pokoju. Podchodzę cicho pod drzwi gabinetu, skąd dobiega miarowe uderzanie w klawisze komputera. Chwilę później dzwoni jego telefon. Odbiera niemal natychmiast. Filip rozmawia po niemiecku płynnie i bez zająknięcia. Wyłapuję jedynie pojedyncze znane mi słowa.

Schodzę na dół i przygotowuję kawę dla Filipa. Ustanowiłam ten nowy, świecki zwyczaj dokładnie sześć dni temu, rzekomo jako element mojego mocnego postanowienia poprawy stosunków na linii mąż – żona.

W istocie codzienna porcja dwóch łyżeczek brazylijskiej kawy z mlekiem i odrobiną brandy to idealny sposób uśpienia czujności Filipa, moja własna wersja konia trojańskiego. Przez ostatnie dni kubek parującego napoju był tylko makietą, dzisiaj w roli greckich żołnierzy wystąpi specjalnie na tę okazję odstawione mleko drugiej świeżości. Każdego dnia drobiazgowo kontrolowałam zapach białej cieczy. Nie mogę pozwolić na to, by Filip wyczuł od razu skisły zapach lub kwaśny smak. Smród nie jest wyczuwalny, nie przesłania intensywnego aromatu kawy. Dolewam kilka kropel brandy więcej niż zazwyczaj, by alkohol przytłumił nieprzyjemny posmak. Filip powinien wypić prawie całą porcję, żebym miała pewność, że w jego jelitach dokona się oczekiwana rewolucja.

Ostrożnie niosę na górę kubek z kawą tak, by na schodach nie uronić ani kropli. Pukam trzy razy do drzwi gabinetu. Przez kilka miesięcy wspólnego życia zauważyłam, że Filip ma lekką obsesję na punkcie liczb nieparzystych.

– Otwórz, przyniosłam ci kawę.

Dobiegająca zza drzwi rozmowa w języku niemieckim nie cichnie, ale klucz w zamku zostaje przekreślony. Filip zapraszającym gestem wskazuje puste miejsce na biurku. Kątem oka zerkam w ekran laptopa. Otwarty klasyczny ekran Windowsa. Całe szczęście, że to nie jeden z tych specjalistycznych programów do kodowania.

Uśmiecham się, wychodząc. Filip odwzajemnia uśmiech i kiwa głową, dziękując za kawę. Pij kochanie, póki gorąca.

Siadam w sypialni i zerkam na śpiącego synka. Siadam przy łóżeczku z jednym z kolorowych magazynów, których regularny zapas dostarcza mi Filip. Przerzucam bez większego zainteresowania strony o modzie, urodzie i wystroju wnętrz. Zatrzymuję się na dłużej przy artykule o Toskanii.

Marzyliśmy z Wojtkiem, że któregoś lata wybierzemy się tam na nasze wielkie włoskie wakacje...

– O ja pierdołę! – lekturę przerywa krzyk Filipa.

Nie mam czasu spojrzeć na zegarek, ale przypuszczam, że musiało minąć mniej więcej piętnaście minut od mojej wizyty w gabinecie. Kiedy tylko dobiega mnie huk zatrzaskiwanych drzwi od łazienki, rzucam magazyn na ziemię i pędzę do pokoju męża. Niech to szlag, nawet w takim momencie pamiętał o zabraniu ze sobą klucza, na szczęście drzwi gabinetu zostawił otwarte na oścież.

Muszę działać szybko i sprawnie. Mam niewiele czasu. Zamykam za sobą drzwi, wzrokiem poszukując czegoś, co posłużyć może za prowizoryczną barykadę. Próbuję przesunąć niewielki regał z książkami, ale okazuje się być o wiele cięższy niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Nie chcąc tracić ani sekundy więcej, zasuвам drzwi fotelem na kółkach, choć dobrze wiem, że to rozwiązanie nie zda egzaminu.

Podchodzę do laptopa i minimalizuję do paska zadań wszystkie otwarte programy. Odnajduję na pulpicie niebieską ikonę komunikatora i klikam w nią dwukrotnie. Ręce mam mokre od potu. Czuję jak serce łomocze mi w piersi, puls przyspiesza jak szalony. W myślach błagam, by Kama jakimś cudem była teraz aktywna. Muszę jej zadać przynajmniej to jedno pytanie. Jestem przekonana, że zaniepokoi ją na tyle, by zainteresowała się, czy wszystko ze mną w porządku. Będzie naciskała na częstszy kontakt, aż w końcu czegoś się domyśli, między wierszami odczyta błaganie o pomoc.

Czekam na połączenie. Sekundy zmieniają się w długie godziny. W końcu rozlega się wyczekiwany sygnał. Brzęczenie z głośników wydaje mi się o wiele głośniejsze niż zazwyczaj. Pewnie słyszy je nie tylko Filip w toalecie, ale też całe najbliższe sąsiedztwo.

– Błagam, odbierz – szepczę przez zaciśnięte zęby. – Odbierz, szybko.

Na ekranie pojawia się twarz Kamy otoczona burzą rudych loków. Jest jak fatamorgana dla spragnionego wędrowca przez pustynię, jednocześnie namacalna, jak i całkowicie nierealna.

Nie mogę wydobyć z siebie głosu, wpatruję się tylko tępo w monitor. Zastygam przerażona, bo zdaje mi się, że słyszę zbliżające się kroki. Próbuję się zmobilizować, Filip nie będzie siedział na tronie w nieskończoność. Na pewno jest wściekły, a najbliższego popołudnia i

wieczoru w żadnym wypadku nie będę mogła zaliczyć do spokojnych. Nie mogę pozwolić, by cały ten wysiłek poszedł na marne.

– Kajuś, wszystko ok? Wyglądasz na bardzo zdenerwowaną. Odezwij się! Halo!

– Nie... – wpatruję się w monitor szeroko otwartymi oczami. Połykam głośno ślinę. Wiem, że kończy mi się czas. Słyszę jak Filip gwałtownie łapie za klamkę, a ta porusza się w dół. – Kama...

Odwracam się z przerażeniem w stronę drzwi, które właśnie otwierają się z łoskotem. Obrotowy fotel odjeżdża na środek pokoju. Staram się nie patrzeć w kierunku Filipa. Zaciskam powieki, jakby to miało sprawić, że zniknie stąd, odruchowo osłaniam twarz rękoma i wyrzucam z siebie jednym tchem zlepek wyrazów:

– Kama, musisz mi powiedzieć czy Wojtek...

Dłoń Filipa z całym impetem łąduje na klapie laptopa. Jednym ruchem przerywa połączenie. Kama nie usłyszy już pytania o istnienie Wojtka, a ja nie usłyszę jej odpowiedzi, choć mimo tego staram się wierzyć, że i tak znam tę prawidłową. Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że przyjaciółka odebrała ten chaotycznie wysłany sygnał S.O.S. i w jakiś sposób mi pomoże. Nie chcę już dalej tak żyć.

Filip bierze w ręce moją twarz, przysuwa ją do swojej na odległość zaledwie kilku milimetrów i wściekle sapie.

– Coś ty, kurwa, odjebała?

Pot spływa mi po plecach wartkim strumieniem. Przeważenie ścisną mi gardło, żołądek, płuca i serce. Resztkami sił powstrzymuję się, by nie wymiotować. W ustach czuję palący smak soków trawiennych. A może tak właśnie smakuje strach.

Nagle czuję jak na moim nosie zaciskają się palce Filipa, odcinając mi na chwilę dopływ powietrza. Niezdarnie, niczym wigilijny karp tuż przed egzekucją, próbuję rozdętymi ustami wpuścić w drogi oddechowe odrobinę tlenu.

– Pytam się, coś odjebała!? Chciałaś mnie otruć, dziwko! – wykrzykuje, uderzając mnie w twarz. – Pożalujesz tego, przysięgam.

Policzek pali żywym ogniem. Próbuję rozetrzeć ten ból, ale co chwilę rozpala się na nowo. Po uderzeniu zostanie paskudny siniec. Domyślam się, że to nie będzie ostatnia pamiątka na moim ciele. Sparing dopiero się zaczyna, a Filip dawno nie był aż tak wściekły.

– Nie zasłaniaj się tak. Nie będę cię tłukł. Zbyt tępa jesteś, nadal nie pojmujesz, że należy mi się chociaż minimum szacunku za przygarnięcie pod dach. Niczego wam nie brakuje, a ty ciągle odpalasz jakieś chore akcje. Skończyło się babki sranie! Muszę mieć pewność, że już nic więcej nie odpierdolisz. Ja się nie boję o siebie, duży chłopak jestem, ja się boję, żoneczko, o syna. Trzeba cię zacząć bardziej pilnować, bez dwóch zdań.

– Filip, to nie tak – mówię trzęsącym się głosem. – Ja tylko chciałam chwilę porozmawiać z Kamą... Głupio wyszło.

– Wystarczyło poprosić zamiast próbować mnie otuć. Straciłem do ciebie już resztki zaufania. Doigrałaś się, Kaja. Najważniejszy jest dla mnie Franek i jego bezpieczeństwo. Dla niego jestem gotów sięgnąć po każde rozwiązanie, nawet takie, które niekoniecznie wywoła twój entuzjazm.

– Co masz na myśli?

– Poczekaj do jutra. Cierpliwość jest cnotą bogów, kochanie.

12.

Tabletki nasenne, które wieczorem podał mi Filip, tylko lekko mnie otumaniały, ale sen, który sprowadziły, jest zbyt płytki, by przez jego ochronną pierzynę nie mógł przedostać się do mojego umysłu strach. Próbuję jeszcze mocniej zacisnąć powieki, otulić się szczelnie jeszcze głębszą ciemnością i bardziej przenikliwą ciszą. Chcę zasnąć i już się nie bać. Chcę odciąć kable łączące mózg z tymi wszystkimi niewypowiedzianymi obawami, czarnymi scenariuszami, z góry skazanymi na niepowodzenie pomysłami na odzyskanie wewnętrznej równowagi. Nie ma szans.

Spośród wszystkich stworzonych przez ludzkość narzędzi tortur – wszelkiej maści pręgierzy, gilotyn, wymyślnych wahadeł, krzesel, rozdzieraczy ciała i kołysek Judasza – najpotężniejszym i najskuteczniejszym okazuje się być pospolity strach, którym można przecież karmić ofiarę bez końca. Niepewność własnego losu oblepia umysł człowieka jak tłusta, wilgotna maź, przyprósza włosy siwizną, maluje na twarzy głębokie bruzdy, zaciska żołądek do rozmiaru suszonej śliwki. Najmocniej atakuje wraz z zachodem słońca, by nierzadko o poranku, który mimo wszystko nadejdzie, zaśmiać się perfidnie w twarz z okrzykiem: *i czego całą noc dupą trząsłeś, tchórze?! Otwierasz oczy, z niedowierzaniem*

rozglądasz się wokół. Demon, którego sam stworzyłeś, nie istnieje. I najprawdopodobniej nigdy nie istniał. Własnymi myślami nadmuchujesz balon strachu do gigantycznych rozmiarów, gdy w istocie jego źródło bywa małe jak ziarnko piasku.

Sztukę podsycania moich lęków Filip opanował do perfekcji. Niedomówienia, półsłówka, zawołane groźby – oto cały jego arsenał. Wyobraźnia pracuje już na najwyższych obrotach. Przeraza mnie konfrontacja z jutrem, a przecież już ta noc, pełna rozgorączkowanych myśli, sama w sobie jest dotkliwą karą za samowolną próbę nawiązania kontaktu z Kamą.

Słyszę w oddali przytłumione odgłosy piszczącego w kąpielni Franka. Chciałabym tam pobiec i wtulić się w małe, mięciutkie ciało, ale jestem zbyt słaba, żeby wstać z łóżka. Filip coraz mocniej ogranicza mi kontakt z synkiem, twierdząc, że mogę być dla niego zagrożeniem. To nieprawda, nigdy nie skrzywdziłabym Frania. Jestem zazdrosna o pogłębiającą się z każdym dniem więź między Filipem a moim dzieckiem, bo tym samym my oddalamy się od siebie. Tak bardzo się boję, że po dzisiejszym incydencie mąż w jakiś sposób odbierze mi synka, ograniczy nasz kontakt, aż w końcu stanę się dla Franka kimś zupełnie obcym. Tak, to właśnie mój najsilniejszy lęk, największy koszmar, jaki jestem sobie w stanie wyobrazić.

I kiedy wizja rozdzielenia mnie z Franiem staje się coraz bardziej realna, niepostrzeżenie nadchodzi sen.

*

– Wstawaj, kochanie. Ubierz się ładnie i umaluj, bo za godzinę będziemy mieć gościa.

Filip z roześmianym Frankiem na rękach stoi w progu mojej sypialni. Nie jestem pewna, czy widzę ich naprawdę, czy ciągle jeszcze śpię zamoczona sporą porcją leków. Przecieram oczy i próbuję złapać kontakt z rzeczywistością.

Nie lubię tego stanu tuż po przebudzeniu, kiedy uciekający ukradkiem sen jest jeszcze na tyle wyraźny, że miesza się z codziennością. Od prawie roku rankiem przeżywam to samo rozczarowanie, gdy na granicy jawy i snu na nowo dociera do mnie bolesna prawda o nieobecności Wojtka. Pierwsze sekundy wybudzania się z cudownego stanu nieświadomości to moment, gdy z całą brutalnością uderza prawda o wydarzeniach poprzedniego

wieczoru. Upływa chwila nim minie nieprzyjemne poczucie dezorientacji i paniki.

– Wstawaj, wstawaj. Nie ma czasu!

Filip podchodzi do okna i podnosi roletę. Ostre światło słoneczne atakuje mnie prosto w oczy. A więc naprawdę jest w moim pokoju i wydaje się mieć doskonały humor. Może wczorajszy dzień tylko mi się przyśnił. Może będę mogła przemyśleć wszystko i podjąć jeszcze jedną próbę dotarcia do prawdy na temat Wojtka.

Wyciągam ręce do góry, przeciągam się i siadam oparta o wezgielowie łóżka.

– Ktoś do nas przyjeżdża? – pytam.

Zamiast odpowiedzi dostaję od Filipa tylko lekkie skinienie głową.

– Kto taki?

– Ubieraj się. Dowiesz się w swoim czasie.

– Powiedz, proszę.

– Nie bądź jak małe dziecko. Wczoraj wyraźnie ci powiedziałem, że cierpliwość jest jedną z największych cnót. – Kiedy wypowiada te słowa, na jego twarzy dostrzegam ironiczny uśmiezek.

Daje mi w ten sposób wyraźny sygnał, że wizyta owego tajemniczego gościa ma bezpośredni związek ze złożoną mi wczoraj obietnicą. Znów pojawia się tak dobrze mi znane poczucie niepokoju, które stopniowo narasta. Pozornie miłe nastawienie do mnie i świetny humor Filipa to tylko poza, przejaw kolejnego triumfu nade mną.

Machinalnie wykonuję poranne czynności. W mojej głowie uparcie kołacze się tylko jedna myśl: jaki los czeka mnie za niecałą godzinę. Minuty uciekają w szalonym tempie, a wraz z upływem czasu moje obawy tylko się pogłębiają. W każdym z najczarniejszych scenariuszy, niezależnie od przebiegu akcji i występujących postaci, finał jest dokładnie ten sam – na zawsze zostaję rozdzielona z Frankiem. I choć daleko mi do tytułu najlepszej matki, to kocham go całą sobą i wiem, że nie byłabym w stanie bez niego żyć. Bez oporów jeszcze raz targnęłabym się na swoje życie, tym razem skutecznie. Próbowałabym aż do skutku – to jedyne, czego jestem naprawdę pewna.

Trzęsącą się ręką próbuję nałożyć tusz na drugie oko, kiedy do drzwi łazienki puka Filip.

– Wychodź już. Czekaamy na ciebie na dole.

W gardle czuję grudę, blokującą oddech. Przełykam głośno ślinę, ale to nie pomaga. Nie mogę zaczerpnąć powietrza. Wygląda na to, że tajemniczy „gość” jest już w domu. Kolana mam jak z waty, z trudem robię krok w kierunku drzwi. Otwieram je i patrzę z przerażeniem prosto w oczy Filipa, które kompletnie nic nie wyrażają. Próbuję wyrzucić z siebie jedno słowo, ale brzmi ono bardziej jak miauczenie kota bądź skrzypienie starych drzwi niż ludzka mowa.

– Kto? – niemal bezgłośnie poruszam ustami, a mój szept jest ledwo słyszalny nawet dla mnie samej.

Filip uśmiecha się szeroko niczym amerykański gwiazdor w reklamie wybielającej pasty do zębów.

– Jak to kto... Ja i Franek, głuptasku. Pospiesz się.

Przypuszczam, że na mojej twarzy odmalowuje się wyraźne uczucie ulgi, bo ta naiwna część mnie właśnie wyobraża sobie, że pełne napięcia oczekiwanie na przybycie jakiegoś nieznanego oprawcy było tylko kolejnym fortelem Filipa. Miałam zaliczyć niespokojną noc, a po niej pełen wątpliwości poranek, żeby wreszcie nauczyć się pokory i pełnego posłuszeństwa. Filip natychmiast to dostrzega. Chwyta mnie za podbródek i wskazującym palcem gładzi po policzku.

– Wszyscy razem zaczekamy na naszego gościa i całą rodziną go przywitamy. Chyba nie myślałaś, że złamałbym dane ci słowo?

Kiwam posłuszenie głową. Do oczu cisną mi się łzy, ale nauczyłam się skutecznie je hamować. Wszystko po to, by nie rozwścieczać Filipa, który – jak twierdzi – nienawidzi *beczących bab*. Dziś zachowuje się, jakby posiadał dar czytania w moich myślach, co jednak nie jest w obecnej sytuacji szczególnie trudne. Od miesięcy goszczą w nich głównie bezsilność i strach.

– Tylko się teraz nie popłacz – drwi. – Nie wyglądałabyś ładnie w rozmazanym makijażu.

Schodzę za nim bez słowa po schodach, przy każdym kroku szurając nogami. Czuję się jak skazaniec na chwilę przed ścięciem.

Przy stole w salonie w swoim krzeselku siedzi Franek, a jego uwagę całkowicie pochłaniają kukurydziane chrupki. Kiedy wchodzę do pokoju, na moment przerywa konsumpcję i uśmiecha się do mnie szeroko. Po klatce piersiowej rozlewa się przyjemne uczucie ciepła, na kilka sekund udaje mi się zapomnieć o problemach.

– Dzień dobry, synku – podchodzę do krzeselka i chwytam Frania pod paszkami, żeby wziąć go na rękę.

– Zostaw! – Filip strofuje mnie jak niesfornego uczniaka. – Nie widzisz, że teraz je? Przez ciebie mógł się zakrztusić.

W duchu mogłabym nawet przyznać mu rację, ale odzywa się we mnie uśpiona matka Iwica. Franio jest moim, tylko moim dzieckiem i mam prawo brać go na rękę, kiedy tylko najdzie mnie taka ochota. Nie mam jednak odwagi, by to wykrzyczeć, więc siadam na krześle obok, rzucając jedynie pod nosem:

– Dałeś mu w ogóle coś konkretnego na śniadanie, czy tylko zapychasz go chrupkami?

– Niech cię o to główka nie boli. Nie musisz już przejmować się takimi przyziemnymi sprawami jak opieka nad dzieckiem. Twój kochany mąż zadbał o to, żeby cię odciążać. Będiesz mogła na spokojnie skupić się na powrocie do dobrej formy psychicznej, bo oboje dobrze wiemy, że nie jest z tym ostatnio najlepiej.

Nim zaleje mnie kolejna fala obaw i złych przeczuć, pomieszczenie wypełnia odgłos dzwonka do drzwi.

Jestem jak sparaliżowana. Zastygam w bezruchu, trudność sprawia mi nawet oddychanie. Mam wrażenie, że oczyma widza oglądam rozgrywający się obok mnie spektakl. W napięciu obserwuję jak Filip wstaje od stołu i powolnym, majestatycznym krokiem kieruje się do przedpokoju. Widzę jak napawa się moim przerażeniem i niepewnością. Przeciąga moment otwarcia drzwi, bo dobrze wie, że kolejne sekundy zwłoki wycisną ze mnie jeszcze większą ilość zimnego potu i przyspieszą bicie, już i tak oszalałego ze strachu serca.

W końcu słyszę przekręcanie klucza w zamku. Skręca mnie w żołądku. Próbuję liczyć w myślach do dziesięciu, żeby nie zemdleć. Jeden, dwa, trzy... Zerkam na Frania, ale on zdaje się być całkowicie pochłonięty kolejnym wyciąganym z szeleszczącego opakowania chrupkiem. Cztery, pięć, sześć...

– Dzień dobry, kochani – nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że słyszę piskliwy głos mojej teściowej.

Jeśli próg domu przekroczyła właśnie matka Wojtka i Filipa, to po raz pierwszy autentycznie ucieszę się na jej widok. Nie wiem jednak, czy dzisiaj ufać swojemu zmysłowi słuchu. Jestem potwornie zestresowana, a

poza tym od naszego ślubu – ostatniego razu, kiedy widziałam i słyszałam Zofię Tomczyk – minęło kilka miesięcy.

– Filipku, pomóż mi z bagażami, proszę. Dwie walizki zostały jeszcze w taksówce.

– Oczywiście, mamó. Wejdz i rozgość się.

A więc nie przesłyszałam się. Przyjechała do nas matka Filipa. Nie bardzo wiem, jaki rzeczywiście ma być cel tej wizyty, ale muszę przyznać, że na tle wszystkich moich wczorajszych wyobrażeń, teściowa jawi się jako prawdziwy dar niebios. Jako kobieta, matka, a zwłaszcza babcia Franka, na pewno nie pozwoli, by mi go odebrano. Poza tym nareszcie będę przebywać w towarzystwie kogoś innego niż Filip. Od kiedy urodził się Franek, jedyni ludzie, jakich widzę na żywo, to mój mąż, syn i pojawiający się sporadycznie w progu kurierzy, z którymi i tak bezpośredni kontakt ma wyłącznie Filip.

W momencie spływa ze mnie cały stres i odzyskuję kontrolę nad swoim ciałem. Wyciągam Frania z krzeselka i biorę na ręce. Chcę jak najszybciej przywitać się z teściową, powiedzieć, że bardzo cieszę się z jej przyjazdu. Tym bardziej, że stanowi mocne ogniwo łączące mnie ze zmarłym mężem. Oczami wyobraźni widzę jak nie tylko umacnia mnie w przekonaniu, że Wojtek istniał i naszym obowiązkiem jest podtrzymanie pamięci o nim, ale przede wszystkim łąca Filipa za wmawianie mi szaleństwa i urojeń na temat przeszłości.

W korytarzu faktycznie stoi moja teściowa. Jest nieco pulchniejsza niż w dniu naszego ślubu, a sięgające wcześniej poniżej ramion kręcone, jasne włosy, wyraźnie skróciła i podpięła w niski koczek. Nie zrezygnowała z typowego dla siebie, nudnego stroju urzędniczki, choć w zeszłym roku przeszła już na wcześniejszą emeryturę.

– Witaj, mamó – podchodzę do niej i całuję w policzek. – Bardzo miło cię widzieć. Cieszę się, że Franio nareszcie pozna swoją babcie.

Matka Filipa chyba nie bardzo wierzy w moje entuzjastyczne powitanie. Wydyma usta i taksuje mnie wzrokiem od stóp do głów.

Istotnie, nigdy nie miałyśmy ze sobą szczególnie bliskiej relacji. Prawdę mówiąc, wcale nie odczuwałam jej nieobecności w życiu moim i Franka, zarówno przed śmiercią Wojtka, jak i teraz. Do tej pory nawet nie pomyślałam, że w istocie jest najbliższą rodziną mojego synka i już dawno

temu powinnam zasygnalizować Filipowi potrzebę włączenia regularnych kontaktów z nią do naszej codzienności.

– Znowu schudłaś. Źle wyglądasz, sama skóra i kości – rzuca zamiast słów powitania, a ja natychmiast przypominam sobie, czemu nigdy nie przepadałam za tą kobietą. – Czy mogę wziąć wnuka na ręce?

– Oczywiście – odpowiadam, choć wcale nie chcę przekazywać Frania w jej ramiona.

Synek ochoczo wyciąga rączki w kierunku niskiej postaci. Jest wyraźnie zafascynowany widokiem kogoś innego niż ja i Filip. Łąduje w objęciach babci i natychmiast próbuje wsunąć paluszek w jej usta.

– O rany, rany. Jakie to dzieciątko ma chudziutkie rączki. Biedactwo babuni, jakiś ty leciutki. Ile on waży, Kaju?

– Nie... nie wiem dokładnie... – ze stresu zaczynam się jąkać. – Ale pediatra, który do nas przyjeżdża, twierdzi, że wszystko jest w porządku.

– Phi, kto dzisiaj ufa lekarzom? Nie martw się małeńki, babcia teraz przypilnuje, żeby nie działa się dzidzi krzywda.

– Ale...

Zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, a nasza pierwsza od miesiący rozmowa zmieni się w nieprzyjemną wymianę zdań, w drzwiach staje Filip, ciągnący za sobą sporych rozmiarów walizkę.

– No wiesz... Dlaczego nie zaprosisz mamy do środka, tylko trzymasz ją w drzwiach jak jakiegoś domokrążcę?

– Przepraszam, ja... – znów brakuje mi słów. – Proszę, niech mama wejdzie.

– Synku, nic się nie dzieje. Po prostu nie mogłam oprzeć się temu małemu przystojniakowi i musiałam jak najszybciej wziąć go w objęcia. – Matka Filipa oddaje mi Frania, który natychmiast z tęsknotą wodzi wzrokiem za tęgą kobietą. – Ale już wchodzę, umieram z niecierpliwości, żeby zobaczyć jak się tutaj urządziliście.

– Bardzo proszę, niech się mama rozgości. Filip z Franiem oprowadzą mamę, a ja w tym czasie przygotuję kawę albo herbatę – proponuję.

– Najbezpieczniej będzie, jeśli w twoim towarzystwie wstrzymamy się od picia kawy. Zrobisz nam herbatę. Czarną – poważna mina Filipa świadczy o tym, że wcale nie żartuje.

Zofia drepcze krok w krok za swoim synem i spija każde słowo z jego ust. Zachwyca się każdym elementem wystroju wnętrza, chwając

nienaganny gust i wyrafinowane poczucie smaku Filipa. Jestem przekonana, że urządzenie naszego domu zlecił specjalistom, ale zatrzymuję tę uwagę dla siebie. Młody Tomczyk dumnie pławi się w bezkresnym morzu komplementów, a jego i tak napompowane ego urasta do niebotycznych rozmiarów.

Ochy i *achy* nie cichną nawet wtedy, kiedy wszyscy troje znikają u szczytu schodów. Nagle na myśl nasuwa mi się pytanie, gdzie Filip ulokuje matkę. Po rozmiarach jej bagaży wnioskuję, że zatrzyma się u nas na dłuższy czas, więc z pewnością nie zaproponuje jej noclegu na kanapie w salonie. Na piętrze nie mamy pokoju gościnnego. Znajduje się tam spora łazienka, moja sypialnia, niewielki pokój, w którym kiedyś zamieszka Franio, a póki co zagospodarowany został na składzik oraz największe z pomieszczeń na górze – gabinet Filipa, służący mu za biuro, pracownię, sypialnię i miejsce relaksu.

Obawiam się, że Filip ulokuje matkę w mojej sypialni i będziemy musiały dzielić łóżko. To byłaby zagrywka bardzo w jego stylu, chociaż patrząc na to z drugiej strony, nie zafundowałby ukochanej mamie takiego dyskomfortu. Postanawiam jak najszybciej rozwiązać swoje wątpliwości. Zabieram z przedpokoju najlżejszą torbę teściowej i niosę ją na górę.

– Gdzie mama będzie spała? – pytam, odkładając bagaż na podłogę.

– W moim gabinecie – krótko odpowiada Filip, a widząc ulgę w moich oczach, doprecyzowuje: – A my, kochanie, jak zawsze w naszej małżeńskiej sypialni.

13.

– Jak minęła mamie pierwsza noc? – pytam teściową, kiedy mijamy się w korytarzu.

Staram się iść wyprostowana, choć okropnie boli mnie podbrzusze. Najprawdopodobniej obecność matki za ścianą tak korzystnie wpłynęła na poczucie męskości u Filipa, że nad ranem postanowił zademonstrować mi z jak ogromną siłą i w szaleńczym tempie potrafi na mnie napierać, nie zważając na moje protesty. Ja czułam się niezwykle niezręcznie ze świadomością, że Zofia śpi tuż obok, jemu zaś tylko dodawało to zapału.

– Niedobrze. Całą noc kaszlałam.

– Zaraz poszukam jakiegoś syropu, powinien być w kuchni.

– Syrop tu nic nie pomoże. Ani mnie, ani tobie. Na bałagan nie ma innego lekarstwa, moja droga, jak solidne porządki.

– Słucham? – staram się, by mój ton nie brzmiał agresywnie, mimo że ciśnienie zdążyło już mi podskoczyć. Może nie jestem perfekcyjną panią domu, ale do bałaganiary naprawdę mi daleko.

– Całą noc dusił mnie kaszel, bo powietrze w pokoju wypełnione jest kurzem. To nie są warunki dla małego dziecka. Całe szczęście, że Fifi, to znaczy Filip, do mnie zadzwonił i poprosił o przyjazd. Ktoś musi zrobić z tym porządek.

Przez chwilę zastanawiam się, czy powiedzieć Zofii prawdę. Przyznać, iż owszem, nigdy nie ścierałam kurzy w pokoju, w którym nocuje, ale tylko dlatego, że mąż kategorycznie zakazał mi wstępu do tego pomieszczenia. Postanawiam jednak przemilczeć ten temat. Matka Filipa jest u nas zbyt krótko, by stanąć po mojej stronie. Nie uwierzy w żadne niepochlebne słowo na temat syna.

– O, widzę, że się rumienisz! – wykrzykuje z nieskrywaną satysfakcją. – Słusznie, dziecko, bardzo słusznie. To wstyd, żeby kobieta, której jedynym zajęciem jest opieka nad domem i rodziną, nie potrafiła wykonać tak podstawowych czynności. Strach pomyśleć jak wyglądałoby tutaj, gdybyś jeszcze musiała chodzić do pracy. Masz szczęście, że mój syn jest taki zaradny.

Nie wiem, czy użyłabym akurat tego słowa, by opisać swoje obecne położenie. Izolacja od innych i życie z zaburzonym człowiekiem kolidują z moją własną definicją szczęścia. Naprawdę szczęśliwe życie wiodłam u boku Wojtka, mimo iż Filip twierdzi, że ten czas nigdy nie istniał, a wspomnienia o nim nie są niczym innym, jak tylko wykreowaną przez chorą wyobraźnię fikcją.

Przyznaję otwarcie – nie lubię Zofii Tomczyk. Nigdy nie żywiłam do niej szczególnej sympatii, ale teraz staram się postrzegać jej obecność tutaj jako swego rodzaju szansę, a nie zagrożenie. Muszę tylko mądrze to rozegrać, być potulną i nie wchodzić z nią w słowne przepychanki. Liczę na to, że Filip nie będzie w stanie długo odgrywać roli pana idealnego i któregoś dnia zwyczajnie puszczą mu nerwy. A wtedy jego matka pozna prawdziwe oblicze swojego Fifi – damskiego boksera, miłośnika gwałtu oraz wszelkich innych form przemocy psychicznej i fizycznej.

Bez zająknięcia zgadzam się, by to teściowa przygotowała śniadanie dla Franka i nakarmiła go, choć uważam, że ogromna porcja, którą przygotowała, wystarczyłaby co najmniej na trzy posiłki. Zjadam też usmażone przez nią naleśniki i przemilczam fakt, że od jakiegoś czasu nie przepadam za śniadaniem na słodko.

– Filipek jeszcze śpi? – pada pytanie, gdy połykam kolejny kęs.

Niemal się krztuszę. Filipek, litości, ten facet od dekady jest już pełnoletni.

– Chyy... chyba tak... – odpowiadam, pokaszując. Cholerny twaróg przykleił mi się do przełyku.

– Niech śpi, biedactwo. Taki zapracowany. Pewnie haruje przed tym komputerem całymi dniami, oczy sobie psuje, kręgosłup niszczy, żeby wam niczego nie zabrakło. Zaniosem mu naleśniczki na górę, zje sobie w łóżku. Ja teraz dopilnuję, żeby choć od czasu do czasu porządnie wypoczął. I zjadł jak należy, bo zmizerniał chłopak, od kiedy wrócił do Polski.

Moment, gdy Zofia znika u szczytu schodów z talerzem wypełnionym po brzegi, ja wykorzystuję na wzięcie Franka na ręce. Nie rozumiem czemu, ale czuję się, jakbym właśnie robiła coś niedozwolonego... – jak nastolatek, który ukradkiem zaciąga się papierosem w bramie, jak mała dziewczynka podkradająca mamie szminkę, jak niewierny mąż wysyłający sprośnego SMS-a do swojej długonogiej sekretarki.

Na litość boską, co się ze mną dzieje? Przytulam własnego synka, nikt nie może mnie za to skarcić, ani tego zabronić. Jestem jego mamą, urodziłam go i mam pełne prawo decydować o każdym aspekcie jego życia. Przynajmniej teraz, póki jest taki malutki i nie może jeszcze wypowiadać się we własnym imieniu.

Nie wiem jak to możliwe przy jej tuszy, ale do kuchni bezszelestnie wchodzi Zofia, chwyta się pod boki i stanowczym głosem oświadcza:

– Filip już wstaje. Obiecał, że zajmie się małym, a my w tym czasie weźmiemy się za gruntowne sprzątanie. Wszystko ci pokażę i wasz dom będzie lśnił czystością. Nie mam do ciebie pretensji, moje dziecko, bo zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę do tej pory nie miał cię tego kto nauczyć.

Kilkanaście minut później Filip znika za drzwiami z Frankiem w wózku. W pierwszym odruchu mam ochotę zaprotestować, powiedzieć, że nie zgadzam się, by ten psychopata przebywał sam na sam z moim synem. Potrafię jednak wyobrazić sobie jak mogłaby skończyć się taka scena, więc

z wymuszonym uśmiechem życzę im miłego spaceru i proszę, by mimo słonecznej pogody Filip zabrał na wszelki wypadek cienką chusteczkę i zawiązał Franiowi pod szyją, gdyby zaczęło mocniej wiać. Widzę, że Zofia docenia ten przejaw matczynej troski.

Moja teściowa sprawnym ruchem wyciąga plastikowe miski z szafki pod zlewem, napełnia je wodą, dolewa do każdej kilka łyżek octu i wyciska sok z połówki cytryny.

– Tam na górze mam specjalny płyn do mycia – mówię, wskazując palcem najwyższą z szafek kuchennych.

– Kaju, w tym domu mieszka małe dziecko. Powinnaś ograniczyć użycie detergentów do absolutnego minimum i w miarę możliwości zastępować je naturalnymi alternatywami: octem, sodą, sokiem z cytrusów, szarym mydłem. Są równie skuteczne, a przede wszystkim bezpieczne.

Przytakuje, choć zapach octu działa na mój zmysł powonienia wyjątkowo drażniąco. Liczę na to, że za chwilę odparuje i przestanie być tak intensywny.

– Gdzie masz jakieś szmatki?

– Tutaj – sięgam do szuflady i podaję Zofii dwie ściereczki.

– Nie masz żadnej z mikrofibry?

Mikro... czego?

– Nie... Chyba nie – odpowiadam niepewnie, bo nie mam pojęcia, jak owa mikrofibra powinna wyglądać. – Może mama sama zerknąć. W tej szufladzie trzymamy wszystkie szmaty, ścierki i gąbki.

– No nie ma. A mikrofibra tak pięknie czyści szkła, lustra i meble na wysoki połysk. Poproszę Filipka, żeby kupił. Póki co będziemy sobie radzić tym, co tutaj masz.

Nagle wpada mi do głowy pewien pomysł. Chciałabym przekonać się, czy pod obecność matki Filip również zamyka drzwi swojego gabinetu na klucz. W końcu teraz jest to także sypialnia Zofii... Jeśli pokój nie będzie nadal niedostępny jak twierdza, istnieje szansa, że uda mi się jeszcze raz spróbować skontaktować z Kamą. Nie mogę tak po prostu pójść i pociągnąć za klamkę, żeby nie wzbudzić podejrzeń teściowej. Gdyby mnie nakryła i doniosła Filipowi, ten strzegłby dostępu do gabinetu skuteczniej niż mitologiczny Cerber wrót Hadesu.

– Może zaczniemy od pokoju, w którym śpi mama, skoro kurz był tak bardzo dokuczliwy tej nocy?

– Nie, nie. Sprzątanie to czynność, którą nie może rządzić chaos. Wszystko po kolei – od dołu do góry, od wewnątrz pomieszczenia do wyjścia. Kilka razy powtórzysz cały schemat, a wejdzie ci on w krew, zobaczysz. Bierzmy się do pracy, żebyśmy skończyły przynajmniej parter zanim nasi chłopcy wrócą.

Wbrew moim wcześniejszym obawom, sprzątanie z Zofią okazuje się całkiem przyjemną formą spędzania czasu. Nie uważam, co prawda, by dom wymagał dogłębnego czyszczenia, bo o porządek dbam regularnie, by nie narażać się na gniew Filipa, ale robienie czegokolwiek w towarzystwie jest miłą odmianą od przejmującej samotności.

Z nadzieją chwytam się myśli, że może pojawienie się Zofii w naszym domu okaże się dla mnie zbawienne. Staram się dostrzec w niej matkę, której sama nigdy nie miałam. Liczę na to, że w jej obecności Filip pohamuje swoje sadystyczne zachowania i zaczniemy żyć normalnie. Bez ciągłego strachu i upokorzenia. Mogę nawet przywyknąć do conocnego seksu z Filipem, byleby z tego domu wyprowadziła się nareszcie przemoc, a przede wszystkim pragnienie mojego męża, by wpędzić mnie w obłąd.

Nie bardzo wiem, o czym mogłabym rozmawiać z teściową, by przełamać tę krępującą ciszę. Nigdy nie grzeszyłam pewnością siebie, a prowadzenia luźnej konwersacji wcale nie ułatwia fakt, że od naszego poprzedniego spotkania z Zofią minęło dobrych kilka miesięcy. Nie mamy wspólnych tematów, w zasadzie nie łączy nas nic, poza tym, że ta kobieta jest babcią Franka i matką moich dwóch mężów, jakkolwiek absurdalnie to brzmi.

Przecieramy po kolei każdą półkę, uprzednio ściągając z niej wszystkie rzeczy, a potem Zofia układa je na nowo, inaczej, według znanego tylko sobie systemu. Nie odzywam się – jeśli sprawia jej to przyjemność, to bardzo proszę, niech sprząta według własnego uznania. W dawnym krakowskim mieszkaniu, które wynajmowaliśmy z Wojtkiem, pewnie nigdy nie zgodziłabym się na taką ingerencję w prywatność. Tutaj, niech robi co chce, nie potrafię nazywać tego miejsca swoim domem, nie czuję się tu jak u siebie, nie potrafię zapuścić korzeni i pozbyć się poczucia tymczasowości, choć jednocześnie jestem świadoma, że to moje jedyne miejsce we wszechświecie. Przynajmniej na razie.

Po cichu liczę, że podczas niezbędnych, zdaniem teściowej, porządków, odnajdą się zaginione przedmioty i dokumenty. Przez chwilę kusi mnie, by

zwierzyć się Zofii z moich obaw i wątpliwości, szybko jednak dochodzę do wniosku, że to nie najlepszy moment. Być może wspólne mieszkanie zbliży nas do siebie i będziemy miały okazję nie tylko powspominać Wojtka, ale też razem zapłakać nad jego tragiczną śmiercią oraz niezrozumiałym zachowaniem Filipa. Dlatego też póki co wybieram temat bezpieczny i dość neutralny.

– A jak mamy zdrowie? Wszystko w porządku? – pytam, wykręcając bawełnianą ściereczkę.

– W moim wieku, kochana, nie ma takiej możliwości, by wszystko było w porządku. Ale staram się nie narzekać, tylko posłusznie stosować do zaleceń lekarza i mieć nadzieję, że nie będzie gorzej.

– Doskwiera mamie coś poważnego? – staram się brzmieć na autentycznie zatroskaną.

– Ehh... – Zofia teatralnym gestem chwyta się za serce. – Nie rozmawiajmy o moich chorobach w taki piękny, słoneczny dzień. Powiedz lepiej jak chowa się Franio. Wiem, że nie do końca sobie radzisz ze wszystkimi macierzyńskimi obowiązkami, ale chyba dziecko nie przysparza ci specjalnych zmartwień.

– Nie bardzo wiem, co powinnam odpowiedzieć. Mam ogromną ochotę wykrzyknąć: *tak, nie potrafię odnaleźć się w nowej sytuacji, bo niespełna rok temu zginął mój najukochańszy mąż, tata Franio, i okrutny los nie dał mojemu synkowi szansy na poznanie swojego taty. A twój drugi syn, który w odpowiedzi na moją próbę samobójczą obiecał pomoc w opiece nad Frankiem, nie tylko nie potrafi uszanować pamięci swojego brata, ale też bezczelnie bezczęści ją, znęcając się nade mną niemal każdego dnia. Cud, że jeszcze nie zwariowałam.*

– Tak, mały rośnie zdrowo – odpowiadam cichutko. – Staram się zapewnić mu jak najwięcej miłości.

– Kajo. Hmm, Kaju. Sama nie wiem. Jak do ciebie właściwie zwracają się inni ludzie? – nie czekając na odpowiedź, Zofia wyrzuca z siebie kolejne słowa z prędkością karabinu maszynowego. – Miłość. Miłość to nie wszystko. Oczywiście, dziecko należy kochać, ale Franciszek potrzebuje teraz przede wszystkim poczucia bezpieczeństwa i ogromnych pokładów cierpliwości ze strony swoich rodziców. Ja rozumiem nowe okoliczności: macierzyństwo, epizod depresyjny. Dlatego jestem tu dla was, dla ciebie. Wiesz o tym?

– Tak, to znaczy... – niespodziewane wzruszenie ściska mi gardło. – Doceniam to.

– Filipek zaprosił mnie tutaj nie dlatego, by zrobić ci na złość, czy wykazać twoją nieudolność. Zrobił to, bo kocha was oboje i dostrzegł, że nie potrafisz poprosić o pomoc, chociaż bardzo jej potrzebujesz.

Zofia obejmuje mnie ramieniem i ściska w serdecznym geście. Jestem zaskoczona jej wylewnością, bo nawet na pogrzebie Wojtka potrafiła powściągnąć wszelkie emocje i z zimną obojętnością przyjmowała kondolencje, nie mówiąc już o jakichkolwiek słowach pocieszenia, skierowanych w moją stronę. Teraz, kiedy fizycznie czuję jej wsparcie, zaczynam rozumieć, że jej zachowanie po śmierci Wojtka było pozą. Przybrała maskę, otuliła się szczelnie skorupą, aby nikt nie widział ukrytej w głębi serca matczynej rozpacz. Może nie chciała współczucia i litości, dlatego wołała udawać twardą i niewzruszoną.

– Tęskni mama za nim? – pytam szeptem, patrząc jej prosto w oczy, ale tę intymną chwilę przerywa trzask otwieranego zamka.

Kobieta natychmiast ucieka wzrokiem. Podpiera się pod boki i radośnie pokrzykuje, dziarskim krokiem zmierzając w stronę dziecięcego wózka wpychanego do przedpokoju przez Filipa:

– No pewnie, że babcia tęskniła za tym małym robaczkiem, ale właśnie wrócił ze spaceru z tatusiem i nareszcie będę mogła nacieszyć się swoimi kochanymi chłopakami.

Przez krótki moment, nim Filip zdążył zamknąć za sobą drzwi wejściowe, z zewnątrz dobiega odgłos krakania. Na przedramionach pojawia mi się gęsia skórka. Słyszałam już kiedyś ten dźwięk. Szybko łajam się w myślach, jest wiosna i przyroda coraz głośniejsze będzie dawała o sobie znać. Przecież czuję, że nadchodzą zmiany na lepsze. Prawda?

14.

Ludzie mawiają, że upływ czasu najwyraźniej widać po dzieciach. Może nie powinnam głośno się do tego przyznawać, bo i tak w tym domu jestem uznawana za wyrodną matkę, ale wcale nie widzę, by mój syn jakoś szczególnie rósł i zmieniał się z każdym mijającym miesiącem. Jasne, Franek ciągle wyrasta z kolejnych ubranek i chociaż cyferki na metkach są coraz to wyższe i wyższe, to nie są one dla mnie wyznacznikiem mijającego

czasu. Co innego widok za oknem. Kolejno spadające, później puszcające nieśmiało pączki, aż wreszcie teraz buchające soczystą zielenią liście, pozwalają mi dostrzec, jak szybko następują po sobie kolejne miesiące i pory roku.

Zamknięta w czterech ścianach, a przede wszystkim schwytna w sidła bezproduktywnej rutyny, nie zauważam żadnych szczególnych zmian, poza kolorami za oknem.

Dni mijają sennie, a od kiedy mieszka z nami Zofia, jeszcze bardziej leniwie, bo przejęła część moich, i tak niezbyt licznych obowiązków. Pranie, sprzątanie, gotowanie, zabawy z Frankiem – pod pretekstem odciążenia mnie, zostałam odsunięta od większości tych czynności, gdyż matka Filipa wykonuje je ochoczo i z wielką werwą. Coraz częściej bywają dni, kiedy czuję się bardziej jak starsza siostra Frania, a nie jego mama. Kiedy próbuję protestować, słyszę, że to wszystko z troski o mnie, abym spokojnie mogła zająć się sobą i popracować nad powrotem do równowagi psychicznej.

Oprócz pojawienia się nowej domownicy, nic więcej nie uległo zmianie. Relacje z Filipem nie ociepliły się w magiczny sposób, niezmiennie odnoszę wrażenie, że po uszy tkwimy w stanie niewypowiedzianej zimnej wojny. Przyjacielskie relacje sprzed narodzin Franka prysły niczym bańka mydlana. Tamten okres wydaje mi się odległy i nierzeczywisty. Sama siebie pytam, czy naprawdę kiedyś darzyłam brata Wojtka sympatią, szacunkiem i zaufaniem, czy to jedynie wytwór mojej fantazji.

Filip nadal pilnuje dostępu do swojego gabinetu niczym warownej twierdzy. Porzuciłam już nadzieję na odzyskanie kontaktu z Kamą, a tym bardziej na wydostanie się z tego specyficznego stanu uwięzienia. Zofia, której obecność któregoś dnia mogła stać się moją przepustką do pokoju męża, zaczęła sypiać na sofie w salonie, żeby nie przeszkadzać Filipowi w pracy wieczorową i nocną porą. Twierdzi, że tam jej wygodnie, choć kilkakrotnie proponowałam, że możemy posprzątać składzik na piętrze i zaaranżować jej tam małą sypialnię.

Chociaż naiwnie wierzyłam, że z czasem obecność matki poskromi choć po części erotyczne zapędy Filipa, mąż na dobre zadomowił się w moim łóżku. Nie mam innego wyjścia, każdej nocy spełniam małżeński obowiązek, choć nadal napawa mnie to odrazą, a po seksie z nim czuję się

bardziej jak ofiara gwałtu, aniżeli odkrywająca pokłady swej kobiecości seksowna kochanka. Nieposkromiony popęd Filipa nie jest w stanie przyjąć odmowy. Ostatnio szczególnie kręci go sado-maso. Z powodu ciągłej obecności Zofii nie może tak często przyduszać mnie i uderzać pięścią, więc potrzebę fizycznego wyładowania frustracji Filip realizuje teraz w sypialni. Wręcz kipi z podniecenia, kiedy zakleja mi usta taśmą, krępuje kostki i nadgarstki, uderza po całym ciele skórzanym pejcem. Ślady po tych perwersyjnych zabawach przez kilka pierwszych tygodni ukrywałam pod długimi rękawami, ostatnio przestałam je zasłaniać z nadzieją, że któregoś dnia Zofia zapyta skąd się wzięły dziwne zasinienia i krwawe podbiegnięcia. Nie pyta, więc pewnie się domyśla, pękając przy tym z dumy, jakiego ogiera udało się jej wychować.

Przyzwyczaiłam się już do obecności teściowej w domu. Chwilami odnoszę wrażenie, jakby od zawsze była stałym elementem jego wyposażenia, jak sofa czy stół. Intymny moment porozumienia bez słów, jakiego doświadczyliśmy pierwszego dnia podczas sprzątanego, nigdy nie wrócił. Nie udało nam się odnaleźć siebie nawzajem, tak samo jak i zaginionych przedmiotów. Ale przecież nie mogło być inaczej... Filip celowo schował wszystkie pamiątki po Wojtku, abym ich nie odnalazła, a po latach była skłonna uwierzyć, że nigdy nie istniały.

*

W drodze na kolację, którą jak zwykle przygotowała dla wszystkich Zofia, zatrzymuję się na krótką chwilę przed dużym lustrem w przedpokoju. Odbijająca się w wypolerowanej tafli postać wcale mnie nie przypomina. Ta wychudzona dziewczyna ma koszmarne cienie pod oczami, bladą, niemal przezroczystą cerę, i tłuste, matowe, smętnie zwisające włosy w wypłowiłym kolorze. Zerkam na wypielęgnowane niegdyś paznokcie. Teraz mają nierówne, postrzępione, kruszące się brzegi i niezdrowy, szarawy kolor. Z powodu permanentnego stresu i braku dostatecznego kontaktu ze słońcem zmieniam się w odpychające straszdyło.

Dziwni mnie zatem niesłabnąca u Filipa chuć. Pewnie wyobraża sobie, że uprawia seks z piękną i pociągającą kobietą, a moje ciało pełni jedynie funkcję średniowiecznego *jedermann* – każdej nocy jestem alegorią cyncatej brunetki, ognistego rudzielca czy androgenicznej modelki o skandynawskich korzeniach. Dzięki sile męskiej wyobraźni mogę być kimkolwiek zechce. Szkoda, że sama nie potrafię uwierzyć w możliwość

przemiany w pięknego łabędzia albo przepoczwarczenia w motyla, choćby cmentem. Byleby wylecieć stąd przez jakąś niewielką szczelinę...

Siadam przy stole i uśmiecham się do Franka, który właśnie z ogromnym zapalem uderza drewnianą łyżką w swój stoliczek do karmienia. Drugą rączką wpycha sobie do buzi kolejny kęs suchej bułki, a jego maleńkie ząbki połyskują niczym perełki. Nie potrafię doliczyć się ich ilości, karcę się w myślach, że sama nie wiem, ile zębów zdążyło się już wybić mojemu synkowi. Każda normalna matka ekscytuje się na widok nabrzmiałego i zaczerwienionego dziąsła, maściami i kropelkami łagodzi dyskomfort malucha, z niecierpliwością wyczekując pojawienia się drogocennych mleczaków. Jestem beznadziejna. Napływające do oczu łzy nie są w stanie obmyć mnie z moich win i wyleczyć wyrzutów sumienia.

Gdyby Wojtek żył, wszystko byłoby inaczej. Całą ciężką z czułością głaskałabym się po rosnącym brzuchu, z ekscytacją wyczekiwała narodzin synka, emocjonowała się każdą jego nową umiejętnością i uwieczniała na setkach fotografii pierwszy uśmiech, słowo, ząbek, gorączkę, kroczek, urodziny. Każde kolejne również, aż do końca świata.

Smętnie przeżuwam grzankę, wpatrując się w swoje dziecko. Próbuję doszukać się w nim dawnego podobieństwa do Wojtka, ale po raz kolejny łapię się na tym, że mimo najszczęśliwszych prób nie jestem w stanie odtworzyć w pamięci twarzy męża. Miał pieprzyk na prawym policzku? Nie... – jednak na lewym. A może faktycznie po prawej stronie? – nie pamiętam... Tak samo jak odcienia brązu jego oczu i długości noszonego zarostu. Dopada mnie frustracja. Mam ochotę płakać i walić z wściekłości pięściami o stół. Dlaczego oni wszyscy tak łatwo zapomnieli o Wojtku? Dlaczego potrafią dalej normalnie żyć bez niego i beztrudnie zajmować się przyziemnymi sprawami?

Rozczulenie widokiem roześmianego Franka nagle przeobraża się w niezrozumiałą nawet dla mnie samą irytację. Próbuję powstrzymać negatywne emocje, ale irracjonalna złość na syna okazuje się być silniejsza. Zaciskam powieki i po cichu liczę do dziesięciu... – *la, la, la, odpieprzcie się ode mnie paranoje, bo za chwilę posunę się o krok za daleko i nigdy sobie nie wybaczę, że w ogóle dopuściłam do głosu takie myśli.* Na nic zdają się prośby i magiczne zaklęcia, mój umysł zalewa fala gniewu. Jak ten mały gówniarz może radośnie brykać i podskakiwać w krzeselku, zamiast oplakiwać śmierć swojego tatusia? Jakim prawem uśmiecha się do Filipa,

wykrzykuje *ta-ta-ta* na widok człowieka, który tak bardzo krzywdzi jego matkę? Czy ten dzieciak jest ślepy i nie widzi wszechobecnego fałszu?

Z moich ust wydobywa się wrzask. Ciskam nadgryzioną grzankę na podłogę i bez słowa wybiegam z pomieszczenia. Co się ze mną dzieje? Padam na łóżko w sypialni i płaczę w poduszkę aż do momentu, gdy zasypiam z wycieńczenia.

Ku mojemu zdziwieniu, po raz pierwszy odkąd wprowadziła się do nas Zofia, budzę się w łóżku sama. Za oknem panuje jeszcze półmrok, zegar na szafce nocnej wskazuje kilka minut po czwartej. Z pokoju Filipa dobiegają szmery rozmów. Mam wrażenie, że śmieją się ze mnie, ale może to tylko mi się śni, bo następne, co pamiętam, to drażniące promienie słońca, łaskoczące mnie w nos.

Czuję się fatalnie. Nie rozumiem swojego wczorajszego zachowania i okrutnych myśli pełnych nieuzasadnionej nienawiści do Franka. Nie wiem, jak po tym wszystkim spojrzę swojemu dziecku w oczy. Nieważne, że nikt poza mną nie usłyszał pytań, jakie wczoraj zadawałam sobie w głowie. Ja o nich wiem i pewnie nigdy nie zapomnę – to wystarczy.

Poza tym po raz kolejny w towarzystwie Filipa i jego matki zachowałam się jak świruska. Obawiam się konfrontacji z nimi po wieczornym ataku paniki. Najchętniej zostałabym w łóżku do końca życia, ale wiem, że tak się nie da. Odwlekam w nieskończoność nieuchronny moment opuszczenia sypialni. Wczoraj zasnęłam w ubraniu, nie przebieram się więc i z łomoczącym sercem powoli schodzę do kuchni. Nie potrafię przewidzieć reakcji domowników na mój widok. Nauczona doświadczeniem, nie spodziewam się miłego przyjęcia, tym bardziej zaskakują mnie słowa Filipa:

- Dzień dobry, kochanie. Mam nadzieję, że się wyspałaś.
- Tak, dziękuję – odpowiadam zmieszana.
- Napijesz się z nami kawy? – pyta serdecznym głosem Zofia.
- Jasne, poproszę...

Przez chwilę nieporadnie bawię się sznurkiem dresowych spodni. Nawijam go na palec ciałuś, aby pomiędzy kolejnych warstw nie wystawał ani milimetr skóry, następnie rozwijam i rozpoczynam cały proces od nowa. Boję się podnieść wzrok. Mam wrażenie, że jeśli to zrobię, matka i syn rzucają mi się do gardła, krzyząc przy tym: *zartowaliśmy z tą uprzejmością*.

Nic takiego jednak się nie dzieje. Tomczykowie zachowują się, jakby wymazali z pamięci wczorajsze zajście. Mogłabym nawet zaryzykować stwierdzenie, że jest miło. Rodzinnie.

Franek na podłodze bawi się pieskiem na baterie, Filip przegląda jakieś branżowe czasopismo, a teściowa stawia przede mną na stole kubek z parującą kawą. Dolewam sobie mleka z dzbanuszka i dość nieudolnie próbuję się uśmiechnąć. W porządku, nawet jeśli teraz ominie mnie jakaś awantura i będziemy sobie jakby nigdy nic wspólnie siedzieć w kuchni, to i tak nie mam szczególnych powodów do radości. Dzień jak co dzień, stagnacja i poczucie klęski.

– Widziałaś pierwszy rysunek Frania? – pyta teściowa, wskazując ręką na leżący obok mnie blok papieru.

Świetnie, kolejne przeoczone *pierwsze* mojego syna. Sięgam po znajdującą się na wierzchu wymiętą kartkę, na której Franek zamaszystymi, chaotycznymi ruchami postawił kilka kresek ołówkiem. Nie wiem, co powinnam zrobić z tym „dziełem”. Czuję na sobie wzrok Filipa i Zofii. Normalna matka pewnie oprawiłaby rysunek w ramkę i zawiesiła na honorowym miejscu na ścianie, uprzednio chwając się wątpliwym talentem dziecka przed rodziną, znajomymi, a być może nawet pewną grupą nieznanym na kilku forach i portalach społecznościowych. Wstaję więc od stołu, podchodzę do lodówki i przypinam rysunek magnesem.

– Dopisz w rogu datę. Będzie kiedyś piękna pamiątka – instruuje mnie stanowczy głos Zofii.

Sięgam po ołówek. Wiem tylko tyle, że jest już czerwiec. Ledwo nadążam za liczeniem dni tygodnia, nie mówiąc już o dokładnych datach. Tak jest chyba łatwiej, może uda mi się nieświadomie przebrnąć przez rocznicę śmierci Wojtka, która – jak wynika z moich prymitywnych obliczeń – zbliża się wielkimi krokami.

– Piąty czerwca – podpowiada teściowa, widząc jak długo zastanawiam się, jaką cyfrę postawić przed rzymską szóstką.

Przez moment krew w moich żyłach przestaje płynąć. Jutro minie dokładnie rok od tego koszmarnego dnia, gdy Wojtek zginął w wypadku. To oznacza, że 365 dni temu przeżywałam ostatnie chwile swojego szczęśliwego życia, zupełnie nieświadoma zbliżającej się tragedii.

Tak bardzo chciałabym porozmawiać teraz z Kamą, wypłakać się w jej ramię. Nie wiem, czy ona jeszcze o mnie myśli i jak tłumaczy sobie ten

nagle urwany kontakt. Może Filip wcisnął jej jakąś bajkę, żeby sama odpuściła. Pewnie tam, w wielkim świecie, ma nowych, radosnych przyjaciół i ja z tymi wszystkimi dramatami nie jestem jej już potrzebna.

Teściowa siada na krześle obok mnie i bierze Franka na kolana.

– No, kawalerze – dyszy ciężko. – Swoje już ważysz. Babcia pilnuje, byś jadł jak należy, więc będzie z ciebie kawał chłopca.

Upijam łyk kawy, zaciskając mocno powieki, by powstrzymać napływające łzy. Sama nie wiem, czy istnieje jakiś konkretny ich powód. Ciągłe płaczę. Nie zliczę już chwil, gdy zasłaniałam wilgotne oczy i łykałam pospiesznie powietrze, by stłumić nadciągający szloch. Wiem, że tą nieustającą płaczliwością narażam się na śmieszność, ale mam to gdzieś.

Chce mi się płakać, bo tęsknię za Wojtkiem i Kamą, nie pamiętam swoich rodziców, jestem złą matką, wpadam w obłąd, nikt mnie nie rozumie, nikomu na mnie nie zależy, nikt mnie nie kocha, mieszkam z ludźmi, których nawet nie lubię, jestem odcięta od świata, nie mogę stąd wyjść, nie mogę o niczym decydować, chociażby o sobie samej, jestem ciągle kontrolowana, dręczą mnie koszmary, nie radzę sobie z emocjami, z nikim nie mogę szczerze porozmawiać, boli mnie głowa, chciałabym się upić. Godzinami mogłabym kontynuować tę litanię żalu i smutku.

– Słyszysz co mówię? – teściowa trąca mnie w ramię. Dopiero wtedy zauważam, że od jakiegoś czasu jej usta ciągle się poruszają, lecz nie docierają do mnie żadne dźwięki.

– Przepraszam, zamyśliłam się. O czym rozmawialiśmy?

– Ha, rozmawialiśmy. Dobre sobie – prychnęła. Miły nastrój już się zatem niespodziewanie ulotnił. – Mówiłam, że Franio bardzo szybko rośnie i spora część jego ubranek jest już zbyt ciasna. Robi się coraz cieplej, a nie mieści się właściwie w żadne ciuszki z krótkim rękawkiem. Filipek pokazał mi ten sklep internetowy, w którym najczęściej robicie zakupy i pozwoliłam sobie odłożyć do koszyka kilka rzeczy, które najbardziej mi się spodobały. Jeśli chcesz, mogę ci je później pokazać i zrobiłybyśmy zamówienie.

– Dobrze. Świetny pomysł.

Wszystko mi jedno. Zamawiaj, kobieto, co tylko chcesz z tej drogiej witryny dla snobów. Mnie się marzy wyjście do zwyczajnego sklepu z dziecięcymi ubrankami, mógłby być nawet z odzieżą używaną. Byleby nie były to wirtualne zakupy. Dotykałabym tkanin, wdychała ich zapach, a przy

kasie zamieniła kilka słów z uroczą sprzedawczynią na temat pięknej pogody. Pobożne życzenia.

– Myślałam też o zakupie chodzika. Franio tak pięknie raczkuje i widzę, jak ochoczo podrywa się do stania. Co ty na to?

– Nie wiem, mamó. Szczerze mówiąc nasłuchiwałam się wielu krytycznych opinii na temat korzystania z chodzika i chyba wolałabym, żeby Franek sam zaczął chodzić, w swoim czasie.

– O, to ciekawe. Możesz opowiedzieć mi o tym coś więcej?

Kiedy próbuję przypomnieć sobie argumenty przeciwników tego wynalazku, dzwoni telefon Filipa. Pospiesznie sięga po urządzenie do kieszeni, zerka na wyświetlacz i odbiera połączenie.

– Guten morgen, Herr Werner – mówi do słuchawki, wychodząc do salonu z telefonem przy uchu.

Moje myśli natychmiast odpływają w innym kierunku. Bezskutecznie próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnio rozmawiałam przez telefon. Nie pamiętam numeru komórki swojej, ani Wojtka. Dość wyraźnie układa mi się jednak szereg cyfr +447438227521. To numer Kamy. Nie ma teraz we mnie silniejszego pragnienia od wklepania go na klawiaturze telefonu komórkowego i wciśnięcia zielonej słuchawki.

Filip jest wyraźnie zaaferowany rozmową z zagranicznym kontrahentem. Wyłapuję pojedyncze niemieckie słowa i zwroty. Kiedyś uczyłam się tego języka, dziś jednak niewiele już z tego pamiętam. Nagle wpada mi do głowy pewna myśl. Jeśli Zofia się zgodzi, obiecuję przed samą sobą, że nigdy więcej nawet nie pomyślę nic złego na jej temat.

– Czy mogłabym na chwilę skorzystać z mamy telefonu? – szepczę.

– Ale po co?

W odpowiedzi przykładam palec do drżących warg.

– Ale po co? – powtarza pytanie nieco ciszej.

– Muszę zadzwonić – bezgłośnie poruszam ustami. – Błagam.

– Dziecko, co z tobą? Mówże normalnie! Co się dzieje?

Rozmowa w pokoju cichnie. Nie wiem, czy po prostu rozmówca Filipa wypowiada teraz dłuższą kwestię, czy też brat Wojtka wyczuł, że coś niepokojącego dzieje się w kuchni. Nie chcę ryzykować, że mnie usłyszy. Przysuwam do siebie jedną z luźnych kartek, którymi wcześniej bawił się Franio i stawiam ołówkiem krzywe litery: JESTEM TUTAJ UWIĘZIONA. POMOCY!

Bezszelestnie przesuwam napis w kierunku Zofii. Choć przez ułamek sekundy wątpię w jej inteligencję emocjonalną, ku mojemu zaskoczeniu czyta liścik po cichu, po czym odrywa zapisany kawałek papieru i zwija go w kulkę.

Teściowa, przytrzymując mocniej Franka w talii, przykłada rozłożoną dłoń do mojego czoła i wznosi oczy ku górze.

– Ufff, nie masz gorączki – jej głos wraca do zwyczajowego, dość wysokiego poziomu decybeli. – Przestań bredzić. Patrz na Frania, jakie ma oczy wielkie z przerażenia. Zachowuj się normalnie, ale już!

– Kiedy to prawda...

– Co się tutaj dzieje? – aż podskakuję na krześle, kiedy słyszę za sobą głos Filipa. Nie wiem, kiedy tu wszedł i od którego momentu słyszał naszą rozmowę.

Serce bije mi jak oszalałe. Próbuję się uspokoić i myśleć racjonalnie, przecież nie uderzy mnie na oczach swojej matki. Choć zapewniam samą siebie, że tu i teraz jestem całkowicie bezpieczna, czuję, jak czubek wskazującego palca Filipa boleśnie wkręca się w moje lędźwie, na wysokości prześwitu w oparciu krzesła.

– No, Filipku, dobrze, że jesteś. Siadaj, siadaj. Nałożę ci kawałek szarlotki. Upiekłam z samego rana, powinna już ostygnąć – Zofia przerzuca Franka pod pachę, a następnie kładzie na kolorowej macie. – No, Franiu. Hopsa! Masz tu zabaweczki i grzecznie się baw. Babcia zaraz do ciebie przyjdzie.

– Pytam o czym rozmawiałyście – mówi Filip lodowatym tonem. – A za ciasto dziękuję. Może później zjem.

– Kaja chciała skorzystać z mojego telefonu, ale mam rozładowaną baterię. Może od ciebie mogłaby zadzwonić? – z zaskoczeniem patrzę na moją teściową. Moje oczy otwierają się ze zdziwienia jeszcze szerzej, kiedy kontynuuje swoją wypowiedź. – Właśnie, a co stało się z telefonem Kai? Zapodział się gdzieś?

Kątem oka widzę jak twarz Filipa czerwienieje ze złości. Nie spodziewałam się, że jego matka wstawi się za mną. A może nad nią też się znęca i jest tak samo zastraszona jak ja? To wcale nie brzmi aż tak niewiarygodnie.

– Pytasz, dlaczego Kaja nie ma komórki? Nie chciałem poruszać tego tematu, żeby cię nie martwić, ale skoro moja żona jest na tyle bezczelna, by

prosić ciebie o dostęp do telefonu, to o wszystkim opowiem – nagle Filip zwraca się bezpośrednio do mnie. – A może sama chcesz powiedzieć mojej mamie prawdę?

– Ale ja nie mam pojęcia, o czym mówisz... – dukam i przerażona patrzę na reakcję teściowej.

– Jaką prawdę? Filip, na litość boską, co wy przede mną ukrywacie?

Ku mojemu zaskoczeniu Filip zaczyna łkać, chowając twarz w dłoniach. Nic z tego nie rozumiem. Słowa zaczynają wylewać się w przestrzeń:

– Zgadza się, Kaja nie ma dostępu do telefonu. To była moja w pełni przemyślana i świadoma decyzja. To przykre, ale przede wszystkim musiałem chronić przed nią Frania. Któregoś listopadowego dnia usłyszałem jak Kaja podaje się przez telefon za nastoletnią samotną matkę i rozmawia z kimś na temat możliwości przekazania dziecka do adopcji. Kiedy chwilę później, przerażony jej pomysłem, poruszyłem ten temat, wszystkiego się wyparła.

– Bo to nieprawda! – krzyknęłam.

– No właśnie. Dokładnie tak samo wtedy zareagowała. Kilka dni później byłem świadkiem jak wypytywała kogoś o najbliższe okno życia. Dostrzegłem wtedy u Kai pierwsze symptomy depresji poporodowej i zwróciłem się o pomoc do specjalisty. Wiedziałem, że muszę zacząć jej pilnować, bo nieumyślnie byłaby gotowa skrzywdzić Frania.

– O, słodki Jezu! – zaczęła lamentować teściowa. – Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? Przyjechałabym pomóc.

– Myślisz, że tego nie proponowałem? Kaja wpadła w szal, zaczęła rzucać wszystkim, co miała pod ręką i wrzeszczeć, że przecież świetnie radzi sobie z dzieckiem i nie życzy sobie twojej obecności. Odrzucała każdą pomoc, a ja nie chciałem jeszcze ciebie tym obciążać. Wystarczyło, że sam umierałem z niepokoju.

– Mój biedny, dzielny synek – westchnęła.

– Kaja miała lepsze i gorsze dni. Nie mogłem długo cieszyć się stanem normalności, bo wtedy znów coś złego zaczynało się dziać z moją żoną. A to wmawiała Franiowi różne choroby, wydzwaniała do lekarzy z całej Polski i umawiała go na wizyty, innym razem dostawała wjazdu, że jej synek jest najpiękniejszy na świecie i bez końca cykała telefonem zdjęcia, za każdym razem waląc mu prosto w oczy lampą błyskową, aż zanosił się od płaczu. Najgorsze wydarzyło się tuż przed Bożym Narodzeniem...

Zadzwoił do mnie znajomy, że na jakimś portalu znalazł ogłoszenie Kai... – Filip na chwilę zawiesza głos. Przysłuchuję się tej opowieści z jednakowo silnym niepokojem, jak i zaciekawieniem. Ten facet powinien pisać powieści albo scenariusze odmóżdżających seriali, a nie tworzyć programy i aplikacje. Ukryty talent.

Obie z Zofią zamarłyśmy w wyczekiwaniu na koniec tej historii. Ona chłonęła ją całą sobą, wierząc w każde z wypowiedzianych słów, ja zaś z każdą minutą upewniałam się, że mój mąż jest psychopata. Przecież w tej żenującej opowieści nie ma nawet ziarna prawdy. Owszem, z powodu zeszłorocznych wydarzeń miałam trudności z wejściem w rolę matki, ale na litość boską, nawet przez moment nie przyszło mi do głowy, by skrzywdzić, a tym bardziej pozbyć się Franka. Niemal natychmiast odezwał się znienawidzony głos w mojej głowie: *Na pewno? Zapomniałaś już, co wydarzyło się wczoraj?*

– Milcz! – wyrwało mi się na głos, choć chciałam uciszyć jedynie mojego wewnętrznego wroga.

– Chciałabyś, żebym milczał?! – Filip wstał z miejsca i zaczął nerwowo maszerować po kuchni. – Już wystarczająco długo milczałem na temat twoich chorych akcji. Zatem, wracając do wspomnianej oferty, Kaja wystawiła naszego syna na sprzedaż. Mój znajomy znalazł ogłoszenie ze zdjęciem Franka, jednym z tych, które moja żona tak namiętnie pstrykała swego czasu. W tytule: *adopcja ze wskazaniem*, ha, piękny eufemizm żalostnej próby handlu własnym dzieckiem. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakaś ściema, ale nie – w ogłoszeniu znajdował się numer telefonu Kai!

Trzęsę się w środku, oblewa mnie zimny pot, nogi stają się miękkie niczym z waty, a ciało pokrywa gęsia skórka. Co on wygaduje? Nie mogę uwierzyć, że był w stanie posunąć się w swoich kłamstwach aż tak daleko. Chcę się bronić, wykrzyknąć z całych sił, że perfidnie wymyślił to wszystko na poczekaniu, żeby mnie upokorzyć i skompromitować w oczach teściowej. Nie jestem jednak w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Absurdalna myśl jak brzęcząca za uchem mucha – uciążliwa, lecz przecież niegroźna – każe mi zastanowić się, czy jestem stuprocentowo pewna, że Filip kłamie.

Oczywiście. Przecież nie zwariowałam. Dokładnie pamiętam, co robiłam, a zwłaszcza czego nie robiłam kilka miesięcy temu. Chyba...

– Kaja zaraz pewnie podniesie lament, że to nieprawda, nigdy by tego przecież nie zrobiła, tak bardzo kocha Franka, itepe, itede. Pieprzenie o Szopenie. Zrobiłem sobie screen tej wiadomości. Zostańcie tutaj, wydrukuję i wracam do was za minutę. A ty, Kaja, nie próbuj teraz odezwać się ani słowem i mącić w głowie mojej matce – rzuca Filip na odchodnym, kilka sekund później znikając u szczytu schodów.

Zerkam kątem oka na Zofię. Przytula mocno Frania, głaszcze go po głowie i posyła serię całusów w sam jej czubek. Rzuca mi spojrzenie pełne pogardy, po czym wzdycha, mówiąc, nie wiem czy bardziej do mnie, czy do siebie samej:

– Niewiarygodne... Biedne dzieciątko. A wystarczyło tylko poprosić o pomoc. Ale nie, po co? Zawsze taka dumna, wszystko wie najlepiej. Krok od tragedii, słodki Jezu.

Monolog Zofii przerywa Filip, który dumnie dzierży kartkę formatu A4 w dłoni. Triumfalnym gestem rzuca ją na stół.

– Widzisz, mamó?

– Słodki Jezu... Dziecko na sprzedaż – teściowa celuje we mnie palcem wskazującym. – Kaja, czy ty serca nie masz?

– Kiedy naprawdę pierwszy raz to widzę na oczy. Nie zamieściłam tego w Internecie, nigdy nie chciałam pozbyć się Frania. Błagam, niech mama mi uwierzy. Filip jest przecież informatykiem, mógł sam sfabrykować takie ogłoszenie.

– Tak, w kilkadziesiąt sekund, bo dokładnie tyle nie było mnie z wami. Zresztą spójrzcie na datę ogłoszenia. Wierzcie mi lub nie, sam wolałbym, żeby to nie było prawdą.

Zofia wykonuje niezdarnie znak krzyża. W imię ojca i syna, słodki Jezu, amen.

– Wtedy postanowiłem, że dla bezpieczeństwa Frania trzeba zabrać Kai telefon i całkowicie pozbawić ją możliwości wykonywania połączeń, a przede wszystkim dostępu do Internetu – kontynuuje swą tyradę Filip. – Kartę SIM zniszczyłem, usunąłem z sieci ogłoszenia, mając nadzieję, że nie poniesiemy za nie żadnych konsekwencji.

Kręci mi się w głowie. To nie może być prawda. Nie zrobiłabym przecież czegoś takiego. Filip mnie wrabia. To niemożliwe. Nie jestem taka. Kaja, którą znam, nie byłaby zdolna do tak okropnych rzeczy.

– Czy teraz, kiedy prawda wyszła na jaw, nadal czujesz palącą potrzebę skorzystania z telefonu? – szydzi Filip, a jego twarz wykrzywia się w cynicznym uśmiechu. Jest przekonany, że skulę ogon, przeproszę, że żyję i odpowiem: nie. To teraz cię, dupku, zaskoczę.

– Tak, jeśli będziesz tak miły – robię, co w mojej mocy, by nie zadrzał mi głos.

Jest zbity z tropu, raz po raz mruga nerwowo, nie przewidział takiej reakcji w swoim scenariuszu, ale wyraźnie walczy z mimiką, by nie okazać zaskoczenia. Jego wzrok mówi, że tego gorzko pożałuję, ale postanawiam skorzystać z nadarżającej się okazji. W sekundzie wiem, co powiem Kamie, jeśli uda mi się z nią połączyć. Jedno słowo: *majonez*, nasze tajne SMS-owe hasło, którego używałyśmy w czasach jej niezbyt udanych internetowych randek. Znaczyło dokładnie tyle, co: ratuj, ten gość jest popaprany. A bardziej niż majonezu Kama nienawidzi tylko beznadziejnych facetów.

Drżącą ręką Filip wyciąga w moim kierunku telefon. Nim zdążę go odebrać, najwyraźniej reflektuje się, że to nie najlepszy pomysł i mocniej zaciska dłoń na komórce. Chociaż sztuczną pewnością siebie próbuje to zamaskować, widzę jednak w jego oczach strach przed moją nieprzewidywalnością.

– Dobrze. Masz prawo do jednego telefonu. – Choć Filip próbuje zabrzmieć jak groźny policjant z tandetnego serialu kryminalnego, jego głos jest karykaturalny. – Warunki są proste: rozmawiasz na trybie głośnomówiącym, a ja przerywam połączenie, kiedy uznam to za słuszne. Zrozumiano?

– Owszem.

– Dyktuj numer.

– Chcę porozmawiać z Kamą. Na pewno masz zapisany kontakt w pamięci telefonu.

– Taaa... A potem powiesz, że wpisałem fałszywy na złość tobie, jak z ogłoszeniem o sprzedaży Franka. Dyktuj, powiedziałem, nim skończy się moja cierpliwość.

Skup się, Kaja. On robi wszystko, by wytrącić cię z równowagi. Nie możesz się pomylić. Dyktuj powoli numer Kamy, cyferka po cyferce i uważnie obserwuj, czy na pewno Filip wbija odpowiednie klawisze.

– +44. 7, 4, 3, 8, 2... – na chwilę zawieszam głos, bo próbuję sobie przypomnieć, czy w numerze jest podwójna ósemka czy dwójka. Tak, dwie

dwójki. – 2, 7, 5, 2, 1.

Mąż rzuca mi pełne nienawiści spojrzenie i wciska ikonę zielonej słuchawki. Zastygam w oczekiwaniu na sygnał połączenia. Dwie sekundy, tyle wystarczy, by przekazać Kamie swoisty sygnał S.O.S.

– *The person you are calling is unavailable right now. Please try your call again later**.

Później, dobre sobie. Wzrok Filipa mówi wyraźnie, że żadnego później nie będzie.

15.

Noce, wypierane przez słoneczne dni, stają się coraz krótsze. Senne koszmary nie odpuszczają, kondensując się w tych kilku godzinach ciemności. Od kilku tygodni co noc znów śni mi się Wojtek. Nie widzę jego twarzy, chociaż doskonale wiem, że to on. Kiedy próbuję do niego podbiec, znika przy wtórze złowieszczonego echa: *zdradziłaś mnie, mnie, nie, ee*. I wtedy zazwyczaj budzę się przerażona.

Dziś sen staje się jeszcze wyraźniejszy. Podobny, lecz nieco inny. Kiedy Wojtek jest już na wyciągnięcie ręki, gdy tak niewiele brakuje, bym mogła mu wytłumaczyć, że to nie tak jak myśli, wtedy dosłownie znikąd wyrasta przed nim samochód, do którego wsiada, nie zerkając nawet w moją stronę. Po przekręceniu kluczyka w stacyjce, zamiast odgłosu pracującego silnika, rozlega się głośny dźwięk jego telefonu. Wiem, że to telefon Wojtka, bo nie znam nikogo innego, kto ustawiłby *Take me to church* Hoziera jako dzwonek na komórkę. Muzyka jest ogłuszająca, wypełnia całą przestrzeń. Zatykam dłońmi uszy, a mimo wszystko słyszę ją bardzo wyraźnie. Zamykam oczy, bo hałas ciągle się natęża i zaczyna sprawiać fizyczny ból. Nagle wszystko się urywa. Otwieram oczy i widzę, jak samochód Wojtka staje w płomieniach. Otwieram usta do krzyku i w tym momencie budzę się zlana potem.

– Nie! – krzyczę. – Nie!

– Zamknij się, dziwko – męski głos syczy mi prosto do ucha, a usta zakrywa spocona dłoń.

Otwieram oczy i widzę oświetlaną promieniami wschodzącego słońca sylwetkę siedzącego na mnie okrakiem Filipa. Zupełnie nagiego. Próbuję

się wyrwać spod nacisku jego ciała i wtedy zauważam, że musiał wcześniej zedrzeć ze mnie koszulę nocną i bieliznę.

– Zejdź ze mnie, zboczeńcu – cedzę przez zaciśnięte zęby, na oślep uderzając w niego rękami.

Rozwścieczony przyciska mnie jeszcze mocniej. Kręci pośladkami, napierając między uda. Nie będę dziś uprawiać z nim seksu, choćbym miała przypłacić to życiem. Mija rok od śmierci Wojtka, powinniśmy wszyscy w szczególny sposób upamiętnić ten dzień. Po policzku spływa mi gorąca łza.

– Rozchyl te nogi albo wezmę cię siłą – sapie Filip.

– Nie! – krzyczę, nie przejmując się tym, że dobiegające z sypialni hałasy obudzą teściową lub Franka. – Zostaw mnie w spokoju! Błagam... Dziś jest rocznica śmierci twojego brata, uszanuj to.

Po prawym policzku rozlewa się fala gorąca. Powraca znajome uczucie, choć odkąd zamieszkała tutaj Zofia, jej syn dość skutecznie powstrzymywał się od uderzeń w twarz.

– Jesteś moją żoną, a zaspokajanie mnie jest twoim zasranym obowiązkiem. W takim razie otwieraj przynajmniej gębę i rób, co do ciebie należy.

Gwałtownym szarpnięciem za włosy odchyła moją twarz do tyłu. Klęka nade mną, a naprężonym do granic możliwości dowodem swej męskości uderza w zaciśnięte usta.

– Dalej, kurwa, dalej – jęczy.

Im bardziej zaciskam zęby, tym mocniej Filip napiera. W końcu dezarteruję i otwieram buzię, a przyrodzenie tego gnoja wciska mi się do gardła. Wije się w konwulsyjnych ruchach góra – dół, góra – dół, miarowo dysząc i stękając. Wzbiera mnie na wymioty, ciało w odruchu bezwarunkowym próbuje pozbyć się intruza.

– Tak, tak. Jedziesz maleńka. Mmmm...

Staram się nie myśleć o tym, jak bardzo upokorzona się teraz czuję. Mobilizuję się do walki. Teraz albo nigdy. Nadszedł czas, by wyjść w końcu z roli ofiary. Z całych sił zaciskam zęby na nabrzmałym fiucie Filipa. Czuję w ustach metaliczny smak jego krwi. Udało się.

– Co zrobiłaś, szmato? Kurwa! Kurwa, jak boli. Pojechało cię już do reszty? – samiec alfa przytrzymuje dłonią zakrwawione klejnoty i wrzeszczy jak opętany. – Ty suko, pożałujesz tego. Zmienię twoje życie w koszmar!

– Już to zrobiłeś. Nie zauważyłeś? Jesteś powalonym psycholem! Nawet w rocznicę śmierci brata myślisz tylko o tym, żeby zerznąć jego żonę!

Owijam się kołdrą, by zasłonić nagie, drżące z emocji ciało. Jedyne czego chcę, to biec. Zabrać stąd Franka i pobiec daleko przed siebie. Czemu wcześniej na to nie wpadłam? Wybiję któreś okno na parterze i nareszcie stąd uciekniemy.

Niezdarnym ruchem, przytrzymując jedną ręką kołdrę na wysokości biustu, wypęlam z łóżka i stawiam pierwsze pokraczne kroki na trzęsących się nogach. Kiedy próbuję dosięgnąć leżącej na komodzie koszuli nocnej, Filip przydeptuje nogą włączając się za mną kołdrę. Znów jestem kompletnie naga, gdy drzwi sypialni otwierają się z hukiem. Staje w nich zaspana Zofia. Kucam w kącie i zasłaniam ciało rękami.

– Co się tutaj wyprawia? Co to za krzyki? – jej wzrok zatrzymuje się na nagim Filipie, który z trudem hamuje łzy bólu. – Słodki Jezu! Filipku, ty krwawisz! Co to wszystko ma znaczyć? Chodź, kochanie, trzeba cię opatrzeć.

– Poradzę sobie – syczy wściekle. – Najlepiej stąd wyjdź, bo muszę się rozprawić z tą małą dziwką.

– Nie! Niech mama zostanie – protestuję. – Musimy sobie coś wyjaśnić. Miarka się przebrała.

– Zanim cokolwiek sobie wyjaśnimy, ubierz się, młoda damo. Nie wstyd ci występować nago przed własną teściową? Jakiś erotyczny cyrk sobie tu urządzasz z samego rana. Bezwstydnicza. Takie sceny przy małym dziecku. Bój się Boga, dziewczyno!

Zofia podaje mi szlafrok przerzucony przez oparcie fotela, ostentacyjnie odwracając wzrok. Obwiązuję się ciasno w talii i od razu czuję się bardziej komfortowo, o ile w takiej sytuacji można mówić o jakimkolwiek komforcie. W myślach rozważam, czy rzucić się teraz do szaleńczej ucieczki, czy najpierw wyrzucić z siebie całą prawdę o życiu z Filipem. Postanawiam powiedzieć Zofii o wszystkim, co dzieje się tutaj od miesiący. Jeśli nie znajdę u niej zrozumienia, pryśnie moja ostatnia nadzieja i będę zmuszona sięgnąć po radykalne rozwiązanie.

Zaczynam mówić trzęsącym głosem, z oczu wypływają strumienie łez, których nie próbuję nawet pohamować. Kap, kap, kap. Opowiadam o miesiącach uwięzienia i ubezwłasnowolnienia, o tym, że nawet nie znam swojego nowego adresu, o aktach przemocy psychicznej i fizycznej, ale

puste spojrzenie Zofii nie pozostawia żadnych złudzeń. Nie mam co liczyć na zrozumienie. Na twarzy jej syna króluje kpiący uśmiezek, który poszerza się z każdą minutą. Kiedy przechodzę do opowieści o pierwszym gwałcie, Filip wybucha niepohamowanym, histerycznym śmiechem.

– Ha! Ha! Ha! Dobrze sobie! Skończyłaś już opowiadać swoje bajeczki? Bo chyba pora na śniadanie. Robię się coraz bardziej głodny.

Przenoszę błagalny wzrok na Zofię. Kobieto, jesteś matką Wojtka, babcią jego synka, zrozum mnie i pomóż!

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo – beznamiętnie odpowiada Zofia. – Coś jeszcze, czy możemy już schodzić na śniadanie?

– Jak możesz być tak obojętna? – łkam. – Po Filipie nie spodziewam się już niczego dobrego, przywykłam do bicia, poniżania i gwałtu. Ale ty? Ty śmiesz nazywać siebie kobietą i matką? Naprawdę nie widzisz i nie słyszysz dramatu, jaki rozgrywa się w tym domu? Dziś mija okrągły rok od śmierci twojego starszego syna, czy tylko ja jedna o nim pamiętam? Co z was za ludzie? Rok temu zginął Wojtek, a jego brat od rana myśli tylko o dymaniu smutnej wdowy. To takie żałosne!

– Nie znam żadnego Wojtka – mówi obojętnym tonem teściowa. – Moim jedynym dzieckiem jest Filip.

Z całej siły wbijam sobie paznokcie w przedramię. Szczypię się w rękę, a myśl, że to wszystko mi się śni, to mój ostatni bastion nadziei, chociaż doskonale wiem, jaki będzie wynik tego żałosnego, dziecinnego eksperymentu. Nie mogło być inaczej, nie budzę się. Z tego koszmaru nie da się obudzić.

W głowie kołacze mi się teraz tylko jedna myśl: biec przed siebie. Nie rozumiem nic z tego, co tutaj się dzieje. Nie wiem kim jestem, kim byłam, kim są ci ludzie, którzy stoją przede mną. Rzucam się pędem przed siebie. Przez ułamek sekundy, słysząc radosne gaworzenie dobiegające z dziecięcego łóżeczka, myślę o Franku. Nie, nie dam rady się nim teraz zająć. Sprowadzę pomoc i dopiero wtedy go zabiorę. Uratuję cię, syneczku. Przysięgam. Teraz muszę ratować siebie. Jestem pewna, że dopiero kiedy opuszczę ten przeklęty dom, dowiem się kim naprawdę jestem.

Głośno uderzając stopami o stopnie, zbiegam na dół. Drzwi wejściowe z pewnością są zamknięte. Muszę szybko znaleźć inną drogę ucieczki. Mimo że nie mam na sobie nic, prócz cienkiego szlafroka, pot strumieniami zalewa moje ciało. Nie obracam się za siebie, ale wyraźnie słyszę zbliżające

się kroki. Już nie ma odwrotu. Wchodzę do salonu i w panice rozglądam się za jakimś ciężkim przedmiotem. Chwytam stojący na komodzie wazon i rzucam nim w jedno ze skrzydeł ogromnego okna, sięgającego od samej ziemi niemal po sufit, odruchowo zamykając oczy.

W tym samym momencie dobiega mnie kakofonia dźwięków. Trzask tłuczonego szkła, irytujący pisk alarmu antywłamaniowego i przeraźliwy krzyk Franka. Otwieram oczy. Wazon wybił w oknie dziurę, zbyt małą jednak, by udało mi się przez nią prześlizgnąć. Czuję na ramieniu oddech Filipa.

– Stój, tępa dziwko! – wrzeszczy, zagłuszany przez wyjący alarm.

Nie mam ani sekundy do stracenia. Upragniona wolność jest już dosłownie na wyciągnięcie ręki. Owijam dłonie w rękawy szlafroka. Wyciągam ręce przed siebie, rozpędzam się i z impetem uderzam nimi w popękana szybę. Pomimo prowizorycznego zabezpieczenia dłoni i nadgarstków materiałem, czuję jak maleńkie odłamki boleśnie wbijają się w moje ciało. Trudno. Najgorszy ból fizyczny zniosę lepiej niż psychiczne tortury, jakim będę poddawana, jeśli nie uda mi się uciec.

Podnoszę prawą nogę, by kopnięciem rozbić jeszcze dolną część okna i postawić swój pierwszy od wielu tygodni krok na zewnątrz. Nim zdążę wykonać jakikolwiek ruch, czuję silne uderzenie w potylicę. Zapadaniu się w ciemność towarzyszy jęk bólu, mimowolnie wydzierający się z moich ust.

Umieram. Nareszcie umieram. O cały rok za późno.

* Osoba, do której dzwonisz jest w tej chwili niedostępna. Proszę spróbować później (ang.)

CZEŚĆ TRZECIA

Siedem godzin później

1.

Nie ma strumienia światła, w kierunku którego mogłabym iść. Nie jestem lekka jak piórko, wcale nie odrywam stóp od ziemi. Nie poszybuję ku przestworzom jak ptak. Wręcz przeciwnie, coś ciągnie mnie ku dołowi tak mocno, jakby cała zgromadzona we wszechświecie siła grawitacji zawładnęła właśnie moim ciałem. Umieranie jest przereklamowane. Widzę wokół tylko ciemność i czuję ból, którego nie jestem w stanie zlokalizować. Boli mnie wszystko: głowa, ręce, nogi, plecy. Cała jestem bólem.

– Pani Tomczyk, czy pani mnie słyszy?

Czy to głos Boga? A może na razie święty Piotr sprawdza listę obecności? Nie, niemożliwe. Błędnie zakładam, że trafiłam do nieba. Tak ciemno i nieprzyjemnie może być tylko w piekielnej otchłani. Stąd to dziwne uczucie ciężkości i przywierania w dół. Panie Lucyferze, melduję się we własnej osobie.

– Chyba próbuje coś powiedzieć – niewyraźny, przytłumiony głos z pewnością nie należy do osobnika płci męskiej. No tak, skoro diabeł ubiera się u Prady, musi być kobietą.

– Proszę zawiadomić doktora Fabickiego, że pacjentka się wybudza – czuję na policzku czyjś ciepły oddech. Niespodziewanie coś unosi moją powiekę do góry i... światło. Zbyt jasne, drażniące, wcale nie zachęca do tego, by pójść w jego kierunku. Na chwilę gaśnie, by ponownie pojawić się przed drugim okiem. – Odruchy neurologiczne prawidłowe.

Rozmowy rodem z serialu o lekarzach z Leśnej Góry nijak nie pasują mi do piekielnej, a tym bardziej niebiańskiej scenerii. Wniosek jest prosty – jednak żyję. I wcale nie przyjmuję tego z ulgą. Ale chwila... Jeśli faktycznie, jak przypuszczam, jestem w szpitalu, to znaczy, że w jakiś

sposób udało mi się uciec od Filipa. Muszę skoncentrować wszystkie siły na otwarciu oczu. Jeśli nie ma go tu przy mnie, prawdopodobnie jestem wolna.

Powoli unoszę ciężką powiekę. Najpierw maleńka szczelinka, przez którą wpada rażące światło. Walczę z odruchową chęcią zamknięcia oka. Uchylam drugie i pozwalam narządowi wzroku przyzwyczać się do światła. Chwilę później otwieram oczy na pełną szerokość i mrugam dwa razy.

Rozglądam się po nieco przyszarzałej sali szpitalnej, którą pewnie w latach świetności wymalowano odcieniem sterylnej bieli. Po obu stronach mojego łóżka stoją parawany, zieloną tkaninę również zdążył nadgryźć już czas. Jarzeniówki na suficie mrugają co kilkadziesiąt sekund. Nie mogę opędzić się od wrażenia, że już kiedyś coś takiego przeżyłam. Chyba mam *déjà vu*.

Opuszczam wzrok i zatrzymuję go na postaciach w kitlach. Otyła pielęgniarka wpatruje się we mnie przenikliwie. Ma niesympatyczną, ulaną twarz. Stojący obok niej mężczyzna, zapewne lekarz, z namaszczeniem zapisuje coś w dokumentacji. Zniszczony życiem, na oko pięćdziesięciolatek, wygląda mi na takiego, co nie wylewa za kołnierz. Tych dwoje przedstawicieli służby zdrowia nieszczególnie budzi zaufanie. Na szczęście nie widzę nigdzie Filipa. Nie siedzi przy moim łóżku, udając opiekuńczego męża. To dobry znak. Zanim pozwolę sobie na chwilę optymizmu, analizuję każdy szczegół twarzy doktora. Upewniam się, czy ten świr nie przebrał się za medyka, by mnie dopaść.

Lekarz zauważa, że uważnie mu się przyglądam. Podaje podkładkę pielęgniarce, długopis zawiesza o brzeg kieszeni fartucha i pyta:

- Słyszysz mnie pani?
- Słyszę.
- Czy pamięta pani co się stało?

Szczerze mówiąc nie pamiętam nic poza szaleńczą ucieczką przed Filipem i jego obłąkaną matką. Przez chwilę milczę, analizując, jaka odpowiedź będzie tą prawidłową. Chcę wiedzieć skąd się tutaj wzięłam. Moja pamięć o ostatnich kilku (kilkunastu/kilkudziesięciu?) godzinach to bezdenne czarna dziura. Ale może lepiej nie przyznawać się do amnezji? Nie chcę przebywać tu ani minuty dłużej, niż będzie to konieczne. Chcę

dalej uciekać. Mogłabym ruszyć przed siebie nawet w tym momencie, gdyby nie ten potworny ból głowy.

– Pani Tomczyk, czy pamięta pani, dlaczego się tutaj znalazła? – lekarz nawet nie próbuje udawać sympatycznego.

Pochyliła się nade mną. Teraz czuję wyraźnie, że z jego ust wydobywa się smród przetrawionego alkoholu. Nie myliłam się co do ciebie, doktoru.

Kiedy koncentruję wzrok, by odczytać nazwisko na plakietce, lekarz unosi w moim kierunku prawą dłoń. Nim orientuję się, że zapewne chciał tylko sprawdzić, czy moje czoło nie jest rozpalone, z krzykiem podnoszę ręce i osłaniam nimi twarz. Pomyślałam, że chce mnie spoliczkować. Idiotka.

– Spokojnie, pani Tomczyk. Proszę podać pacjentce coś na uspokojenie – pada polecenie.

Jest mi strasznie wstyd. Zachowuję się jak małe, przerażone zwierzątko. Do tego doprowadziło życie w zamknięciu. Pewnie długo jeszcze w każdym gościu nieznanych mi osób dostrzegam zagrożenie.

– Wrócę do pani za chwilę – oznajmia lekarz. Szepcze coś pielęgniarce na ucho i kieruje się do drzwi.

Grubaska wstrzykuje jakąś ciecz do wenflonu. Czuję jak płyn rozpiera mi żyłę. Staram się odwrócić swoją uwagę od tego dziwnego i nieprzyjemnego uczucia. Liczę powoli do dziesięciu, starając się przy tym głęboko oddychać. Zaczyna swędzieć mnie nos, do tego stopnia, że nie mogę skoncentrować się na prostym odliczaniu. Podrywam rękę, by się podrapać i kolejny raz czuję nagły, przeszywający ból. Zerkam na swoje nadgarstki. Są owinięte grubą warstwą bandaża.

Z mgły wyłania się w pamięci obraz, w którym uderzam przegubami rąk w szybę podczas desperackiej próby ucieczki, a ta rozpryskuje się na dziesiątki mniejszych odłamków. Tak, wszystko pamiętam. Skaleczyłam się, wybijając okno. A potem zapadłam się w nicość, bo prawdopodobnie zostałam uderzona w tył głowy czymś ciężkim przez Filipa albo jego matkę.

– Sostro, proszę zawołać tego lekarza. Wszystko sobie przypomniałam. Muszę z nim pilnie porozmawiać – z ekscytacją wyrzucam z siebie kolejne słowa.

Jestem tak podniecona swoim odkryciem, jak Archimedes, krzyczący w wannie „Eureka”. Eureka! Opowiem lekarzom całą historię, oni

powiadomią policję, a ci aresztują Tomczyków. Odzyskam Franka, rozwiodę się, dostanę część majątku, wywalczę alimenty, skoro Filip oficjalnie figuruje jako jego ojciec. Będziemy żyć długo i szczęśliwie, a ludzie pracujący w tym szpitalu na pewno mi pomogą.

Czuję się ocalona. Uśmiecham się do samej siebie pierwszy raz od wielu miesięcy. Przepelnia mnie nadzieja. Ból głowy się rozmywa, skaleczone nadgarstki przestają piec. Dziś jest pierwszy dzień reszty mojego życia.

Do sali wchodzi lekarz. Na jego twarzy maluje się zniecierpliwienie, ale obiecuję sobie, że nie pozwolę, by cokolwiek mnie rozproszyło. Czekałam na taką okazję wiele długich dni, tygodni i miesięcy. Tworzyłam w głowie przeróżne scenariusze tej chwili, gdy świat dowiaduje się o moim życiu w zamknięciu. O tym, co zrobił mi Filip. Bardzo chciałam, by pierwsza usłyszała tę historię Kama, ale życie, jak widać, potoczyło się swoim torem.

– Podobno chciała pani ze mną rozmawiać. Słucham – w głosie lekarza wyraźnie słycać ponagląjący, protekcyjny ton.

Wcale nie wygląda na skupionego ani chcącego mnie wysłuchać. Nerwowo tupie w miejscu, przenosząc co chwilę ciężar ciała z jednej stopy na drugą. Nie potrafi ukryć, że wolałby być teraz zupełnie gdzie indziej. Zapewne w towarzystwie gorzkiej żółdkowej czy podobnej jej szklanej damy.

– Rozumiem, że to pan jest moim lekarzem prowadzącym, doktorze? ...
– może przydzielą kogoś innego. Człowieka, w obecności którego łatwiej będzie mi się otworzyć. Ten nie wygląda na tryskającego empatią.

– Tak. W zasadzie tak. To znaczy na ten moment tak. Przepraszam, nie przedstawiłem się. Jarosław Mydlarz. Skoro sprawy formalne mamy załatwione, pozwoli pani, że przejdziemy wreszcie do sedna, bo czekają na mnie inni pacjenci.

Powiem mu tylko to, co konieczne, by wezwał odpowiednie służby. Tę najbardziej traumatyczną część opowieści zostawię sobie na później, dla policyjnego psychologa albo jakiejś serdecznej kobiety w mundurze. Teraz najważniejsze jest, by Filip już nigdy więcej nie zbliżył się do mnie ani do mojego syna.

– Panie doktorze. Przypomniałam sobie jak się tutaj znalazłam.

– Mhm. To dobrze.

– Musi pan wezwać policję, złożę zeznania, choćby teraz. Mój mąż jest niebezpiecznym człowiekiem. Zaatakował mnie, uderzył w głowę i dlatego

straciłam przytomność.

– Spokojnie, pani Tomczyk. Proszę teraz spojrzeć na mój palec i wodzić za nim wzrokiem. O, tak. Bardzo dobrze.

– Pan mi nie wierzy?

– Straciła pani przytomność od uderzenia w część potyliczną. To prawda. A jak wyjaśni pani nacięcia na nadgarstkach?

Stopniowo tracę entuzjazm. On mi nie wierzy. Ale to nic, jestem w szpitalu, miejscu publicznym, kręci się tutaj mnóstwo osób. Jeśli Mydlarz nie powiadomi policji, zrobi to ktoś inny. Gotowa jestem każdemu wykrzyczeć w twarz prawdę o dramacie, jaki przez długie miesiące rozgrywał się w czterech ścianach. I jego drastycznym finale, który zaprowadził mnie właśnie tutaj.

Nie poddaję się i odpowiadam na pytanie lekarza najbardziej stanowczym, opanowanym i przekonującym głosem, na jaki mogę teraz zdobyć:

– Rano się pokłóciliśmy. Ja i mąż. Pewnie dla pana zabrzmiało to absurdalnie, ale on uwięził mnie w domu. Chciałam uciec. Moją jedyną drogą ucieczki było okno balkonowe. Próbowałam rozbić je rękami, stąd rany na nadgarstkach. Wtedy poczułam silne uderzenie w głowę i nic więcej już nie pamiętam – głos zaczyna mi się trząść, jestem pewna, że zaraz się rozkleję. – Panie doktorze, ja mam małe dziecko. Proszę mi pomóc. Mój mąż próbował mnie zabić.

– Zaraz pielęgniarka zabierze panią na kontrolne TK głowy. Jeśli obraz będzie taki sam jak w chwili przyjęcia na oddział ratunkowy, zostanie pani przekazana do dalszego leczenia.

– Doktorze – jęczę zrozpaczona. – Pan mi nie wierzy. Nie wezwie pan policji?

– Po badaniach przyjdzie tu doktor Fabicki i on z panią porozmawia. Nie mnie oceniać, czy pani słowa są prawdziwe.

– Proszę wezwać policję. Ja nie kłamię.

– Pani Tomczyk, jestem starym człowiekiem, lekarzem i pragmatykiem. Jestem tutaj od leczenia. A leczenie opiera się na faktach, nie domysłach. Pozszywałam pani głębokie rany na nadgarstkach, jestem w trakcie badań czy uderzenie nie uszkodziło mózgu. Widziałem już dziesiątki takich, jak pani, zmanierowanych żonek bogatych mężów, które nagle postanawiają pokazać całemu światu, jakie są niby nieszczęśliwe i dla zabawy targają się

na własne życie. Wie pani ilu ludzi codziennie walczy tu z ciężkimi chorobami? Ile ofiar wypadków ratujemy?

– Sugeruje pan, że próbowałam popełnić samobójstwo? – z moich oczu wyziera wściekłość.

Co za ironia losu, kiedy naprawdę chciałam się zabić, nikt tego nie zauważył oprócz Filipa. A teraz, kiedy próbował odebrać mi życie, lekarz jest przekonany, że sama zrobiłam sobie krzywdę.

– Jeśli mąż chciał panią rzekomo zabić, to po jaką cholere wezwał karetkę i przyjechał tu, błagając o ratunek? Proszę już nie marnować więcej mojego cennego czasu.

2.

Uroczą, młodą studentką pielęgniarstwa pcha mój wózek w drodze z pracowni tomografii komputerowej do szpitalnej sali. Cały czas próbuje zabawić mnie rozmową. Szczeciocze radośnie o swoim nowym chłopaku, którego poznała na siłowni, wykładowcach, koleżankach z roku i wrażeniach z niedawno rozpoczętych w tym szpitalu praktyk, na które czekała z wielką niecierpliwością.

Głupio mi, bo w normalnych okolicznościach chętnie ucięłabym sobie z nią pogawędkę. Bije od niej ciepło i bezinteresowna serdeczność. Nie mogę jednak skupić się na jej słowach, bo cały czas nerwowo rozglądam się po korytarzu. Filip prawdopodobnie jest na terenie szpitala, a na pewno był tutaj, kiedy mnie przywieziono.

Cały czas się trzęsę w środku. Ta menda upozorowała w jakiś sposób moją próbę samobójczą. Po rozmowie z lekarzem delikatnie odwinęłam bandaż na lewej ręce. Rana jest ogromna, nie mogła powstać od odłamków szkła.

Jedno wiem, nie jestem już tutaj bezpieczna. Samodzielne opuszczenie budynku w szpitalnej piźniamie nie będzie najłatwiejsze, ale nie ma podobno rzeczy niemożliwych. Wiem, że nie mogę działać spontanicznie. Dokładnie przemyślę, co powinnam teraz zrobić, by ponownie nie wpaść w jego łapska.

Chyba nie muszę aż tak bardzo się spieszyć. Z jakiegoś powodu Filip nie chciał, żebym umarła, więc nie zleci komuś z personelu uduszenia mnie we śnie. A tym bardziej sam nie będzie próbował uśmiercić mnie w miejscu

publicznym. Najpierw chwilę się prześpię, a potem będę intensywnie myśleć, co dalej. Jestem tak senna, że powieki same mi się zamykają. To pewnie po lekach przeciwbólowych, którymi musieli mnie nafaszerować.

Mijamy personel medyczny, pacjentów i ich rodziny. Panuje tu ruch jak w ulu. Nagle, mniej więcej w połowie długości korytarza, wyrasta postać, której widok budzi mnie skuteczniej niż dwie filiżanki czarnej kawy. Rozpoznałabym go nawet na końcu świata. Filip. Wchodzi przez uchylone drzwi do jednego z pokojów lekarskich. Chwilę wcześniej drzwi otwierał kluczem doktor Mydlarz. Mój mąż jest razem z nim w środku. Na pewno coś knują, jak mogłam nie wpaść na to wcześniej.

Muszę dowiedzieć się, o czym będą rozmawiać. Ciekawość okazuje się o wiele silniejsza niż strach. Staram się zachowywać spokojnie i nie okazać zdenerwowania, chociaż w środku trzęsę się jak osika.

Czuję się paskudnie, gdyż zamierzam wykorzystać naiwność i dobre serce tej miłej studentki. Odjeżdżamy jeszcze kawałek w kierunku wind.

– Bije od ciebie takie niesamowite dobro, naprawdę. Będiesz wspaniałą pielęgniarką – mówię do dziewczyny.

– Tak pani myśli? Dziękuję bardzo. Chciałabym, żeby moi rodzice to usłyszeli. Cały czas powtarzają, że się marnuję, że z moimi zdolnościami powinnam studiować medycynę albo przynajmniej farmację. A ja tak kocham pielęgniarstwo. Od dziecka marzyłam o pracy w szpitalu.

– Chętnie powtórzę to twoim rodzicom – uśmiecham się do niej, chociaż wiem, że nigdy nie spełnię tej obietnicy.

– Jest pani taka kochana. A jak pani głowa? Mniej boli?

– Troszeczkę. Dałabym się teraz pokroić za czekoladowego batonika, nic lepiej nie uśmierza bólu niż słodkości.

– Nie wiem, czy lekarz na to pozwoli – dziewczyna śmieje się serdecznie. – Ale ma pani rację, czekolada skleja nawet złamane serca.

– Wiem, że nie powinnam cię o to prosić. Ale chyba oszaleję, jeśli nie zjem natychmiast czegoś słodkiego. Byłabyś tak miła? ...

– Chciałaby pani, żebym kupiła pani batonika w automacie?

– Obiecuję, to będzie nasza słodka tajemnica. A ja będę twoją dożywotnią dłużniczką – uśmiecham się zachęcająco, widząc, że dziewczyna się łamie. – Proszę, miałam dziś paskudny dzień. Niewiele brakowało, a umarłabym...

– No dobrze, pójdę. Przecież kawałek czekolady to nie grzech – puszcza do mnie oko.

– Zaczekam tu grzecznie na ciebie. A pieniądze oddam ci jeszcze dzisiaj.

– Nie trzeba. To będzie prezent za miłe słowa. Rzadko kiedy słyszymy je od pacjentów.

Smukła postać znika w głębi korytarza. Na szczęście dziewczyna nie zablokowała kół wózka, więc niezdarnymi ruchami udaje mi się przejechać kilkanaście metrów dzielących mnie od gabinetu Mydlarza. Podjeżdżam pod drzwi i parkuję bokiem do nich, aby zasłoniły mnie, jeśli niespodziewanie zostaną otwarte od środka. To daje mi chociaż cień szansy na pozostanie niezauważoną, gdyby Filip opuścił pomieszczenie przed powrotem studentki pielęgniarstwa. Wiem, że mam niewiele czasu, by wyłapać urywek rozmowy. Na szczęście pomiędzy podłogą a drzwiami jest spora szczelina, przez którą bez problemu przedzierają się na korytarz wypowiedane wewnątrz słowa.

– ...stanowczo zaprzeczając faktom – Mydlarz kończy swoją kwestię. Domyślam się, że to ja jestem tematem rozmowy.

– Jej paranoje zaczęły się już dawno temu. Przyznaję, powinienem zwrócić się wcześniej o pomoc do specjalisty. Ona ciągle zapewniała, że wszystko jest w porządku, a ja widziałem coś innego – Filip głośno wzdycha. – Już kiedyś zagroziła targnięciem na własne życie. Wrzeszczała, że upozoruje próbę morderstwa, jeśli komukolwiek powiem o tym, co dzieje się w naszym domu.

– Współczuję. Pomożemy państwu.

– Moja biedna, kochana Kaja. Nawet nie wiem jak z Franiem dalibyśmy sobie sami radę, gdyby ona... Nawet nie chcę o tym myśleć.

– Panie Tomczyk, muszę się panu do czegoś przyznać. Przepraszam i z góry uprzedzam, że jestem gotów ponieść wszelkie konsekwencje, jeśli zechce pan powiadomić o tym fakcie dyrekcję szpitala.

Na chwilę zapada cisza. No mów – popędzam lekarza w myślach. Oby najbliższy automat był położony daleko stąd. Może uda mi się tu zostać do końca tej dziwnej rozmowy. W gardle rośnie mi gębla trudna do przełknięcia. Ze środka znów zaczyna dobiegać zdenerwowany głos doktora Mydlarza.

– Powiedziałem pańskiej żonie kilka niemiłych słów. Nie powinienem, przepraszam. Nie sądziłem, że jej stan jest aż tak poważny. Owszem,

uprzedzał mnie pan o możliwości absurdalnych oskarżeń w pana kierunku, ale nie byłem przygotowany na żądanie wezwania policji. Zdenerwowało mnie to. Mówił pan o żonie z taką troską, kiedy ją tu przywieziono. Przeżył pan szok, widząc ją nieprzytomną z podciętymi żyłami. A ona, jakby nigdy nic, zarzuciła, że to pan próbował pozbawić ją życia. Przepraszam, bardzo mnie to rozzłościło. Już na izbie przyjęć poczułem do pana sympatię, jakoś trudną do określenia więź. Dostrzegłem, że oboje jesteśmy gotowi znieść wiele poświęceń dla naszych żon. A pańska wydała mi się taka niewdzięczna. Przecież tej kobiecie niczego nie brakuje do szczęścia.

– Rozumiem. Nie gniewam się, doktorze.

– Wiem, że to mnie nie tłumaczy, ale przeżywam teraz ciężki czas. Moja żona umiera na raka w hospicjum, a ja, mimo że jestem lekarzem, nie mogę już nic dla niej zrobić. – Wyobrażam sobie jak doktor Mydlarz z trudem powstrzymuje łzy. Współczuję mu. Jest po prostu kolejną ofiarą zgrabnych manipulacji Filipa. – Dostałem szału na myśl, że ona tam walczy o każdy oddech, a pani Tomczyk...

– Bardzo mi przykro. Obiecuję, że to zostanie między nami. Ale proszę mi powiedzieć, co dalej z Kają?

Spod drzwi dobiega głuchy odgłos uderzeń palców w klawiaturę komputera.

– Są już wyniki kontrolnej tomografii głowy pańskiej żony. Tak jak przypuszczałem, wszystko w porządku. Nie pojawiła się żadna nowa, niepokojąca zmiana. Uderzenie o brzeg wanny musiało być dość silne, ale na całe szczęście wywołało jedynie lekkie wstrząśnienie mózgu.

– Będzie teraz mogła wyjść na własne żądanie? – w pytaniu Filipa pobrzmiwa nuta strachu.

– Ależ skąd, panie Tomczyk. Zewnętrzne obrażenia szybko się wygoją, ale pańska małżonka będzie wymagać interwencji psychiatry. W przypadku podejrzenia o próbę samobójczą, a z tym bez cienia wątpliwości mamy tutaj do czynienia, zatrzymujemy pacjenta na obserwacji psychiatrycznej. Mam nadzieję, że małżonka dobrowolnie wyrazi na to zgodę, bo w przeciwnym wypadku jako szpital wystąpimy na drogę prawną.

– Oczywiście, doktorze. Zadbam o to, by podpisała, co trzeba. Czuję ulgę na samą myśl, że nareszcie ktoś nam pomoże.

– Za chwilę przyjdzie do niej dyżurny psychiatra i zadecyduje o przeniesieniu na oddział. Na pewno będzie chciał z panem porozmawiać,

więc bardzo proszę o pozostanie na terenie szpitala. Wiem, że to dla pana trudne, ale chyba lepiej będzie, jeśli dziś wstrzyma się pan z odwiedzinami u małżonki.

Jestem przerażona. Nie dość, że Mydlarz mi nie uwierzył, to jeszcze Filipowi udało się przekonać go, że jestem chora psychicznie. Za chwilę ma spełnić się mój największy koszmar. Nie chcę wylądować w psychiatryku! Może chociaż ten drugi lekarz mi uwierzy.

– A tu się skryła moja zguba! – woła radośnie studentka. – Przepraszam, że musiała pani na mnie tyle czekać. Nie wiedziałam, który batonik jest pani ulubionym, więc wzięłam kilka. Tylko proszę nie zjeść wszystkich od razu.

Zmuszam mięśnie twarzy do skurczu, maleńkiego chociaż uśmiechu. Ta dziewczyna jest aniołem. Zazdroszczę jej tej naiwności, optymizmu i młodzieńczej energii. Jestem niewiele starsza, a różnimy się od siebie tak bardzo. W poprzednim życiu też tryskałam radością, a teraz pozostało po niej jedynie mgliste wspomnienie.

– Obiecuję.

Dziewczyna cały czas próbuje zabawić mnie rozmową, ale sens jej słów nie dociera do mnie. Głowę mam zajęta własnymi, ponurymi myślami. Nawet nie zauważam momentu, kiedy wjeżdżamy do sali.

– To już koniec naszej podróży nieco wysłużonym dyliżansem. Wskakujemy do łóżka – ordynuje z uśmiechem, a potem dorzuca konspiracyjnym szeptem. – Nielegalne zapasy cukru proszę ukryć pod poduszką.

Mój mózg pracuje na najwyższych obrotach. Do końca życia będę miała wyrzuty sumienia wobec tej dziewczyny, ale do głowy niespodziewanie wpada mi doskonały pomysł. Już wiem, co zrobię, by odwiedziła mnie tutaj policja, zanim na dobre wyląduję w pokoju bez klamek.

– Poczekaj, oddam ci pieniądze za... – chrząkam konspiracyjnie. – Lekarstwa.

Dziewczyna zanosí się śmiechem.

– Pani Kaju, mówiłam przecież, że to prezent.

– Nalegam.

Otwieram metalową szafkę przy łóżku. Dobrze wiem, że jest pusta. A jednak całkiem przekonująco udaje mi się odegrać zaskoczenie.

– O nie!

– Co się stało?

– Nie ma mojego portfela! – w geście paniki otwieram i zamykam sfatygowaną szufladę. – Komórka też zniknęła! Trzeba wezwać policję! Grasuje tu jakiś złodziej.

Studentka wygląda na zakłopotaną i zdenerwowaną. Z pewnością nikt na studiach nie uczył jej jak należy zachować się w takiej sytuacji. Klasyka. Na moim kierunku też kładziono nacisk na suchą teorię. Praktycznego wykorzystania wiedzy nauczyć nas miało dopiero życie.

– Spokojnie – głos dziewczyny brzmi kojąco i pogodnie. – Trafiła pani do nas przez ostry dyżur?

– Tak, chyba tak, ale jakie to ma znaczenie? Niech pani dzwoni jak najszybciej po policję.

– Wszystkie przedmioty należące do pacjentów z nagłych wypadków trafiają do szpitalnego depozytu. Jestem przekonana, że pani rzeczy też bezpiecznie tam czekają. Chce pani, żebym poszła się zorientować, czy tam są? A może chce pani, żebym je przyniosła? Tylko będę potrzebować pisemnego upoważnienia.

– Nie, dziękuję. Uspokoiłaś mnie. Naprawdę jesteś aniołem. Dziękuję za wszystko.

Ostatni anioł spadł... W głowie pobrzmiwają mi słowa usłyszanej przed laty ballady.

3.

Przez grubą warstwę kurzu na brudnej szybie nie jest w stanie przedrzeć się nawet ostre, wakacyjne słońce. W sali, gdzie nocowałam, choć tutaj niedorzecznie nazywają je pokojami, panuje raczej listopadowy półmrok. Choć jest tu gorąco, trzęsę się z zimna. Byłam tak bardzo śpiąca, ale nie dałam rady zmrużyć oka. Bałam się. To miejsce jest pełne wszelkiej maści świrów, nigdy tu nie zasnę. Mam nadzieję, że szybko mnie wypiszą. Udowodnię wszystkim, że jestem zupełnie normalna, wydostanę się stąd i zacznę życie od nowa.

Niewiele pamiętam z wczorajszego wieczora. Ciągle jestem jeszcze otumaniona lekami, niespokojnymi myślami, strachem i szokiem. Nieprzyjemna pielęgniarka oznajmiła, że zapadła decyzja o przeniesieniu mnie na inny oddział. Podsunęła mi stos papierów do podpisu, a ja nie

miałam nawet siły, by je choć pobieżnie przeczytać. I tak najprawdopodobniej podpisałam na siebie wyrok. Pewnie i tak było to nieuniknione, skoro jakiś doktor Fabicki tak zdecydował po rozmowie z moim lekarzem prowadzącym i najbliższą rodziną. Miał wpaść również do mnie na krótką pogawędkę, ale dostał pilne wezwanie, do któregoś ze swoich świrów z oddziału zamkniętego. Jeszcze go nie znam osobiście, ale już wiem, że jest zwykłym dupkiem, który łyknął wszystkie kłamstwa Filipa na mój temat. Do tego stopnia, że zdecydował o przeniesieniu mnie w trybie pilnym do psychiatryka, choć nie zamienił ze mną jeszcze ani słowa. Zgotował mi jedną z najbardziej przerażających nocy w życiu, jakby nie mógł pozwolić mi zostać pod opieką Mydlarza chociaż do rana.

Moja współlokatorka od wczoraj nie powiedziała ani słowa. Gapi się tylko bez przerwy szeroko otwartymi oczami w jeden punkt. Nie potrafię określić jej wieku. Z takim samym prawdopodobieństwem może mieć dwadzieścia, jak i czterdzieści lat. Na jej twarzy wypisane jest szaleństwo. Widać to już na pierwszy rzut oka. Czy ja po dłuższym pobycie tutaj też stanę się taka? Szpital psychiatryczny stygmatyzuje ludzi. Cokolwiek się tutaj wydarzy, zmieni mnie na zawsze. To jedyna rzecz, której teraz mogę być pewna.

W nocy, kiedy walczyłam ze snem z obawy przed tym, co może się tu wydarzyć, rozmyślałam, co powinnam zrobić, by jak najszybciej opuścić to koszmarnie miejsce. Pierwszą, zupełnie naturalną reakcją jest bunt. Owszem, wydarzenia ostatnich miesięcy zachwiały moją pewnością co do własnej przeszłości. Kiedy tylko wyjdę na wolność, zrobię wszystko, by przekonać się, że istnienie Wojtka to nie jedynie wymysł mojej wyobraźni. Jedno wiem jednak doskonale – nie podciąłam sobie żył. Nie pozwolę, by ktokolwiek mi to wmówił. Muszę udowodnić lekarzom, że jestem stuprocentowo poczytalna, a umieszczenie mnie na tym oddziale to jakaś koszmarna pomyłka. Nie będę krzyczeć, płakać, awanturować się.

Zdaje się, że lada chwila będę mieć okazję zrealizować swoje założenia w praktyce. W drzwiach staje jakiś mężczyzna, najprawdopodobniej psychiatra. Ma włosy związane na czubku głowy w kitkę, wąskie okulary osadzone na długim nosie i kozią bródkę. Wygląda trochę jak jeden aktor z amerykańskiego serialu, ale nie potrafię przypomnieć sobie ani tytułu, ani tym bardziej konkretnego nazwiska. Nie wiem, czy wzbudza zaufanie. Zbyt

długo chyba pobierałam korepetycje od życia ze sztuki nieufności wobec każdego, kto się w nim pojawi, by móc to teraz jednoznacznie określić.

– Dzień dobry, pani Kaju. Nazywam się Robert Fabicki i będę się panią zajmował. Zapraszam do mojego gabinetu, porozmawiamy chwilę.

– Oczywiście – odpowiadam spokojnie, choć mam ochotę wrzeszczeć, żeby mnie stąd jak najszybciej wypuścić. Owijam się szczelniej szlafrokiem i podążam za lekarzem.

Idziemy ciemnym korytarzem. Podłoga pokryta wysłużonym linoleum skrzypi przy każdym kroku, ze ścian płatami odchodzi farba. Ku mojemu zaskoczeniu nie słychać tu potępieńczych jęków czy innych dziwacznych odgłosów. Z ciekawości rzucam okiem w kierunku otwartych sal. Pacjenci w różnym wieku grają w karty, czytają książki, rozmawiają. Zdecydowana większość z nich wygląda zupełnie... normalnie. Fabicki, jakby posiadał zdolność czytania w moich myślach, mówi:

– Tak, tak. Nasi pacjenci to zwyczajni ludzie, tyle że cierpiący zazwyczaj na choroby duszy, których objawy nie są widoczne, jak schorzenia ciała. Zaburzenia odżywiania, depresja, stany lękowe, rzadziej schizofrenia, z tym najczęściej mamy do czynienia. Proszę się nie bać, nikt tu pani nie skrzywdzi. A może wręcz przeciwnie, znajdzie pani z czasem bratnią duszę.

Jego wypowiedź miała na celu uspokoić mnie, ale osiągnęła z gołą odmienny efekt. Powiedział „z czasem”, co znaczy, że planuje zatrzymać mnie tu na dłużej. O nie, nie mogę do tego dopuścić. Za moment w gabinecie lekarskim odbędzie się jedna z najważniejszych rozmów w moim życiu, której przebieg zadecyduje o najbliższych godzinach, dniach, tygodniach, miesiącach, czy – nie daj Boże – latach.

Zatrzymujemy się przed drzwiami, które, tak jak całe ich otoczenie, czasy świetności dawno mają już za sobą. Fabicki zanurza dłoń w kieszeni spodni w poszukiwaniu klucza. Jestem pewna, że jedno solidne kopnięcie w futrynę mogłoby skutecznie je zastąpić. Lekarz chwilę mociuje się z zamkiem, po czym zaprasza mnie do środka.

Wnętrze gabinetu zaskakuje mnie w dwójnasób. Nie wiem jak wyobrażałam sobie miejsce pracy psychiatry, ale na pewno nie tak. Nie ma osławionej kozetki ani aparatury do elektrowstrząsów. Jest biurko. Dwa krzesła. Regał z książkami. Tyle. A poza tym meble są nowe i schludne, ściany gabinetu wyglądają na niedawno malowane, a podłogę zamiast

linoleum pokrywają drewniane panele. To pomieszczenie wygląda zupełnie jak z innej bajki. Mogłabym powiedzieć, że jest nawet... przytulne.

– Proszę sobie usiąść – lekarz wskazuje dłonią krzesło.

Doktor Fabicki zajmuje miejsce naprzeciwko mnie. Sięga do szuflady po moją kartotekę i pospiesznie przegląda ją.

– Pani Kaju, zanim zaczniemy, mam dla pani torbę z rzeczami, które przyniósł pani mąż. Rozumiem, że póki co nie chciała pani, by pan Filip osobiście przekazał ją podczas odwiedzin?

– Zgadza się. Jeśli to możliwe, wołałabym się z nim nie widzieć – pilnuję się, by mój głos nie drżał.

Lekarz bez słowa podnosi słuchawkę telefonu stojącego na blacie i wybiera numer.

– Asiu, poproszę, żebyś przyniosła do mojego gabinetu rzeczy pani Tomczyk. Dziękuję.

Rozglądam się po wnętrzu, cały czas czując na sobie badawczy wzrok psychiatry. Panująca między nami cisza jest wyjątkowo niekomfortowa. Fabicki chyba oczekuje, że wykorzystam tę chwilę na dramatyczne lamente i próby przekonania go, że to Filip jest wariatem, a nie ja. Niedoczekanie. Takie wczorajsze zachowanie w obecności doktora Mydlarza spowodowało, że tylko uwiarygodniłam opowieści Filipa o mojej rzekomej nieobliczalności. Przełykam ślinę. Pełną napięcia atmosferę na moment przerywa wejście do gabinetu młodej kobiety na niebotycznie wysokich obcasach. W rękę trzyma niewielką, sportową torbę.

Nie wiem jak ona to robi, ale podchodzi do biurka z wielką gracją, seksownie kołysząc biodrami. Gdyby nie twarz pokryta bliznami potądzikowymi, głębokimi jak kraterzy wygasłego wulkanu, miałyby spore szanse na karierę w modelingu i mogłaby teraz spacerować po wybiegach u polskich projektantów, a nie korytarzach szpitala psychiatrycznego. Tak niewiele trzeba, by nasze życie mogło potoczyć się zupełnie inaczej. Jeśli chodzi o mnie – wystarczyłoby, żeby Wojtek nie zginął w tym cholernym wypadku samochodowym. Byłabym wtedy w miejscu zupełnie innym niż to.

Zgrabna kobieta z uśmiechem podaje mi torbę. Wychodząc, rzuca spod sztucznych rzęs powłóczyście spojrzenie w kierunku Fabickiego, ten jednak wydaje się być niewzruszony wdziękami uwodzicielskiej Asi.

– Do zobaczenia, doktorze – rzuca w progu. Bez odbioru.

Z ciekawością, ale i lekkim niepokojem rozsuwam zamek błyskawiczny i wyciągam po kolei rzeczy, które zapakował dla mnie Filip. Mam nadzieję znaleźć mój ulubiony, wyciągnięty sweter. Nic z tego. W torbie znajduje się kilka par jednakowych, nowych legginsów, pięć koszulek, dwa czarne swetry i klapki.

– To nie są moje rzeczy.

– Proszę spojrzeć na naklejoną etykietę przy zamku: Kaja Tomczyk. Tę torbę przyniósł tutaj z samego rana pani mąż.

– Ale to nie moje rzeczy – powtarzam z uporem maniaka. – One są zupełnie nowe.

– Pewnie mąż chciał sprawić pani przyjemność i jako prezent kupił nowe ubrania. Miły gest, nie sądzi pani?

– Mhm... – mrużę tylko.

Filip i *miły gest* to zwroty, które wzajemnie się wykluczają. Jestem przekonana, że chciał, abym poczuła się jeszcze bardziej anonimowa i pozbawiona osobowości w tym ponurym miejscu. Udało mu się odrzec mnie ze wszystkiego, co kiedykolwiek do mnie należało. Nawet starych ubrań. Nie uchodzi mojej uwadze, że w torbie brakuje bielizny. Zrobił to celowo. Chciał, żebym musiała za pośrednictwem lekarza poprosić go o nią. Za nic nie dam się wciągnąć w jego gierki. Poradzę sobie jakoś bez majtek i biustonosza, przecież nie zabawię tu długo.

Byle jak zwijam przyniesione ubrania i wrzucam je do torby. Odruchowo otwieram jeszcze boczną kieszonkę i palcami wymacuję jej zawartość. Zdjęcie. Zaczynam się pocić. Ostrożnie wysuwam cienki, śliski papier, chociaż dobrze wiem, czyją twarz zaraz zobaczę. Zerkam na fotografię. Momentalnie ściska mi serce, żołądkiem targa bolesny skurcz, a do oczu napływają łzy. Franio. Mój maleńki synek, ubrany w koszulkę, której nie widziałam nigdy wcześniej. Po oczach bije jaskrawoczerwony napis: *Kiedy dorosnę będę taki jak tata!*

Nie jestem głupia. Ten z pozoru niewinny napis na dziecięcym ubranku odczytuję jako groźbę. Filip chce, żebym jeszcze bardziej bała się o Franka, budziła się i zasypiała z przekonaniem, że grozi mu niebezpieczeństwo. Jego prawdziwy tata przecież nie żyje, a mężczyzna, którego mój syn bierze za swojego ojca, jest pozbawionym uczuć zwyrodnialcem. Jeden z nich jest martwy, drugi okrutny i bezlitosny. Nie tego chciałabym dla Frania, gdy dorośnie.

– Sukinsyn... – rzucam pod nosem. Na szczęście doktor Fabicki tego nie usłyszał.

Chowam zdjęcie do kieszeni szlafroka. Staram się myśleć pozytywnie. Wyjdę stąd dla Franka. Dla niego muszę być silna. Trzeba myśleć zadaniowo. Ten lekarz jest psychiatrą, musi umieć rozpoznawać ludzi, którzy kłamią. To na pewno element jego pracy. Rzeczowo odpowiem na wszystkie jego pytania i kiedy skończę swoją opowieść, sam dojdzie do wniosku, że trzeba jak najszybciej zawiadomić policję o tym, co wydarzyło się w naszym domu.

– Czy jest pani gotowa, żeby ze mną porozmawiać o wczorajszych wydarzeniach?

– Jak najbardziej, panie doktorze.

– Proszę mi zatem powiedzieć, czy podjęła pani próbę samobójczą pod wpływem nagłego impulsu, czy też planowała pani to już od jakiegoś czasu? Bardzo proszę o szczerość.

– Nie podciąłam sobie żył. Niech mi pan uwierzy – patrzę lekarzowi głęboko w oczy, próbując znaleźć w nich otuchę i zapewnienie, że wierzy moim słowom. – Mój mąż razem z teściową musieli to zrobić, kiedy byłam nieprzytomna po uderzeniu w głowę. Oni rozcięli skórę na moich nadgarstkach, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Filip jest bezwzględny typem, gotowym posunąć się do jeszcze gorszych rzeczy.

– Pani Kaję, zaprzeczanie faktom to droga donikąd. Proszę pozwolić sobie pomóc. Obiecuję, pomogę pani wrócić do zdrowia, ale proces leczenia pacjenta psychiatrycznego wymaga całkowitej szczerości po obu stronach. Rozumiemy się?

Irytuje mnie, że Fabicki mówi, cedząc każdy wyraz. Nie znoszę tej manieri u ludzi. Wyglądają wtedy tak, jakby wraz z kolejnym wypowiedzianym słowem mieli rozpaść się na kawałki.

Ale dobrze, chce szczerości, to będzie ją miał.

– Przysięgam na życie mojego dziecka, nie próbowałam popełnić samobójstwa!

I wtedy po plecach przebiega mi dreszcz. Błagam, niech te słowa nie mają mocy sprawczej. Skłamałam.

Oszaleję, jeśli ktoś jeszcze raz zapyta mnie, dlaczego nie chcę jeść. Nie włożę tej obrzydliwej brei do ust. W dupie mam zapewnienia, że to dla mojego dobra, że powinnam przynajmniej trochę skubnąć, żeby nabrać sił. Bokiem wychodzą mi słowa o konieczności podjęcia współpracy z terapeutą i całym personelem. Nienawidzę ich wszystkich. Skoro nikt mi nie wierzy, nie zamierzam z nimi rozmawiać. Zdechnę tutaj z głodu i będą mieli na głowie prokuratora.

Spotkany w innych okolicznościach Robert Fabicki mógłby okazać się całkiem porządnym gościem. Grzeczny, opanowany, cierpliwy, ale nie dość kompetentny, by dostrzec kto mówi prawdę, a kto wodzi go za nos. Znaczącego ludzkiego umysłu jak z koziej dupy trąba.

Spędziłam na oddziale już ponad dobę i nie potrafię określić, czy jestem bardziej zła, czy załamana. Próbuję wzmacniać w sobie uczucie wściekłości, by napędzało mnie do działania, bo tylko złość i rozgoryczenie są w stanie wykrzesać we mnie wolę walki. Kiedy już poddam się beznadziei, a czuję, że nastąpi to niedługo, popadnę w apatię, stając się jedynie bezradną marionetką w rękach Filipa i lekarzy. Na jedno wychodzi. Oni są drużyną, grają w przewadze przeciwko jednej słabej kobiecie, której głosu nikt nie słyszy.

– Skoro nie chce pani jeść, to zapraszam chociaż do naszej świetlicy. Pozna pani innych pacjentów, pogra w jakąś planszówkę z nowymi znajomymi. Od razu poczuje się pani lepiej – do sali energicznym krokiem wchodzi jedna z pielęgniarek i od progu próbuje namówić mnie do aktywności, na które wcale nie mam ochoty. – Honoratko, pójdziesz z nami?

Sąsiadka z łóżka obok wlepia wzrok w kobietę, ochoczo kiwając głową. Przyglądam się jej oczom. W tym pozornie pustym spojrzeniu kryje się dziecięca naiwność, wymieszana ze strachem. Nagle jednym susem wyskakuje z łóżka i radośnie podrygując, wybiega na korytarz. Nie mogę się powstrzymać przed zadaniem pytania:

– Co jej jest?

– Honorata wiele przeszła, dlatego proszę jej nie oceniać. Z reguły mieszka sama, ale ostatnio oddział był przepełniony, więc trafiła pani tutaj. Dziś mamy kilka wypisów, więc lada moment przydzielą pani inne lokum.

To dobrze. Bardzo nieswojo czuję się w towarzystwie tej dziwnej, milczącej kobiety. Kim ona jest i czy kiedyś była... normalna? Moja

ciekawość jest coraz silniejsza, chcę koniecznie wiedzieć, co sprawia, że człowiek zachowuje się w taki sposób. Jaką tajemnicę kryją te wielkie, szeroko otwarte w dzień i noc oczy?

– Proszę mi powiedzieć...

– Nie mogę rozmawiać o pacjentach, mogą sobie tego nie życzyć. Chociaż Honoratka... Ona nie zaprotestuje przeciwko opowiadaniu o niej, nawet gdyby chciała.

– Co to znaczy?

– Ehh... Powiem pani, bo pewnie i tak w końcu usłyszysz pani tę historię od kogoś innego. Kilka lat temu została brutalnie zgwałcona. Odniosła sporo fizycznych obrażeń, a w wyniku silnego uderzenia w głowę doznała urazu mózgu. Ale największe rany, to te na psychice. Honorata przestała mówić, choć odpowiadający za to obszar nie został uszkodzony. Wszyscy tutaj bardzo wierzymy, że któregoś dnia będziemy świadkami pierwszego wypowiedzianego przez nią po latach słowa.

– To straszne...

– Pani Kaju, my naprawdę jesteśmy tutaj po to, by wam wszystkim pomóc. Mam nadzieję, że któregoś dnia przekona się pani o tym.

Nie komentuję jej słów. Nie mam siły kolejny raz bezowocnie przekonywać do swojej wersji prawdy. Fabicki w ogóle nie przejął się tym, kiedy powiedziałam mu, że to Filip usiłował mnie zabić. Ciągle tylko powtarzał dyrdymały o potrzebie szczerości, konieczności współpracy i roli bliskich w walce z depresją i wszelkimi zaburzeniami psychicznymi.

– Przepraszam, ale nie mam ochoty na integrowanie się. Wolałabym zostać tutaj sama, jeśli to nie problem – rzucam pielęgniarce przepaszający uśmiech.

– Dobrze, ale pod warunkiem, że zje pani dzisiaj obiad.

Kiwam głową. I tak nie zamierzam ruszyć paskudnego, szpitalnego żarcia. I ani ta pielęgniarka, ani nikt inny nie ma prawa mieć do mnie pretensji o to, że złamałam dane słowo. Wariatom się przecież nie wierzy.

5.

– Jestem wysoce zaniepokojony, pani Kaju. Muszę to szczerze przyznać. Nie dość wnikliwie przeanalizowałem pani przypadek i niewiele brakowało, bym popełnił błąd, traktując wiadomy incydent zbyt rutynowo.

Byłem przekonany, że pani depresja i spowodowana nią próba samobójcza, nieudana na całe szczęście, to jedyny problem, z jakim będziemy musieli się wspólnie zmierzyć. Pozwoliłem sobie wczoraj na prywatne spotkanie z pani mężem, który – swoją drogą – jest niesamowicie poruszony i zmartwiony pani stanem. Nakreślił mi dość szczegółowo pani zachowanie w ostatnich kilku miesiącach i – co tu kryć – myślę, że przed nami szersza diagnostyka, a potem konieczność podjęcia próby leczenia zaburzeń psychicznych innego typu niż tylko depresja. Czy pani rozumie, o czym mówię?

Fabicki bez przerwy bawi się długopisem. Nie mogę przez to skoncentrować się na tym, o czym mówi. Pstryk – wkład wyskoczył z dziurki, pstryk – schował się. I jeszcze raz. I jeszcze.

– Niezupełnie – odpowiadam, zastanawiając się, jakich bzdur musiał nakłaść mu do głowy Filip.

– Powiem otwarcie, bo otwartości właśnie, jak już wspominałem wielokrotnie, wymagać będzie nasza współpraca – nie mogę oprzeć się wrażeniu, że kurs prowadzenia dialogu z pacjentem doktor Fabicki kończył u jakiegoś lokalnego kaznodziei. – Pan Filip twierdzi, że w sytuacjach stresowych przywołuje pani postać niejakiego Wojciecha. Czy to prawda?

Imię Wojtka padające z ust mojego psychiatry brzmi surrealistycznie. Nie pasuje do tego miejsca. Żal i tęsknota za mężem ściska mi gardło. W odpowiedzi na pytanie Fabickiego kiwam tylko głową, bo nie jestem w stanie wydobyć z siebie głosu.

– Zechce mi pani o nim opowiedzieć?

– A pan zechce tego wysłuchać?

– Od tego tutaj jestem – lekarz dotyka mojej dłoni i odczytuję to jako pierwszy gest wsparcia z jego strony odkąd tu trafiłam.

– Wojtek to mój pierwszy mąż, starszy brat Filipa. Zginął w wypadku samochodowym niewiele ponad rok temu, kiedy ja byłam w ciąży z Frankiem. To był najwspanialszy człowiek na świecie: czuły, troskliwy, kochający. Był całym moim światem i nie ma dnia, żebym za nim nie tęskniła. To prawda, w najtrudniejszych chwilach myślę o tym, że gdyby żył, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

Fabicki patrzy na mnie uważnie. Widzę jak analizuje każde moje słowo, ale nie tylko. Zwraca uwagę na mowę ciała, ton głosu, najmniejszy nawet

grymas na mojej twarzy. Ruchem ręki zachęca mnie, bym mówiła dalej, a sam pochyła się nad biurkiem i coś notuje.

– Krótco po śmierci Wojtka Filip zaproponował, że zaopiekuje się mną i moim dzieckiem. Wzięliśmy ślub, urodził się Franek, a chwilę później zaczął się mój koszmar.

– Czy od razu po urodzeniu syna poczuła pani spadek nastroju?

– Czarną rozpacz, a nie spadek nastroju, doktorze, to poczułam w dniu śmierci Wojtka i czuję ją niezmiennie do dziś – po policzku spływa mi kilka łez, niezdarnie próbuję wytrzeć je w róg bawełnianej koszulki.

Fabicki podaje mi ozdobne pudełko chusteczek higienicznych. Sięgam po jedną, żeby wytrzeć nos.

– Jak w takim razie wytłumaczy pani słowa męża, który stanowczo wypiera się, jakoby kiedykolwiek miał brata?

– To jest właśnie coś, czego kompletnie nie rozumiem. Filip na pewno nie przyznał się panu, że wielokrotnie znęcał się nade mną. W różny sposób. Im bardziej się bałam, tym większą miał satysfakcję. Wydaje mi się, że postanowił utrzymywać, że Wojtek nigdy nie istniał, tylko po to, żeby mi dopiec.

– Pani Kaju, przepraszam, ale czy nie uważa pani, że brzmi to nieco... hmm – lekarz zawiesza głos, bo wyraźnie szuka w głowie odpowiednich słów – ...absurdalnie, a wręcz paranoicznie?

Nie wytrzymuję napięcia i zaczynam krzyczeć:

– W dupie mam, jak to brzmi! To, co mówię, jest prawdą, ale nikt, kurwa, nikt mi nie wierzy. Przecież sobie nie wymyśliłam Wojtka! Nie wymyśliłam sobie najszcześniejszych lat mojego życia! Nikomu z was nie uda mi się ich odebrać!

– Proszę się uspokoić, pani Kaju. Rozmawiamy. Roz – ma – wia – my.

Jego uspokajający ton powoduje, że wpadam w jeszcze większą furję. Nie jestem jakimś zasmarkanym przedszkolakiem, żeby mówił do mnie w ten sposób. Podrywam się z krzesła tak gwałtownie, że mebel z hukiem przewraca się na podłogę.

– Nie będę spokojna! Nikt mi nie wierzy! Wypuście mnie stąd, a udowodnię wam wszystkim, że nie kłamię.

– Zakończmy na dzisiaj tę rozmowę, bo widzę, że temat urojeń budzi w pani póki co zbyt wiele emocji. Dostanie pani leki uspokajające i kolejną dawkę antydepresantów, jutro porozmawia pani z terapeutą, a dziś proszę

odpoczywać. Trafi pani sama do sali, czy zadzwonić po siostrę oddziałową, żeby panią odprowadziła?

W odpowiedzi pokazuję mu środkowy palec i wychodzę, trzaskając drzwiami. Huk jeszcze przez kilka sekund niesie się echem po korytarzu.

6.

Nie zliczę, który już raz wpatruję się w wesołe, brązowe oczka Frania. Gładzę jego niesforne włoski, drapię za uszkiem i łaskoczę po karku. Łzy kapią na podniszczoną fotografię. Przytulam do siebie zdjęcie. Tylko tyle zostało mi po moim synku. Zastanawiam się, gdzie teraz jest, czy nie dzieje mu się krzywda, czy tęskni za mną. Jak w ogóle mogłam wpaść na pomysł ucieczki bez niego? Jak mogłam porzucić go w tak ważnym momencie i myśleć tylko o sobie? Pieprzona egoistka.

Tak bardzo się boję, że za karę już nigdy więcej go nie zobaczę. Tym bardziej, że Filip dopiął swego. Skutecznie odseparował mnie od synka. Póki co muszę tu zostać, bez kontaktu ze światem zewnętrznym. Wcześniej mój, a teraz los Franka jest wyłącznie w jego rękach.

Olga, sympatyczna pielęgniarka, która kilka dni wcześniej opowiedziała mi historię Honoraty, chyba mnie polubiła. Z wzajemnością, chociaż ja cenię sobie jej towarzystwo głównie dlatego, że dyskrecja nie należy do jej najmocniejszych stron. Wiem już, na jakie zaburzenia cierpi większość mieszkańców oddziału, który lekarz ma romans z kimś z personelu pomocniczego i kiedy ostatnio przebywał tu jakiś niebezpieczny pacjent. Teraz podobno jest czysto, nikogo nie trzeba się obawiać. Najważniejsze jednak są informacje, które zbieram o sobie samej. Lekarze są zgodni, co do postawionej diagnozy – cierpię na szereg zaburzeń osobowości, a depresja to jedynie czubek góry lodowej. Wszyscy są zapatrzeni w oddanego mi i cierpiącego z powodu mojej choroby męża, który – ku ubolewaniu fanklubu w kitlach – od dwóch dni przestał się pojawiać na oddziale. Podobno załamał się tym, że nie chce go widywać i nadal obstaję stanowczo przy wersji, że zostałam przez niego skrzywdzona. Sama Olga nie chce stawać po którejkolwiek stronie, bo jak twierdzi: *I tobie, Kaju, i jemu dobrze patrzy z oczu. Nie wiem jak między wami było, ale dogadacie się jak wyzdrowiejesz. Tak mi się wydaje.*

– Powiedział coś więcej? – dopytuję.

– Wiem tylko tyle, że bardzo mu na tobie zależy, ale nie może patrzeć na to, jak go odpychasz. Doktor Fabicki ma się z nim skontaktować dopiero wtedy, kiedy albo sama wyraźnie o to poprosisz, albo kiedy twój stan zacznie się poprawiać i jak on to ładnie ujął, wrócisz do dawnej siebie. Tak mi powiedział doktor Robert. A potrafisz dochować tajemnicy? To coś jeszcze bym ci powiedziała. Ale muszę wiedzieć, że to zostanie między nami. Żeby mnie nie wywalili za roboty. – Olga przerzuca się na konspiracyjny szept.

– Oczywiście, przecież mnie znasz – rzucam oklepanym hasłem i liczę, że da się na nie złapać.

Co ja gadam, przecież w ogóle się nie znamy, ale chyba nie ma to znaczenia, bo nim zdążę wziąć głębszy oddech, Olga kontynuuje:

– Chwilę wcześniej twój mąż i Fabicki rozmawiali przyciszonymi głosami w jego gabinecie. Doktor Robert podziękował mu za szczerość i obiecał, że zrobi wszystko, żeby Tomczyk, chciałam powiedzieć twój mąż, nie poniósł konsekwencji, bo to dużo wyjaśni i na pewno tobie pomoże. Chyba trochę płakał. Twój mąż oczywiście, nie doktor. Hmm... Ja nie wiem, o co chodziło, ale tak sobie teraz myślę, że może to doktor Robert zasugerował mu, żeby tu na razie nie przychodził, skoro to jakaś pokręcona sprawa. I tylko tak powiedzieli, że to twój mąż sam postanowił dać ci czas. Przyjrę się temu. Tylko pamiętaj! Buzia na kłódkę.

Dziecinnym gestem udaję, że przekręcam kluczyk na zamkniętych ustach i wyrzucam go za siebie. Olga wybucha szczerym śmiechem, a ja zastanawiam się, jak szybko to zamięłowanie do podsłuchiwanie i plotkowania przysporzy jej prawdziwych kłopotów. Na moją dyskrecję naprawdę może liczyć. Zachowam tę wiedzę dla siebie, próbując przejrzyć zamiary mojego męża. Choć w gruncie rzeczy wiem, że i tak jest sprytniejszy ode mnie i nie wykonuje żadnych nieprzemyślanych ruchów.

Od jakiegoś czasu zastanawiam się nawet, czy nie poprosić o możliwość zobaczenia się z Filipem. Szybko jednak porzucam ten pomysł. On nie pomoże mi się stąd wydostać. Przeciął mi żyły właśnie po to, żebym znalazła się w wariatkowie i szybko go nie opuściła. Tym bardziej nie powie mi, co dzieje się teraz z Franiem. Zrobi wszystko, by spotęgować moje obawy. Muszę poradzić sobie sama. Jedyne, co mam, to nadzieja, że Zofia nie pozwoli skrzywdzić swojego wnuczka. I tej myśli się trzymam, kiedy jest mi tak ciężko, jak teraz.

Czuję się całkowicie bezradna. Jeszcze niedawno nade wszystko pragnęłam wydostać się z domu Filipa, dziś jednak wiem, że przebywanie z nim pod jednym dachem wcale nie było najgorszym, co mogło mnie spotkać. Byliśmy tam razem z Franiem, mogłam patrzeć jak rośnie i dbać o niego, a przede wszystkim miałam nadzieję, że któregoś dnia uda mi się uciec i stworzyć dla nas nowy, lepszy dom. Napędzała mnie myśl o przyszłości. Tutaj nie mam nawet tego. Kiedy wydawało mi się, że sięgnęłam dna, to był dopiero początek drogi w dół.

Zażywam leki, po których ciągle chce mi się spać. Co drugi dzień rozmawia ze mną psycholog. Mój terapeuta ma na imię Janek, jest dość młody i całkiem miły. Próbujemy znaleźć przyczynę mojego załamania i braku chęci do życia. Widzę, że bardzo mu na tym zależy. Lubię go, więc udaję, że mi również. Odpowiadam na jego pytania w taki sposób, w jaki na pewno chciałby, żebym odpowiadała. Pomaganie innym sprawia mu przyjemność. Ja też lubię pomagać dobrym ludziom, więc robię wszystko, żeby Janek myślał, że terapia naprawdę daje efekty. Machina dobra ruszyła. Udało mi się go wczoraj przekonać, że dzięki naszym sesjom terapeutycznym przestałam mieć myśli samobójcze. Widziałam jak sobie w duchu pogratulował. Poczułam wtedy ciepło na sercu i pomyślałam, że istotnie, nie jestem złym człowiekiem.

Fabicki wpada do mnie tylko podczas obchodu, kontroluje dawki leku i pospiesznie wychodzi do kolejnych pacjentów, unikając mojego wzroku. Chwilami mam wrażenie, że się mnie w jakiś sposób obawia, ale dzięki temu mam już kilka dni spokoju od bezowocnych rozmów, po których czuję się coraz gorzej. Tym bardziej zaskakuje mnie jego niespodziewana wizyta późnym popołudniem.

– Chciałem z panią porozmawiać. Będę czekał u siebie.

– Dobrze, zaraz przyjdę.

Mam ochotę dodać, że i tak nie mam nic lepszego do roboty, ale nie chcę pogłębiać naszej wzajemnej niechęci.

Chwilę później wchodzę do dobrze znanego sobie gabinetu. Nie czekając na zaproszenie Fabickiego, zajmuję miejsce przy biurku.

– Słucham? O co chodzi?

– Pani Kaję, nie ukrywam, że ostatnie dni spędziłem na szukaniu odpowiedzi na pytanie, co dzieje się w pani głowie, a przede wszystkim jak pani pomóc. Pojawiły się nowe fakty, które sporo wyjaśniły.

– Jakie fakty?

– Zaraz o wszystkim opowiem. Chciałbym jeszcze dodać, że oczywiście skonsultowałem pani przypadek z innymi specjalistami. Dlatego nie jest możliwe, by diagnoza była błędna. Proszę, żeby wysłuchała mnie pani spokojnie i do końca. Mogę na to liczyć?

– Dobrze, spróbuję – obiecuję, choć sama nie jestem pewna swojej reakcji. Wszystko zależy od tego, co za chwilę usłyszę.

– Wspominała pani, że mąż nie traktował jej najlepiej. Odbyłem szczerą rozmowę z panem Filipem, podczas której przyznał się do stosowania wobec pani przemocy. Poruszyło mnie to, nie ukrywam, i bardzo pani współczuję. Nikt nie zasługuje na takie poniżenie.

Na mojej twarzy maluje się zaskoczenie. Nie wiem, czy mogę ufać swoim uszom. Czy Filip rzeczywiście powiedział lekarzowi prawdę? I co teraz będzie z Frankiem? Czy pod moją nieobecność trafi w ręce opieki społecznej? Może właśnie to od dawna planował Filip.

Zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, Fabicki kontynuuje wypowiedź:

– Absolutnie nie usprawiedliwiam postępowania pana Filipa, ale wynikało ono z bezsilności. Wszystko zmieniło się po narodzinach państwa syna. Pani zachowanie przerażało męża, emocjonalnie nie mógł udźwignąć tego ciężaru.

– Nic go nie tłumaczy, doktorze. To zwykły sadysta.

– Ma pani prawo tak myśleć. I to pani podejmie decyzję, jakie kroki podjąć po zakończeniu leczenia. Przejdźmy jednak do najważniejszego. Dzięki szczeremu wyznaniu pana Filipa udało mi się zrozumieć mechanizm działania pani umysłu. I uprzedzam, ta diagnoza na pewno będzie szokująca. Jestem przekonany, że będzie pani zaprzeczać, ale ja nie mogę ukrywać przed panią prawdy – Fabicki po raz drugi podczas mojego pobytu na oddziale chwyta mnie za rękę. – Proszę mi uwierzyć, zrobimy tu wszyscy, co w naszej mocy, by pomóc pani wrócić do pełni zdrowia psychicznego.

Czuję suchość w ustach. Pocą mi się ręce, a wzdłuż kręgosłupa przebiega dreszcz. Czekam w napięciu.

– Nagła zmiana w zachowaniu męża, nieznana pani wcześniej agresja i przemoc, spowodowały traumę – mówi lekarz. – Cierpiała pani na depresję poporodową, nie znalazła wsparcia w najbliższej osobie, żyła pani w ciągłym strachu. Stres, rozczarowanie, rozgoryczenie to emocje, jakie

towarzyszyły przez bardzo długi czas. Do tego konieczność ciągłej opieki nad niemowlęciem. Nic dziwnego, że pani psychika wypracowała swoisty mechanizm obronny. Umysł wykreował postać pierwszego męża i przeniósł na tę fikcyjną postać szereg cech, jakie przypisuje pani idealnemu mężczyźnie. Cech, których nagle zabrakło u pana Filipa. Stworzyła pani wspomnienia, których tak naprawdę nigdy nie było.

– Nie... To niemożliwe... Wojtek żył. Ja mam zdjęcia, pamiątki, nie kłamię.

– Pani Kaju, rozumiem, że to dla pani bardzo trudne. Musi pani jednak przyjąć tę prawdę, żebyśmy mogli ruszyć dalej.

– Ale ja wiem, że Wojtek istniał! Niech pan mi uwierzy, doktorze!

– Wiem, jak bardzo szokująca może być dla pani ta diagnoza. Proszę mi wierzyć, dołożyłem wszelkich starań, by uniknąć jakiegokolwiek pomyłki. Bardzo pomocna okazała się pani teściowa.

– Ona jest w zмовie z Filipem. Potwierdzi wszystko, co on powie!

– Pani Zofia Tomczyk udostępniła mi całą swoją dokumentację medyczną, z której jasno wynika, że urodziła tylko jedno dziecko, chłopca. Dwadzieścia osiem lat temu.

7.

Wydostanie się na zewnątrz okazuje się o wiele łatwiejsze niż mogłam przypuszczać. Przechodzę korytarzem do końca, aż do powleczonych mleczną szybą białych drzwi oddziału. Pociągam za klamkę i ta, ku mojemu zaskoczeniu, po prostu ustępuje, choć do tej pory wydawało mi się, że zamek odblokować należy specjalnym kodem. Rozglądam się dookoła, czy nikt mnie nie widzi. Jak okiem sięgnąć, żywego ducha. Wykorzystuję więc okazję i przekraczam próg. Od razu puszczam się biegiem i chwilę później jestem już poza budynkiem szpitala. Energicznym krokiem zmierzam w kierunku bramy, starając się nie przykuwać niczyjej uwagi. W głowie mi pulsuje. Jestem oszołomiona, świeże powietrze aż zatyka mi płuca. Nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek zaczerpnę go po drugiej stronie muru.

Doskonale wiem, gdzie skieruję swoje pierwsze kroki. Na szczęście rozpoznaję miejsce, w którym się znajduję i bez problemu trafię do celu.

Po krótkim marszu znajduję się na przystanku autobusowym. Ostatnie dramatyczne przeżycia oraz długi pobyt w szpitalu wyczerpały mój organizm, więc nie zaryzykuję przebycia około trzykilometrowego odcinka drogi piechotą. Nie mam co prawda pieniędzy na bilet, ale to nic, pojedę na gapę. Nie mam przy sobie również dokumentów, więc w razie kontroli podam jakieś fikcyjne dane.

Autobus nie każe na siebie długo czekać. Wsiadam do pojazdu i siadam pod oknem. Nie ma tłoku, więc przebiegam wzrokiem po twarzy każdego z pasażerów z nadzieją, że nie natknę się na nikogo, kto mógłby mnie rozpoznać. Mijam tak dobrze kiedyś mi znane ulice i budynki, teraz wydają się być zupełnie obce i nieprzyjazne. Widok za oknem nie przynosi ukojenia, nie daje poczucia swojskości. Wątpliwości w mojej głowie ciągle się mnożą.

Wysiadam w pobliżu głównego wejścia na cmentarz. Uświadamiam sobie, że minął mniej więcej rok, odkąd byłam tu po raz ostatni. Mniej więcej, bo nie wiem nawet, jaki dziś dzień tygodnia, czy to jeszcze czerwiec, czy już lipiec. Ale to nieważne. Upływ czasu dotyczy tylko żywych, a ja stoję w progu kawałka świata należącego do umarłych.

Rozpoznaję staruszkę, która podarowała mi znicz podczas ostatniej i jedynej wizyty na grobie Wojtka. Podchodzę do niej i pytam:

– Pamięta mnie pani?

– A powinnam? – głos kobiety brzmi niemal agresywnie.

– Jakiś czas temu chciałam kupić u pani znicz dla zmarłego męża. Nie wzięłam pieniędzy, a wtedy pani dała mi go za darmo.

– Niemożliwe. Biznes jest biznes, kochanieńka. Nie mam w zwyczaju rozdawać towaru, bo bym z torbami poszła. Co dla pana? – kobieta ignoruje mnie i zwraca się do stojącego za mną mężczyzny.

Odchodzę bez słowa. To starsza pani, ma prawo mieć problemy z pamięcią. Nie pamięta mnie, ale to nie oznacza, że nie było mnie tutaj rok temu.

Przechodzę przez cmentarną bramę. Dzień jest słoneczny, ale miejsce wiecznego spoczynku pokrywa warstwa mgły, niewidoczna w innej części miasta. Próbuję sobie przypomnieć, w którym sektorze znajduje się grób Wojtka. Czarna dziura. Nie potrafię zlokalizować żadnego punktu orientacyjnego. I do tego jeszcze ta mgła. Mam wrażenie, że z każdą chwilą staje się coraz gęstsza.

Próbuję odtworzyć trasę, jaką szłam ostatnim razem. Błądzą alejkami, mijam kolejne groby. Wszystkie pomniki są do siebie tak bardzo podobne, na żadnym z nich nie widnieje jednak nazwisko mojego męża. Mam wrażenie, że kręcę się ciągle w kółko, kolejny raz mijając te same tablice.

Nie zamierzam się poddawać. Gdzieś tu na pewno musi być grób Wojtka. Byłam na jego pogrzebie, widziałam jak trumna z jego ciałem zostaje umieszczona w głębokim dole, a potem zasypana mokrą ziemią.

Wracam do bramy i od nowa rozpoczynam swoją wędrówkę po cmentarzu. Postanawiam dokładnie przeczesać każdy sektor, każdą alejkę, przeczytać nazwisko na każdym pomniku. Aż w końcu znajdę grób mojego męża. Mogę spędzić tu całą wieczność, ale przekonam się na własne oczy, że nie zwariowałam.

Mijają kolejne godziny. Jestem coraz bardziej zmęczona. Minęłam już setki nagrobków, żaden jednak nie był tym właściwym. Na cmentarzu robi się coraz ciemniej, choć słońce jeszcze nie zaszło. Uświadamiam sobie, że nie spotkałam tu jeszcze dziś żadnego człowieka. Chyba się boję. Ja sama, dziwna ciemność i tysiące martwych ciał w jednym miejscu. Z bezsilności zaczynam płakać.

Nagle ktoś potrząsa mnie za ramię. Krzyczę przerażona.

– Ciii... Nie bój się – dociera do mnie uspakajający głos Olgi. – To tylko zły sen.

Budzę się zrana z potem. Ciałem wstrząsają dreszcze. Nie mogę dojść do siebie. Uczucie przerażenia nie było tylko sennym majakiem, a czymś tak realnym, że mogłabym go dotknąć i opisać jako lepkie, gęste i obrzydliwe. Otwieram oczy. Nie wiem nawet, czy po przebudzeniu z koszmarnego snu towarzyszy mi poczucie ulgi, bowiem budzę się w innym koszmarze.

Obok Olgi stoi wysoka, ładna kobieta, której nigdy wcześniej tu nie widziałam. Przyglądam się jej uważnie, bo ma w twarzy coś dziwnie znajomego, tak jakbyśmy kiedyś już się spotkały.

– Kaju, to jest nasza kochana pani doktor Monika Olczyk – pielęgniarka przedstawia lekarkę. Jej nazwisko zupełnie nic mi nie mówi.

– Dzień dobry. Wróciłam właśnie z urlopu, dlatego się jeszcze nie znamy. Olga opowiadała mi co nieco o pani. Jest pani chyba jedyną pacjentką na oddziale, której jeszcze nie miałam okazji osobiście poznać. Porozmawiamy chwilę, czy nie ma pani ochoty na pogaduszki?

Szczerze mówiąc dziwny sen tak bardzo mnie oszołomił, że najchętniej zostałabym teraz sam na sam ze swoimi rozgorączkowanymi myślami i wątpliwościami. Każdego innego wyprosiłabym bez zastanowienia za drzwi, ale w oczach tej młodej lekarki jest coś tak życzliwego i ujmującego, że niespodziewanie czuję, iż to, czego teraz naprawdę potrzebuję, to właśnie rozmowa z nią.

Uśmiecha się do mnie życzliwie, a ja potakująco kiwam głową.

– Zostaw nas same. I nie podsłuchuj – puszcza Oldze oczko, udaje, że przybiera srogi wyraz twarzy i grozi palcem wskazującym. Chyba się polubimy.

8.

– Nie ma. Tutaj też go nie ma – stwierdza po raz trzeci tego dnia Adrian. – Dziewczyny, nie widziałyście gdzieś mojego telewizora? Zabrała mi, zabrała złośliwa jędza. Była tutaj?

– Spieprzaj, człowieku! – krzyczy z kąta pomieszczenia cierpiąca na bulimię Aneta. – Próbuję czytać, a ty ciągle przeszkadzasz. Powtarzam ci, nie znam twojej żony i z tego, co wieść gminna niesie, nie będzie mi dane poznać.

– Idę szukać dalej. Musi gdzieś być. Nie pozwolę jej go zabrać. Jutro przecież Liga Mistrzów. Pa!

Rozmowy tego typu przestały już robić na mnie jakiegokolwiek wrażenie. Podobnie jak osobliwe towarzystwo. Wszyscy mamy źle w głowach, z tym że każdy z nas na swój własny sposób. Adrian, podobnie jak ja, to dość trudny przypadek, podobno też wyparł ze świadomości traumatyczne doświadczenie. Wygląda niepozornie, ale to ponoć niezły Casanova, tak przynajmniej twierdzi Olga. Według jej opowieści, Adrian regularnie zdradzał żonę, aż ta któregoś dnia nie wytrzymała i wyrzuciła go z domu. Podczas wyprowadzki małżonkowie pokłócili się o stary telewizor. Wywiązała się ostra awantura, szarpali się, wrywając sobie nawzajem sprzęt z rąk. Podczas szamotaniny żona Adriana przewróciła się, uderzając głową w kant stołu. Nie udało się jej uratować, ale mój kolega z oddziału zdaje się tego nie pamiętać. Jego umysł zafiksował się na konieczności odzyskania telewizora, stąd jego codziennie wizyty w poszukiwaniu odbiornika.

Dzień jak każdy. Podobno człowiek może przywyknąć do wszystkiego. Ja też powoli przyzwyczajam się do tego miejsca i do myśli, że cierpię na poważne zaburzenia. Tak bardzo pragnęłam alternatywy dla mojego nieszczęśliwego życia z Filipem, że stworzyłam sobie postać jego starszego brata, będącego emblematem wszystkich cech, jakich nie odnajdowałam w mężu. Myśl o Wojtku przynosiła mi ukojenie. W najtrudniejszych momentach przywoływałam wspomnienia chwil, których tak naprawdę nigdy nie przeżyłam. Fikcyjna przeszłość pomagała mi radzić sobie z trudną terażniejszością. Zaczynam się z tym godzić. Pewnie pomagają mi leki, które stale przyjmuję.

Jakaś część mnie ciągle chce się buntować, nie przyjmuje tej diagnozy do wiadomości. Jeszcze nie wiem, jak będę dalej żyć bez Wojtki w mojej głowie. Odebranie mi go to naprawdę trudne doświadczenie. Czeka mnie jeszcze wiele tygodni terapii. Co dalej? Nie wiem... Żyję nadzieją, że Filip mimo wszystko dobrze opiekuje się Franiem, skoro naprawdę jest jego ojcem. Pewnie pomaga mu też Zofia. Nie pozwalam sobie w to zwątpić. Kiedy tylko nadchodzi mnie czarne myśli, intensywnie je odpędzam.

Nie potrafię zliczyć spędzonych tutaj dni i nocy. Musiało minąć ich już kilkanaście, bo dziś rano odwiedził mnie chirurg, żeby zdjąć szwy z nadgarstków. Wygląda na to, że zostaną mi paskudne blizny, ale w ogóle mnie to nie obchodzi. Jedyne o czym marzę, to możliwość zobaczenia Franka. Któregoś dnia go odzyskam. A czy chciałabym wychowywać go sama, czy spróbować odbudować relacje z Filipem? – tego jeszcze nie wiem. Zdaniem Janka Frania mógł być owocem jednego z wymuszonych stosunków, dlatego tak trudno było mi nawiązać z nim poprawną więź, a bezgraniczna matczyzna miłość przeplatała się z obojętnością, a nawet złością.

Jednego jestem pewna. Kocham Franka najmocniej na świecie i wiele bym dała, by móc być teraz z nim. Fabicki i Janek uświadamiają mi, że jestem tu właśnie dla Frania. On potrzebuje zdrowej mamy, bo tylko taka będzie w stanie odpowiednio się nim zająć. Staram się w to wierzyć, choć nie jest mi łatwo. Na szczęście magiczne, białe pigułki, które biorę dwa razy dziennie pozwalają mi nie myśleć zbyt wiele. Myśli sprawiają ból. A ja nie chcę czuć bólu. Już nigdy więcej.

Teraz moje myśli krążą wokół spraw bardziej banalnych. Skupiam się na wyciągnięciu odpowiednich kart z talii, bo razem z Adą, moją rówieśniczką

cierpiącą na chorobę dwubiegunową, gramy w remika. Nigdy nie byłam fanką gier karcianych, a przynajmniej nie przypominam sobie tego. W mojej pamięci wiele jest dziur, pustych przestrzeni domagających się wypełnienia. W ich miejsce wlałam wspomnienia o Wojtku, które utkałam ze skrawków innych reminiscencji, marzeń, pragnień, fragmentów książek, które kiedyś czytałam i oglądanych w przeszłości filmów i seriali. Ale Ada wymiata w karty i chętnie uczy mnie zasad różnych gier.

Pochłonięta rozgrywką nie słyszę, kiedy z korytarza dobiega wołanie.

– Kaja, do jasnej cholery! – Aneta rzuca we mnie książką. Wolumin odbija się ode mnie i z głośnym plaśnięciem ląduje na podłodze. – Co za dzień, najpierw ten oszołom nie pozwala mi się skupić, a teraz to. Nie słyszysz, że oddziałowa cię woła?

– Serio?

– No, serio. Serio. Co ty? Głucha? – rzuca z przekąsem. – I podaj mi z łaski swojej tę książkę.

Wychodząc z sali, podaję Anecie jej własność. Rzucam okiem na okładkę. „Dom dzienny, dom nocny”. Nie podejrzewałam swojej współlokatorki o tak wyszukany gust literacki. Szpital psychiatryczny jest swego rodzaju filtrem, nałożonym na nasze osobowości. Skupiamy się tutaj na jej wycinku, na dodatek tym najbardziej ułomnym. A kim naprawdę jesteśmy? Jak wygląda nasze codzienne życie? Tego pewnie nigdy przed sobą nawzajem do końca nie ujawnimy. Spędzamy ze sobą mnóstwo czasu, ale postrzegamy naszych współlokatorów głównie przez pryzmat choroby. Bulimiczka, Schizofrenik, Dwubiegunówka, TV-boy, Żyleta – z powodzeniem zastępują nasze prawdziwe imiona.

Odnajduję wzrokiem pielęgniarkę oddziałową. Pod pachą niesie kilka grubych teczek z dokumentacją. Kiwa na mnie palcem, żebym podeszła bliżej. Podchodzę do niej.

– Niech pani idzie na świetlicę. Ktoś tam na panią czeka – szepcze mi do ucha.

– Ale kto?

– Nie wiem, tyle tylko mam pani przekazać. Niech pani idzie szybciotko – ponagla mnie ruchem ręki.

Niewiele brakuje, bym puściła się biegiem w przeciwnym kierunku. Nogi bezwiednie niosą mnie korytarzem w kierunku pustej o tej porze świetlicy. Staram się nie snuć po drodze żadnych przypuszczeń. Obawiam

się, że to Filip. Ale nawet jeśli, to tutaj, w szpitalu jestem bezpieczna. Nie skrzywdzi mnie w miejscu publicznym, tym bardziej, że lekarze wiedzą już o jego sadystycznych zapędach.

Drzwi do pomieszczenia są lekko uchylone. Staję przed nimi i wykonuję znak krzyża. Nie wiem dlaczego. To irracjonalne, tym bardziej, że nie jestem przesadnie wierząca. Jedną ręką popycham drzwi i wchodzę do środka. Znajoma postać wpatruje się w okno, ale odwraca się natychmiast, słysząc moje kroki.

Jestem w szoku. Nie takiego widoku się spodziewałam. Boję się, że to tylko mi się śni i ona za chwilę zniknie. Czuję motylki w brzuchu, a oczy mam mokre od łez. Podbiegam i z piskiem rzucam się prosto w jej ramiona.

– To naprawdę ty?

9.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu naprzeciwko siebie i trzymamy się za rękę. Kama wyciąga z kieszeni telefon, wystukuje krótką wiadomość i chowa go z powrotem. Chciałabym zapytać do kogo pisała, ale mamy teraz o wiele więcej spraw do wyjaśnienia.

– Skąd się tutaj wzięłaś? Kama, uszczypnij mnie, nie wierzę, że naprawdę cię widzę.

– Poczekaj chwilę. Zaraz wszystko ci wyjaśnię.

Nagle drzwi do świetlicy otwierają się. Zamieram z przerażenia. Boję się, że jakiś lekarz lub pielęgniarka wejdzie tu, by wyprosić Kamę. Już raz ją straciłam i nie chcę, by znów nas rozdzielono.

Do środka wchodzi Monika Olczyk. Cichutko zamyka za sobą drzwi. Wkłada do dziurki klucz, przekręca go i tym samym zamyka nas od środka. Nie mam pojęcia, co tu jest grane. Mam się cieszyć czy obawiać z powodu tego niespodziewanego spotkania?

Pani doktor przysuwa sobie krzesło do naszego stolika i kładzie na nim jakiś świstek papieru.

– To twoja trzydniowa przepustka, Kaju. Nie jestem lekarzem prowadzącym, więc nie mam możliwości sporządzenia wypisu ze szpitala, ale spróbuję załatwić to z Robertem. Chcę ci tylko powiedzieć, że nie zwariowałaś i nie możesz pozwolić sobie tego wmówić. Kama wszystko ci wyjaśni. A teraz szybko, wychodzimy stąd, zanim ktoś nam przeszkodzi.

Jestem oszołomiona. Nie rozumiem tej nowej, dziwnej sytuacji. Czy to znaczy, że jestem wolna? Czy Wojtek istniał naprawdę? Setki podobnego typu pytań kołaczą się w mojej głowie. Z niecierpliwością czekam na moment, kiedy będę mogła zadać je przyjaciółce. Póki co w milczeniu opuszczam oddział, nie zabierając stąd niczego. Kama cały czas obejmuje mnie, prowadząc na przyszpitalny parking.

Wsiadamy do samochodu, na drzwiach i masce którego widnieje wielkie logo wypożyczalni. Kiedy opuszczamy teren szpitala, żadna z nas się nie odzywa. Tyle mamy sobie do powiedzenia, że nie wiemy, od czego zacząć, więc dłuższy czas milczymy. Chciałabym jednocześnie zażądać wyjaśnień, wykrzyknąć jak bardzo się cieszę, że opuściłam mury szpitala, wyciągnąć ją na powitanie i zapytać, co tak naprawdę przed chwilą się wydarzyło. Boję się, że to tylko sen, z którego za chwilę się obudzę.

Uchylam więc tylko szybę, zamykam oczy, wdychając zapach rozgrzanego, krakowskiego powietrza i nie mówię nic. Przez chwilę zapominam o wszystkim, co się wydarzyło i jestem beztroską, rozmarzoną Kają. Czar tej chwili pryska, gdy wyprzedzamy małego, srebrnego forda. Na jego tylnym siedzeniu zauważam fotelik, a w nim pyzatego chłopczyka mniej więcej w wieku Frania. Ten widok otrzeźwia mnie i nagle uświadamiam sobie, że to nie czas, by cieszyć się letnią beztroską.

Zaczynam rozpaczliwie wykrzykiwać imię mojego dziecka. Kamila patrzy na mnie z przerażeniem. W jej oczach dostrzegam panikę, nie ma pojęcia jak mnie uspokoić. Próbuje skoncentrować się na prowadzeniu samochodu, kiedy moim ciałem wstrząsa spazmatyczny szloch.

– Gdzie jest moje dziecko? Zawieziesz mnie teraz do niego?

Przyjaciółka nie odpowiada. Kurczowo zaciska ręce na kierownicy i robi wszystko, by na mnie nie spojrzeć.

– Kurwa, Kama! Możesz mi wyjaśnić co tu się dzieje? Skąd się tu wzięłaś? – I wtedy nagle uderza mnie brutalna myśl: – Co ty masz wspólnego z tą całą cholerną sprawą? Odpowiedz.

– Pojedziemy do mieszkania moich rodziców i tam spokojnie porozmawiamy o wszystkim, co się wydarzyło przez ostatni rok, dobrze? – mówi Kama.

– Muszę odzyskać Franka! Nie mam czasu na spokojne rozmowy, kiedy trzeba ratować moje dziecko! – krzyczę, choć zdaję sobie sprawę, że najprawdopodobniej moja złość koncentruje się na niewłaściwej osobie.

Nie pierwszy raz wyładowuję na przyjaciółce trudny do opanowania gniew. Wtedy nagle dociera do mnie okrutna prawda. Nie mam pojęcia, gdzie dotąd mieszkałam. Wściekłość ustępuje miejsca panice. Nigdy już go nie zobaczę.

– Do kurwy nędzy! Ja nawet nie wiem gdzie go szukać. Kama, czy ty to rozumiesz? – potrząsam ją za ramię. – Ten świr zamknął mnie w luksusowej chacie pod miastem. Nie znam nawet adresu. Wiesz co to znaczy? Kurwa!

– Kajka, nie panikuj. Wiem przecież, że najważniejsze jest teraz to, żeby odebrać Frania Filipowi – właśnie tego uspokajającego i kojącego tonu Kamy brakowało mi w ostatnich miesiącach. – Zaufaj mi. Wiem, co powinniśmy zrobić. Przysięgam na wszystkie świętości, góra dwa dni i będziesz miała swojego synka przy sobie.

– Jakie dwa dni? Co ty wygadujesz? Chcę go zobaczyć już teraz!

– Posłuchaj mnie. Ja przejmuję tutaj dowodzenie – mówi stanowczo. – Żadnych pochopnych ruchów. Obiecuję, że odzyskamy Franka.

Nie wiem, co takiego Kama ma w sobie, ale zaczyna udzielać mi się jej spokój, mimo że chwilę temu byłam na granicy hysterii.

– I tak nie masz innego wyjścia, musisz mi zaufać, bo sama nic nie zdziałasz. Przecież nigdy cię nie zawiodłam.

To prawda. Na Kamę zawsze mogę liczyć. Nawet teraz, w najbardziej beznadziejnym momencie mojego życia zjawia się w świetlicy oddziału psychiatrycznego niczym Wonder Woman i twierdzi, że jak zawsze doskonale wie, co należy zrobić.

– Wiem, że Franio ma się dobrze. Jest cały i zdrowy, pewnie nawet zupełnie nieświadomy tego całego zamieszania – zapewnia, chociaż ja sama jestem pełna najgorszych obaw. – A Filipa dopadniemy, przysięgam.

– Chciałabym, żeby to było takie proste...

– Powiedz lepiej, jak się czujesz? – Kama stara się póki co zająć mnie w miarę lekką rozmową, skierować moje myśli chociaż na chwilę w nieco innym kierunku. Mimo tego to na pozór błahe pytanie przepełnione jest autentyczną troską o moje samopoczucie.

– Nawet nie wiem, jakiego słowa mam użyć, żeby to opisać. Skołowana i przerażona, to chyba będą najlepsze określenia. A fizycznie dobrze, rany na rękach całkiem dobrze się goją, głowa już nie boli. Nie rozumiem tylko, co stało się tak naprawdę, o tutaj – poklepuję się po czole.

- Serio poprzecinałaś sobie żyły?
- Teraz to już niczego nie jestem pewna. Wydaje mi się, że nie. Ale tak naprawdę ostatni czas pokazał, że nie bardzo mogę sobie ufać.
- Możesz, Kajuś, możesz. Zaraz się o tym przekonasz – Kama ściska moje ramię, drugą ręką sprawnie manewrując kierownicą na ciasnym parkingu pod jednym z bloków na Biezanowie. – Nie jesteś żadną wariatką, pamiętaj, co powiedziała Monika.
- Tak, właśnie to powiedziała dziś w świetlicy doktor Olczyk. Powiedziała też, że Kama zna odpowiedzi na wszystkie moje pytania. Oby to była prawda
- Znacie się? – pytam, chociaż wydaje mi się, że znam odpowiedź. Od pierwszej chwili wyczuwałam w niej coś dziwnie znajomego, a wręcz bliskiego.
- Tak, od urodzenia. Monia to moja kuzynka. Ta sama, która przepisywała ci leki po śmierci Wojtka.

10.

Jak dobrze znaleźć się w towarzystwie osoby, która nie tylko jest mi życzliwa, ale też zna moją przeszłość i wie, kim jestem. To dość kuriozalne, ale w tej chwili Kama wie o mnie więcej niż ja sama.

Pozwoliłam sobie wmówić, że Wojtek był jedynie wymysłem mojej fantazji. Pozwoliłam otumanić się lekami, które powodowały, że posłusznie przyjmowałam każdą diagnozę. Pozwoliłam, by Filip osłabił poczucie mojej wartości, wpędził w obłąd, dzięki czemu zatraciłam zdolność racjonalnego myślenia. Pozwoliłam sobą manipulować. Ale koniec tego. Dziś nadszedł dzień, o którym tak długo marzyłam. Nie dość, że jestem wolna, to jeszcze mogę być sobą. Tą prawdziwą.

Uczucie ulgi, jakie mnie ogarnia, jest wręcz nie do opisania. Miałam rację, do samego końca miałam rację, twierdząc, że byłam żoną Wojtka, a nasze wspólne życie przepełniało szczęście. Jego nagła śmierć zapoczątkowała ciąg dramatycznych wydarzeń, które doprowadziły mnie aż do tego miejsca.

– Wtedy zadzwoniła do mnie Monia – Kama streszcza przebieg ostatnich dni. – Wróciła z urlopu. Jakaś pielęgniarka opowiedziała jej twoją pokręconą historię. Nazwisko wydało się jej znajome, choć nie od razu

skojarzyła fakty. Dopiero po dłuższej chwili namysłu przypomniała sobie, że kiedyś wypisała dla ciebie receptę na antydepresanty. A po waszej pierwszej rozmowie była już całkiem pewna, że jesteś właśnie tą Kają, moją przyjaciółką, z którą nagle urwał się kontakt...

– To wszystko brzmi wręcz nierealnie. Nie mogę uwierzyć, że ten jeden raz dla odmiany spotkał mnie szczęśliwy zbieg okoliczności. Bo do tej pory... Szkoda gadać...

– Czy Filip naprawdę był dla ciebie taki okrutny? Zawsze myślałam, że znam się na ludziach – wzdycha głośno. – Teraz mi wstyd, ale serio, byłam nim zachwycona. Z takim oddaniem opiekował się tobą i Frankiem. A to wszystko było kłamstwem.

– Franio... Od początku był taki zapatrzony w Filipa. Zupełnie jakby nie dostrzegał tego, jak okrutnym jest człowiekiem – po policzku spływa mi łza. Tak bardzo chciałabym wziąć go teraz na ręce i przeprosić za wszystkie chwile, kiedy byłam dla niego złą matką.

– Ja naprawdę nie przypuszczałam, że Filip jest takim zakłamanym dupkiem. Przepraszam, że wcześniej nie domyśliłam się, co dzieje się u was w domu.

– On jest mistrzem manipulacji – na samą myśl o mężu przechodzą mnie ciarki. – Nie zaniepokoiło cię, że nie mam swojego telefonu? Nawet nie wiesz ile razy marzyłam, żeby móc skontaktować się z tobą bez jego pozwolenia. Powiedzieć, jak bardzo mi źle. Jak bardzo tęsknię za Wojtkiem. A później, kiedy przestałam już ufać swojej pamięci, gdy zaczęłam popadać w obłąd, tak bardzo chciałam usłyszeć od ciebie potwierdzenie, że wcale nie oszalałam, a ty także pamiętasz Wojtka.

– Pytałam Filipa o twoją komórkę, ale był taki przekonujący, kiedy twierdził, że zgubiłaś w szpitalu telefon, po czym stwierdziłaś, że dzięki temu nie tracisz czasu na bzdury i możesz skoncentrować się na małym, poświęcając mu całą swoją uwagę. Naprawdę myślałam, że celowo mnie odsunęłaś... Za to on starał się robić wszystko, żebym była przekonana, że zależy mu na utrzymywaniu kontaktu i często informował mnie, co się u was dzieje. Według jego relacji wasze życie to prawdziwa sielanka. Spójrz na wiadomość, jaką wysłał mi wczoraj wieczorem. Dlatego uważam, że Franio mimo wszystko ma się dobrze i nie masz powodów do obaw. Moim zdaniem Filip zawiął się do Berlina, by przeczekać tam całą tę aferę, ale Frankiem opiekuje się jego matka.

Kama otwiera przesłane zdjęcie. Franio bawi się zabawkowym pianinem. Pod spodem dwa zdania: *Franek szaleje z babcią, podczas gdy jego rodzice wypoczywają w zakopiańskim SPA. Pozdrowienia spod Giewontu!*

Moje myśli to wybuchowa mieszanka ulgi, wściekłości i żalu. Cieszę się, że najprawdopodobniej mój mały synek ma się całkiem nieźle. Mam jednak ochotę rozszarpać Filipa za to obrzydliwe manipulowanie moją przyjaciółką.

– Sukinsyn! – rzucam z pogardą.

– To jeszcze nie wszystko... Jakiś czas temu po naszej krótkiej, dziwnej i nagle urwanej rozmowie przez komunikator zadzwonił do mnie Filip i powiedział, że mam sobie dać z tobą spokój, bo bardzo się mną rozczarowałaś. Miałaś do tego pełne prawo. Dlatego nie należałam na rozmowę z tobą, tylko czasem wymieniałam z Filipem SMS-y, wszystkie podobne do ostatniej wiadomości. Zawsze zapewniał w nich, że wszystko u was w porządku, ale nadal nie chcesz o mnie nawet słyszeć.

– Rany, Kama... O czym ty w ogóle mówisz?

– Zadzwoniłaś do mnie na Skypie, kiedy akurat byłam w pracy. Wyglądałaś na bardzo zdenerwowaną i nie mogłaś wydusić z siebie słowa. Chciałaś zapytać o coś związanego z Wojtkiem, ale zanim wydusiłaś z siebie pytanie, połączenie zostało przerwane.

– Tak, pamiętam. To był czas, kiedy zaczęłam mieć wątpliwości, czy faktycznie nie wymyśliłam sobie poprzedniego życia. Filip pousuwał z domu wszystkie związane z nim pamiątki. Nawet ten medalion od ciebie. Codziennie powtarzał, że nie miał nigdy brata, robił awanturę za każdym razem, kiedy tylko padło imię Wojtka. Tamtego dnia zakradłam się do jego gabinetu, żeby upewnić się, że też go pamiętasz. Zapytać, czy Wojtek naprawdę istniał, ale kiedy tylko zaczęłam mówić, do pokoju wparował wściekły Filip i odciągnął mnie od laptopa.

– Widzisz... On do mnie później zadzwonił. Twierdził, że rozmawiał z tobą i dowiedziałaś się, że... Kaja, ja nie wiem nawet jak mam ci to powiedzieć... – głos Kamy zaczyna się łamać. Patrzy na mnie zaszklonymi oczami. – Teraz myślę, że to nieprawda i razem powinniśmy poszukać odpowiedzi.

– Boże, Kama, o czym ty mówisz?

Kamila jednak nie odpowiada. Uparcie milczy, wpatrując się w moją twarz.

– Wyduś to wreszcie z siebie – potrząsam nią. – Mam już dość tajemnic i niedopowiedzeń.

– Przypuszczałam, że Wojtek przed śmiercią miał romans – głośno wzdycha, a świat przed moimi oczami zaczyna lekko wirować. – Właściwie to jego matka zasugerowała mi to tuż po pogrzebie. Wspólnie postanowiłyśmy zataić te podejrzenia przed tobą. Filip powiedział, że poznałaś prawdę i mam nigdy więcej się z tobą nie kontaktować, bo nie chcesz mnie już znać. Kajuś, przepraszam. Jestem przekonana, że to tylko nieporozumienie.

– Ale... Ale jak? Dlaczego? – czuję, że za chwilę zemdleję.

Nadmiar informacji przytłacza mnie. Zaczyna brakować mi tchu. Mydlana bańka pęka. Czy to możliwe, że mój idealny mąż miał mroczne tajemnice? Próbuję odepchnąć od siebie tę myśl. Obecność Wojtka tego fatalnego dnia na Zakopiance od samego początku budziła moje poważne wątpliwości i dziwne podejrzenia, którym postanowiłam nie poświęcać zbyt wiele uwagi. Teraz jednak wszystko wraca.

– Nie płacz – przyjaciółka obejmuje mnie i gładzi po głowie. – To jeszcze nie wszystko, co chcę ci powiedzieć. Skoro Filip i jego matka zrobili wszystko, żeby doprowadzić cię na skraj załamania, to także musiało być częścią ich planu. Na pewno przypuszczali, że prędzej czy później opowiem ci o tym.

– Tylko tak mówisz, żeby mnie uspokoić.

– Nieprawda. Obiecuję ci, że dotrzemy do prawdy. Teraz, kiedy myślę o tym na spokojnie, taki obrót sprawy wydaje mi się zupełnie niemożliwy. Pamiętaj, że kiedy ostatni raz rozmawiałam z Filipem, nie miałam pojęcia, jaką jest kanalia.

– Spróbuję ci uwierzyć. Zresztą, nawet jeśli... Dziś nic już to nie zmienia. Wojtek nie żyje, a ja muszę wziąć się w garść, odzyskać syna i... I nie wiem co dalej.

Mój świat po raz kolejny obraca się w ruinę. Wszystko, w co wierzyłam okazuje się być fikcją. Wojtek naprawdę żył, dzisiaj mam tę pewność. Ale czy rzeczywiście był tym, za kogo go uważałam? Tego nie wiem.

11.

– *Nie ma takiego numeru* – uprzejmie informuje nas kobiecy głos z taśmy.

– Widzisz. I tak za każdym razem. Pierwszy raz spróbowałam połączyć się z tym numerem krótko po naszej ostatniej rozmowie. Bez skutku – mówi Kama. – Nie wiem dlaczego dopiero wczoraj natchnęło mnie, żeby wpisać go do wyszukiwarki Google. I spójrz, co znalazłam.

Kama uderza palcem w ekran smartfona. Wyświetla się archiwalne ogłoszenie na jednym z popularnych portali z ofertami sprzedaży nieruchomości.

– Rozpoznałam ten dom. Moja najlepsza koleżanka z podstawówki mieszkała na tej ulicy. Zaraz tam pojedziemy.

– Wiesz dobrze, jaki jest teraz popyt na krakowskim rynku. Na pewno dom został już sprzedany.

– I co z tego? Nowy właściciel musi wiedzieć, od kogo go kupił. Nie marudź, tylko się zbieraj. Trzeba działać.

– Wyjaśnij mi tylko, skąd pojawiła się myśl, że właścicielka tego numeru mogłaby być kochanką Wojtka? Kama... Błagam... Ja muszę to wiedzieć!

Wzdycha głośno, strzepując ze spodni nieistniejący kłaczek. Przeczuwała chyba, że ten moment kiedyś nadejdzie, a mimo tego widzę, jak ciężko jej się zebrać do wyjawienia tajemnicy, z którą żyła od ponad roku.

– Wszystko zaczęło się tam, na miejscu wypadku – mówi. – Policjant podał mi telefon Wojtka, a ja musiałam odruchowo wsunąć go do kieszeni, bo dopiero wieczorem zorientowałam się, że go mam przy sobie. Miałam zamiar po prostu odłożyć go na półkę i oddać ci rano, ale wtedy komórka zaczęła wibrować w mojej dłoni. Raz, drugi, trzeci. Ten sam numer. Weszłam w historię połączeń. Ta kobieta dzwoniła do Wojtka już wcześniej w dniu jego śmierci. Godzina jednego z połączeń mniej więcej pokrywa się z ustalonym czasem wypadku.

– Rany... – czuję jak grunt osuwa mi się spod nóg. Oczekiwałam, że rozmowa z przyjaciółką wyjaśni wiele moich wątpliwości, a póki co tajemnice tylko się mnożą. – Dlaczego po prostu nie odebrałaś?

– Nie wiem, sama wiele razy się nad tym zastanawiałam. Kiedy teraz o tym myślę, to wydaje mi się, że wtedy śmierć Wojtka wydawała mi się

jeszcze nierealna, jakaś taka nieprawdziwa. Nie wypada odbierać czyichś telefonów, nawet jeśli ta osoba nie żyje. Od tamtego momentu ten telefon zaczął mi naprawdę mocno ciążyć i myślałam o tym, żeby przekazać go jak najszybciej komuś innemu. Wyłączyłam go, ale pod wpływem impulsu wpisałam ten nieznany numer do pamięci swojej komórki.

– Dlaczego mi o tym wtedy nie powiedziałaś? Co się stało z telefonem? Czemu mi go po prostu nie oddałaś? – zasypuję Kamę gradem pytań.

– Sama nie wiem. Kaja, ja też byłam w szoku. Mną też śmierć Wojtka bardzo wstrząsnęła, a musiałam trzymać pion, żeby się tobą zaopiekować, bo byłaś w fatalnym stanie. Nie myślałam racjonalnie.

– Gdzie jest ten telefon? Trzeba sprawdzić SMS-y, połączenia. Tam może znajdować się odpowiedź, dlaczego mój mąż w ogóle znalazł się w trasie, czy miał romans i z kim, jak długo. Oddaj mi go natychmiast! – podnoszę głos.

– Nie mam go.

– To gdzie jest? – potrząsam obiema rękami ramiona Kamy. – Gdzie jest ten telefon?

– Dałam go twojej teściowej – bąka pod nosem.

– Czy ty oszalałaś? Tej wariatce? Przecież nigdy już go nie odzyskam – wzdycham zrezygnowana. – Co ci strzeliło do głowy?

Wtedy Kama relacjonuje wydarzenia rozgrywające się na stypie. Kiedy zasnąłam, zapytała matkę i brata Wojtka, czy kojarzą numer, z którego ktoś tak bardzo chciał skontaktować się z nim w dniu jego śmierci.

– Filip wpisał numer do wyszukiwarki, szturchnął Zofię łokciem. W oczach obojga widziałam panikę. Wymienili się spojrzeniami – relacjonuje. – Po kilku nerwowych chrząknięciach, twoja teściowa szeptem wyznała mniej więcej: *Miałam nadzieję, że Kaja nigdy się o tym nie dowie. To mogło zniszczyć ich małżeństwo, a teraz już i tak niczego nie zmieni. Wojtek miał od jakiegoś czasu kochankę. Oddaj mi ten telefon, trzeba koniecznie ukryć go przed Kają zanim zacznie dopytywać. Dla jej dobra, zachowaj to w tajemnicy, jeśli naprawdę jesteś jej przyjaciółką.* Wtedy dałam jej komórkę Wojtka, przekonana, że to naprawdę najlepsze, co mogłam dla ciebie zrobić. Dzisiaj już tak nie myślę. Coś kombinowali, jestem o tym przekonana. A my teraz musimy odkryć prawdę. Potem zajmiemy się odebraniem im Frania.

Nie wiem, co mam powiedzieć. Chciałabym wierzyć, że Wojtek nie miał przede mną tajemnic, ale w środku czuję ogromny niepokój. Boję się, co przyniesie dzień. Nie mogę jednak teraz się cofnąć. Czas spojrzeć prawdzie w oczy, jakkolwiek trudna by się nie okazała.

12.

Żwir trzeszczy pod kołami samochodu, który z asfaltowej drogi wjeżdża wprost na prywatny podjazd. Okolice jest spokojna, choć znajdujemy się zaledwie kilka kilometrów od ścisłego centrum Krakowa. Malutkie osiedle ma swojski klimat. Nie ma tu luksusowych willi stawianych przez nowobogackich, dominują geometryczne bryły budynków z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia Kama.

Przełykam głośno ślinę i niepewnie rozglądam się dookoła. W głowie kołaczą mi się dziesiątki myśli, nie mogę wyłowić z nich jednej najsilniejszej i jej ucześcić się kurczowo. Być może za chwilę stanę twarzą w twarz z kochanką Wojtka i w gruzach raz na zawsze legnie obraz mojego idealnego męża, który przez ostatnie miesiące pielęgnowałam z taką pieczołowitością. Może nikt nie otworzy drzwi albo po prostu mieszkający tu ludzie nie będą mieli ochoty z nami rozmawiać. Wtedy targające mną wątpliwości zyskają na sile, a ja oszaleję z powodu mnożących się pytań bez odpowiedzi.

Przyjaciółka bierze mnie pod ramię i prowadzi do bramki. Nogi mam jak z waty. Wydaje mi się, że właśnie oglądam film ze sobą w roli głównej, że to nie dzieje się naprawdę.

Kama zdecydowanym ruchem wciska palcem przycisk dzwonka. Rozlega się głośne, nieprzyjemne dla ucha brzęczenie. Przez chwilę nic się nie dzieje. I sama nie wiem, czy bardziej mnie to cieszy, czy rozczarowuje.

– Chodź, nikogo pewnie nie ma o tej porze w domu. Wrócimy innym razem – dobrze wiem, że nie znajdę już w sobie odwagi, by tu wrócić, a mimo to ciągnę Kamę za rękę w kierunku samochodu.

– Poczekajmy jeszcze chwilę – decyduje i ponownie, tym razem o wiele dłużej dzwoni do bramy.

W tym samym momencie otwierają się drzwi wejściowe i staje w nich barczysty mężczyzna około czterdziestki.

- Dzień dobry – krzyczy Kama, machając do niego energicznie.
- Mogę paniom w czymś pomóc?
- Chciałyśmy chwilę porozmawiać – moja przyjaciółka jak zwykle przejmuję inicjatywę.
- Jeśli o końcu świata, Bożym miłosierdziu albo zaletach robota sprzątającego, to panie wybaczą, mam pilniejsze sprawy na głowie.
- Nie. Po prostu szukamy kogoś.
- Kogo? – mężczyzna podchodzi do bramki. – Nie wiem, czy pomogę. Mieszkam tu dopiero kilka miesięcy i nie znam jeszcze nazwisk zbyt wielu sąsiadów.

Przynajmniej potwierdziło się przypuszczenie, że dom został sprzedany i nie zastaniemy tutaj osoby, która tak nachalnie próbowała skontaktować się z Wojtkiem w dniu wypadku.

- Szczerze mówiąc to nie wiemy, jak nazywa się osoba, której szukamy
- A jak wygląda?
- Tego też nie wiemy – oznajmia Kama z rozbrajającym uśmiechem. Mężczyzna przez moment wygląda, jakby chciał bez słowa odwrócić się na pięcie i wrócić do domu, bo nie ma czasu na głupie żarty, ale ewidentnie ulega czarowi rudowłosej nieznajomej. – Mamy za to numer telefonu tej osoby.

– Ha ha! Szanowna pani, łeb to ja mam nie od parady, ale książki telefonicznej na pamięć nie znam. Nie pomogę, ale życzę powodzenia.

– Może pan pomóc. Proszę chwilkę zaczekać – Kamila uśmiecha się zalotnie i sięga ręką do torebki w poszukiwaniu telefonu komórkowego. – O, niech pan spojrzy. Prawdopodobnie kupił pan dom od tej osoby. Tutaj jest ogłoszenie o sprzedaży wraz z numerem telefonu.

– Panie coś kręcą, ja to widzę. Głupi nie jestem. Właścicielem domu jestem ja i oznajmiam, że nie jest na sprzedaż.

– My naprawdę nie zamierzamy kupować żadnego domu. Po prostu musimy skontaktować się z tą osobą. Bardzo pana prosimy o pomoc. To nie ma nic wspólnego z tą nieruchomością. Można powiedzieć, że to sprawa życia i śmierci.

– Nie wiem, co panie kombinujecie. Mówią, żeby rudym nie ufać, ale ja pani coś powiem, bo mimo wszystko dobrze pani z oczu patrzy. Jak szukacie pani Anieli, to sprawa jednak śmierci, bo starowinka kopnęła w

kalendarz dwa tygodnie po tym, jak dom kupiłem. Świeć panie nad jej duszą, czy jak się to mówi.

Czego starsza pani chciała od mojego męża? To w sumie nieistotne. Wygląda na to, że Wojtek wcale nie miał romansu. To mi wystarczy. Nie potrzebuję wiedzieć już nic więcej. Teraz chcę tylko odzyskać mojego synka.

– Bardzo panu dziękujemy. Nie będziemy dłużej przeszkadzać – mówię do niego i są to pierwsze słowa, jakie wypowiedziałam do tego mężczyzny. Kamień spadający z serca wreszcie uwolnił głos w mojej piersi.

– Proszę nie słuchać koleżanki. Jest w szoku, że pani Aniela nie żyje. A my mamy dla niej bardzo ważną przesyłkę – Kama wyrzuca z siebie potok słów, a ja zastanawiam się, co ona kombinuje.- Może ma pan kontakt do kogoś z jej rodziny? Bo to jakaś cenna rodowa pamiątka, szkoda, żeby trafiła w niepowołane ręce, sam pan przyzna?

– Ale na pewno chodzi tylko o jakąś przesyłkę? Nie o dom? – osiłek przygląda się nam badawczo.

– Przecież widzi pan, że z nas uczciwe dziewczyny. Zrobi pan przy okazji dobry uczynek.

– No, niech wam będzie. Chwila.

Mężczyzna sięga do kieszeni i wyjmuje z niej telefon.

– Mam telefon do córki pani Anieli. Przyszła tu po śmierci matki zostawić jakiś kontakt, na wypadek gdyby poczta jakaś przyszła albo co innego. Pani sobie ten numer zapisze. Elżbieta Borek. Miła osoba, to się raczej nie pogniewa, że paniom ten numer dałem. W końcu w słusznej sprawie, co nie?

13.

Siedzimy z Kamą w kawiarnianym ogródku przy Rynku, zaledwie kilkanaście metrów od tego lokalu, gdzie wszystko się zaczęło. Telefon od nieznanego zapoczątkował ciąg dramatycznych wydarzeń. Staram się odgonić te myśli, ale to nie takie łatwe. Znów jest upalny, letni dzień, a za chwilę ma wydarzyć się coś, co może po raz kolejny odmienić moje życie.

Elżbieta Borek od razu odebrała telefon od Kamy, a kiedy usłyszała, że ta dzwoni w moim imieniu, bez chwili wahania zaproponowała spotkanie jeszcze tego popołudnia. Nie chciała powiedzieć nic więcej, poza tym, że

od jakiegoś czasu czekała aż Wojtek się z nią skontaktuje. Na wiadomość o jego śmierci zaniemówiła i obiecała pojawić się w umówionym miejscu jak najszybciej.

– Jestem pełna najgorszych obaw – wyznaję Kamie, skubiąc papierową serwetkę. – O co może tutaj chodzić? Co Wojtek ma wspólnego z tymi kobietami? Nigdy o nich nie słyszałam.

– Za chwilę się przekonamy. Postaraj się nie nakręcać. Córka tej pani Anieli była miła, to chyba dobrze wróży.

Upijam łyk mrożonej kawy, a z żołądka wydobywa się głośne pomrukiwanie. Uświadamiam sobie, że od rana nic nie jadłam.

– Może powinnaś zamówić coś do jedzenia. Burczy ci w brzuchu – zauważa Kama.

– Mam tak ściśnięty żołądek, że niczego teraz nie przełknę. Jak to wszystko dobrze się skończy, pozwolę ci zaprosić mnie na ogromną capricciose.

– Masz jak w banku – jej uśmiech podtrzymuje mnie na duchu.

– Cieszę się, że tu ze mną jesteś. Sama nie poradziłabym sobie z tym wszystkim.

– Od tego ma się przyjaciół.

W tym samym momencie dzwoni jej komórka. Kama powtarza nazwę kawiarni, wstaje z krzesła i podnosi rękę w kierunku stojącej nieopodal drobnej blondynki w szarym kostiumie. Kobieta odwzajemnia gest, chowa telefon do torebki i energicznym krokiem zmierza w naszą stronę. Kiedy podchodzi do stolika zauważam, że nie jest umalowana, a jej twarz jest zupełnie nijaka.

– Elżbieta Borek. Dzień dobry. Przepraszam, że musiałyście na mnie czekać.

Podaję jej rękę.

– Kaja Tomczyk. A to moja przyjaciółka Kamila Raczek. Napije się pani czegoś?

– Ela. Po prostu Ela – kobieta uśmiecha się nieśmiało. – Dziękuję. Nic nie trzeba.

Zapada krępująca cisza. Liczyłam na to, że Kama jak zawsze poprowadzi rozmowę, ale nawet ona nie ma pojęcia jak zacząć. Próbuję więc ułożyć w myślach jakieś zgrabne zdanie na początek, lecz wszystkie wydają się być zbyt sztuczne.

– Bardzo mi przykro, że Wojtek nie żyje. Nie zdążyłam go poznać. Mamie bardzo zależało na tym, byśmy wszyscy spotkali się przed jej śmiercią.

– Przepraszam. Ja nic z tego nie rozumiem. Czy pani..., przepraszam, twoja mama, zna Wojtkę? Czy coś ich łączyło? Dlaczego dzwoniła do niego tyle razy na chwilę przed jego śmiercią?

– Kaju, to nie jest łatwy temat do rozmowy. I na pewno nie na pięć minut przy kawie. W domu czekają na mnie dzieci. Wpadłam tam po pracy tylko po to, by zabrać dla ciebie kopię listu, wysłanego przez mamę do Wojtka latem ubiegłego roku po tym, jak nie udało się jej skontaktować z nim telefonicznie. Przypuszczam, że nigdy go nie otrzymał, skoro zginął właśnie w dniu, gdy mama zebrała się na odwagę, by wyznać mu skrywaną od lat tajemnicę – na wspomnienie matki Ela uśmiecha się nieśmiało. – Ona zawsze była bardzo zapobiegliwa i przewidująca. Kiedy umierała, wręczyła mi i siostrze tę kopertę z prośbą, byśmy spróbowały odnaleźć Wojtkę. Liczyłam na to, że oddzwoni kiedyś na numer mamy, bo zwyczajnie ja i Ala byłyśmy zbyt zajęte, by szukać nie wiadomo gdzie obcego nam człowieka. Ala jest ode mnie dwa lata starsza, ale nawet ona pamięta Wojtkę z czasów wczesnego dzieciństwa jak przez mgłę. Nie wiedziałybyśmy nawet, od czego zacząć. Dlatego ulżyło mi, gdy Kamila zadzwoniła. Uda się spełnić ostatnią wolę mamy.

Elżbieta kładzie na stole wymiętą kopertę.

– Myślę, że ani moja mama, ani twój mąż nie mieliby za złe, że przeczytasz ten list. Sporo ci wyjaśni. Gdyby coś, masz mój numer. Przepraszam, ale naprawdę muszę już wracać do domu.

Bez słowa odprowadzam wzrokiem jej sylwetkę, aż całkiem zniknie po drugiej stronie Sukiennic. Drżącą dłonią sięgam po leżący na stole list.

– Rozumiesz coś z tego? – pytam, a Kama w odpowiedzi kręci głową.

– Chyba powinnaś to przeczytać.

– Chyba tak... Ale strasznie się boję.

Wyciągam z koperty plik podniszczonych kartek. Rozwijam pierwszą z nich i niemal od razu rozpoznaję ten specyficzny charakter pisma.

Droga Anielo!

Wszystko ma w życiu swój czas. Jest czas narodzin i czas umierania, choć oboje niestety dobrze wiemy, iż nawet te mogą iść ręka w rękę. Choroba wycieńcza mój organizm i z każdym dniem mam mniej sił. Coraz częściej zdaję sobie sprawę, że mój czas powoli nadchodzi. A czas umierania to także czas rozliczeń.

Dziękuję Ci za wsparcie, jakiego udzielałaś mi niezmiennie od tak wielu lat. Dziękuję, że zaakceptowałaś moją decyzję, choć była dla Ciebie źródłem wielu łez i cierpienia. Dla mnie też była niezwykle trudna. Od lat zastanawiam się też, czy była tą właściwą. Coraz częściej dopadają mnie wątpliwości, ale czasu nie można już cofnąć.

Jesteś powierniczką mojej tajemnicy. Wiem jednak, że chciałbym, by któregoś dnia Wojtek poznał prawdę. Zasługuje na to. Nie chcę jednak obciążać Cię odpowiedzialnością, nie chcę, by wyładował na Tobie żal, jeśli takowy się pojawi, by Ciebie obarczył swoją złością i zasypał pytaniami, na które nie będzie właściwej odpowiedzi.

Dlatego też postanowiłem napisać do niego list, w którym wyznaję całą prawdę. Proszę, byś przekazała mu go, gdy uznasz to za właściwe, gdy zechcesz go poznać, lub wręcz przeciwnie – gdy będziesz zegnała się już z tym światem i nie będzie już czasu na dłuższe wyjaśnienia. Sama zdecydujesz. Nie rób tego jednak przed moją śmiercią.

Na drugiej kartce znajdziesz jego numer telefonu i adres.

Dziękuję Ci za wszystko. Niech Bóg nadal ma Cię w swojej opiece.

Roman

Z wrażenia zapiera mi dech i nie mogę wydusić z siebie słowa. Przekładałam pierwszą kartkę i rozkładałam drugi, znacznie obszerniejszy list.

Kraków, 15.02.2015

Synku!

Czuję się z coraz słabszy i choć zapewniam cię, że czuję się nie najgorzej i raczysko nie ma ze mną szans, wiem doskonale, że wkrótce mnie zabraknie. Czytasz ten list, a ja już prawdopodobnie nie żyję. Może od kilku tygodni, miesięcy albo lat.

Pewnie dziwisz się, dlaczego otrzymałeś go od zupełnie obcej osoby, a nie ode mnie. A może Aniela wytłumaczyła Ci, dlaczego się z Tobą skontaktowała. Jakkolwiek by nie było, proszę Cię o jedno. Spróbuj mnie zrozumieć. Wszystko, co w życiu robiłem, każda decyzja, jaką podejmowałem – zawsze kierowałem się wyłącznie Twoim dobrem. Nawet jeśli popełniłem błąd, miłość do Ciebie była motorem napędowym wszystkich działań.

Bardzo kochałem Twoją mamę. Takie uczucie pojawia się w życiu tylko jeden raz i śmiem twierdzić, że nie każdemu będzie dane jej doświadczyć. Najszczęśliwszy dzień mojego życia? Ten, w którym dowiedziałem się, że pojawisz się na świecie. To było prawie trzydzieści lat temu, a ja pamiętam go tak dokładnie, jakby to było wczoraj. Zosia była taka piękna... Tak bardzo cieszyła się, że może mi Ciebie dać.

Pewnie zastanawiasz się, dlaczego nie napisałem, że najszczęśliwszy dzień w moim życiu to ten, w którym przyszedłeś na świat. Przecież tak twierdzą wszyscy rodzice. Nie byłbym z Tobą uczciwy, gdybym tak powiedział. Dzień, w którym urodziłeś się, był chyba najtrudniejszym ze wszystkich, jakie dane było mi przeżyć. Ogarnęły mnie wówczas dwa najbardziej ambiwalentne uczucia – radość i rozpacz. Owszem, cieszyłem się z Twoich narodzin, ale musiałem zmierzyć się jednocześnie ze śmiercią mojej najukochańszej Zosi. Nawet teraz nie mogę przestać płakać, kiedy o tym myślę. Tak, Twoja mama umarła tuż po porodzie.

Pierwsze dni Twojego życia są jak niewyraźny czarno-biały film. Byłeś taki malutki i bezbronny, tak bardzo podobny do niej, do mojej Zosi. Nie przestawałeś jednak płakać, a ja czułem się całkiem bezradny. Nie miałem pojęcia jak się Tobą zaopiekować. Tak bardzo cierpiałem po śmierci Zosieńki, że każda, prozaiczna nawet czynność wydawała się czymś niemożliwym do wykonania. W tym czasie bardzo pomagała nam Aniela, siostra Twojej mamy. Miała dwie kilkuletnie córeczki, więc doskonale wiedziała, jak zaopiekować się niemowlakiem. Nie była jednak w stanie zastąpić Ci mamy. Dziś wiem, że nikt nie będzie...

Miałeś około pół roku, kiedy poznałem (o ironio!) inną Zofię. Przyjechała do Krakowa z Zamojszczyzny, bo jej rodzice mieli

nadzieję, że pozna jakiegoś dobrze sytuowanego mężczyznę i założy z nim rodzinę. Zainteresowała się mną i nie przeszkadzało jej to, że mam dziecko. Ja byłem tak bardzo samotny, że przystanęłem na jej propozycję, żeby ze stacji wprowadziła się do mnie. Wtedy wydawało mi się to idealnym rozwiązaniem. To że miała na imię tak samo jak Twoja mama, odczytałem jako znak od niej.

Ciocia Aniela patrzyła na mój nowy związek sceptycznie. Nie polubiła Zofii, twierdziła, że jest wyrachowaną i podstępą osobą. Ja tego nie widziałem, a może raczej nie chciałem widzieć. Wreszcie nie byłem sam, a mój ukochany syn miał szansę na wychowywanie się w pełnej rodzinie.

Obiecałem Zofii, że się z nią ożenię, ale postawiłem jeden warunek. Miała traktować Cię jak swoje dziecko i nigdy, przenigdy nie wyznać Ci prawdy o Twojej prawdziwej mamie. Byłem absolutnie pewny, że to właśnie będzie dla Ciebie najlepsze. Nie chciałem, żebyś dorastał w przekonaniu, że Twoja mama przypłaciła urodzenie Ciebie życiem. Bałem się, że to mogłoby być dla Ciebie prawdziwą traumą, a ja chciałem zapewnić Ci szczęśliwą, beztrudną przyszłość. Mam nadzieję, że kiedyś sam zostaniesz ojcem i zrozumiesz mój punkt widzenia.

Aniela usunęła się w cień, obiecując, że akceptuje moją decyzję. Utrzymywaliśmy kontakt listowny. Wysyłałem jej regularnie Twoje zdjęcia i bardzo doceniałem, że nie nalega na spotkania z Tobą.

A Ty rosłeś i z każdym kolejnym rokiem byłeś coraz bardziej podobny do Zosi. Nie tylko fizycznie, miałeś także jej charakter. Jesteś tak samo ciepły, czuły, mądry i odpowiedzialny jak ona. Zupełnie inaczej niż Filip, Twój przyrodni brat. Nie potrafiłem i nigdy nie chciałem dać mu tyle miłości, co Tobie. On nie jest dzieckiem mojej ukochanej kobiety. Irytuje mnie tak samo jak Zofia. Czasem mi wstyd z tego powodu...

Dziś bardzo żałuję, że zbudowałem całe Twoje życie na fikcji. Żałuję, że nigdy nie zabrałem Cię na grób Twojej mamy, nie opowiedziałem Ci jaką wspaniałą osobą była, nie pokazałem żadnych zdjęć. Żałuję, że musiałeś mówić „mamo” do kobiety, która nie dość, że nią nie była, to jeszcze tak naprawdę nawet

niespecjalnie Cię lubiła. Przypuszczam, że kiedy umrę, nie będzie jej zależało na podtrzymaniu relacji z Tobą.

Mam nadzieję, że nie okazała się tak podła i nie wyznała Ci prawdy o Twoim pochodzeniu, nim dowiedziałeś się tego ode mnie lub Anieli.

Kocham Cię synu! Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Wkrótce pewnie wyruszę na spotkanie z Twoją mamą, na co czekam od dnia, w którym odeszła.

Bądź szczęśliwy!

Tata

15.

W zaparkowanym przy ulicy samochodzie dostaję gęziej skórki, ale nie wiem, czy to z powodu włączonej klimatyzacji, czy z powodu wstrząsających słów zza grobu. Czytam list ojca do Wojtka już któryś raz i nadal nie mogę uwierzyć, jak dziwne koło zatoczyła historia, jak wiele łączy mojego męża i jego synka. Stworzona im naprędce, w chaosie i rozpaczony rodzina to tak naprawdę fikcja, wymyślone życie od samego początku oparte na kłamstwie. Teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej wiem, że muszę wyrwać Frania z tego zakłętą kręgu. Nie mam tylko pomysłu jak to zrobić.

– To jest jakaś abstrakcja – odzywa się nagle Kama. – Nie ogarniam tego, naprawdę. Myślisz, że Wojtek zdążył porozmawiać z tą swoją ciotką?

– Przypuszczam, że nie. W innym wypadku powiedziałyby o tym córce, a ona nam.

– Pewnie tak.

– Nie mogę przestać myśleć o Franku. Muszę go wyrwać z rąk tych ludzi. Przecież oni nie są jego rodziną. To dla niego zupełnie obcy ludzie. A co jeśli? ... – zamieram, bo dociera do mnie sens wypowiedzianych przed chwilą słów.

Przez cały pobyt w szpitalu łudziłam się, że Zofia nie pozwoli skrzywdzić Frania, bo jest jego babcią. A wcale nie jest... Ani Filip, ani jego matka w żaden sposób nie są spokrewnieni z moim synem. I doskonale o tym wiedzą od samego początku!

– Na pewno nie skrzywdziliby Franka – mówi Kama, choć w jej głosie brak tej charakterystycznej dla niej pewności. – Ale masz rację, nie ma czasu do stracenia. Musimy jak najszybciej po niego pojechać.

– Noo... świetny pomysł! Czemu wcześniej na to nie wpadłam? – drwię.
– Kama, problem polega na tym, że nie wiemy dokąd!

Z ust Kamy wydobywa się ni to pisk, ni to westchnienie:

– Wiemy...

– Słucham?!

– Mówię, że wiem, dokąd powinniśmy pojechać – przyjaciółka nie patrzy mi w oczy. – Monika dała mi adres z twojej szpitalnej dokumentacji.

– Ty chyba żartujesz! I mówisz mi o tym dopiero teraz? – jestem naprawdę wściekła. W co ona gra? Pierwszy raz w życiu mam poczucie, że nie powinnam ufać swojej najbliższej przyjaciółce.

– Kiedy jechałyśmy ze szpitala obiecałam ci, że odzyskamy Franka. Że nie miną nawet dwa dni i będziecie razem. Przysięgam, że to prawda.

– Myślałam, że tak tylko mówisz, żeby podtrzymać mnie na duchu. Gdybym wiedziała, że masz ten adres, wydarłabym Ci go z gardła! – wrzeszczę i zacynam okładać ją na osłep pięściami.

– Kaja, uspokój się! Na litość boską! Nigdy w życiu cię nie okłamałam.

Zacynam płakać i wtulam się w nią. Tak bardzo się boję. Nie chcę nawet myśleć, że mój mały chłopiec może być w niebezpieczeństwie. I tak jestem teraz zdana na Kamę, bez niej nie trafię do domu, a właściwie miejsca, które i tak nigdy nim nie było.

– Posłuchaj mnie – Kama podtrzymuje mnie za ramiona i patrzy mi prosto w oczy. – Nie miałam pojęcia, że Wojtek wcale nie jest synem Zofii i bratem Filipa. Tak samo jak ty. Przecież gdybym miała chociaż cień podejrzenia, że Franiowi może cokolwiek grozić, pojechałybyśmy tam od razu. Chciałam, żebyś najpierw trochę odsapnęła po tej całej historii z psychiatrykiem, chciałam z tobą porozmawiać o Wojtku. Wyjaśnić wszystko. Miałam dość tych tajemnic i niedopowiedzeń, rozumiesz? Nie siedziałabym beczynn timer, wiedząc, że małemu coś grozi. Przecież nie jestem takim człowiekiem. Kaja... Znasz mnie.

– Ja już nie wiem, kogo znam naprawdę, a kogo nie.

– Wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi. A teraz potrzebuję, żebyś się skupiła, bo mimo wszystko nie mam pewności, czy Filip podał w szpitalu wasz prawdziwy adres.

Kama ma rację. Ten drań mógł przecież kłamać. Chce mi się wyć. Uświadamiam sobie, że naprawdę mogę już nigdy nie zobaczyć Frania. Ten adres to ostatnia deska ratunku.

Na ekranie smartfona Kamy pojawia się mapka aplikacji Google.

– Wejdę teraz w opcję StreetView i spróbujemy zobaczyć ten dom z zewnątrz. Będziesz w stanie rozpoznać, czy to ten, w którym mieszkaliście z Filipem?

– Myślę, że tak. Byłam kilka razy na zewnątrz. I w salonie mamy ogromne okno, dość charakterystyczne.

– Dobra. W takim razie patrz – Kama podsuwa mi telefon przed nos.

Nie mam wątpliwości. To właśnie ten budynek. Wygląda jak ucieleśnienie marzeń typowej, polskiej rodziny. Zgrabny, otynkowany na biało piętrowy domek pokryty czerwoną dachówką. Na jego widok mam gęsią skórkę. Tyle złych rzeczy mnie tam spotkało.

– Tak, to ten! – wykrzykuję z radością. – Kocham cię!

– Jasne, jasne. Przed chwilą chciałaś mnie zabić – przesadnie naburmuszona mina uświadamia mi, że przyjaciółka już się na mnie nie gniewa.

– Gdzie to?

– Wola Zachariaszowska.

– Pierwsze słyszę. Nigdy tam nie byłam. To znaczy świadomie. Bo okazuje się, że mieszkałam w Woli jakiejś tam prawie rok.

Jestem o krok do przodu na drodze do odzyskania syna. Nie pozwalam jednak sobie choćby na przebłysk żłudnego optymizmu. Owszem, mamy adres domu Filipa, ale nie oznacza to jeszcze, że Franek nadal tam jest. A poza tym nie wyobrażam sobie po prostu zapukać do drzwi i grzecznie poprosić, żeby mąż oddał mi syna. Nie mam pojęcia, co dalej. Zerkam ufnie na Kamę, licząc, że ma w zanadru jakiś pomysł.

– Co robimy? – pytam.

– Nie wiem.

Dwa słowa, które pozbawiają mnie resztek nadziei na pomyslnie rozwiązanie sprawy jeszcze tego dnia. Na co ja liczyłam? I tak w ostatnich godzinach wszystko szło nadzwyczaj gładko. Kama ot tak się pojawiła i zabrała mnie ze szpitala, odzyskałam wiarę w sprawność swojego umysłu i nabrałam przekonania, że tak jak przypuszczałam, wcale nie targnęłam się

na swoje życie, a jedynie padłam ofiarą sprawnej mistyfikacji w wykonaniu Filipa i jego matki.

Ukrywam twarz w dłoniach. Nagromadzone emocje przebijają się gwałtowną falą, a ja zalewam się łzami. Tak bardzo tęsknię za Franiem, tak bardzo się o niego martwię. Nie mogę wybaczyć sobie, że nie potrafiłam być dla niego dobrą matką. To moja słabość doprowadziła nas do tego punktu.

– Ej, ej. Nie płacz, Kajuś – na moim ramieniu ląduje ciepła dłoń Kamy. – Coś wymyślę. Nie pozwolę, żeby ta historia nie zakończyła się happy endem. Dobrze wiem, jaka będzie ostatnia scena. Muszę jeszcze tylko połączyć ją z tym lekko beznadziejnym momentem, w którym aktualnie się znajdujemy.

I wtedy Kama sięga do samochodowego schowka i podaje mi czarno-biały wydruk. W rogu rozpoznaję logo tanich linii lotniczych. Rezerwacja lotu do Londynu, na pojutrze, dla trzech osób: Kamy, mnie i Franka.

16.

Ze zdenerwowania przygryzam skórkę przy paznokciu, aż z zadziora zaczyna lać się krew. Zasysam płyn i czuję w ustach metaliczny posmak.

Kama rozmawia z kuzynką przez telefon, a ja zastanawiam się nad pytaniem, które przed chwilą mi zadała: *Czy aby odzyskać Franka gotowa jesteś złamać prawo?*

Większość matek stanowczo twierdzi, że zrobią dla swoich dzieci absolutnie wszystko. Pierwotny instynkt macierzyński, rodem z afrykańskiej sawanny, nakazuje chronić swoje młode, nawet za cenę życia tego, kto odważy się je w jakikolwiek sposób skrzywdzić. Ja też zrobiłabym dla Frania wiele. Nie potrafię jednak z pełnym przekonaniem powiedzieć, bym była zdolna do zabicia Filipa albo Zofii. Pozostaje mi jedynie mieć nadzieję, że nie to miała Kama na myśli pod dość szerokim pojęciem łamania prawa.

Wielkie brązowe oczy przyglądają mi się w napięciu. Jestem tak pochłonięta myślami o granicach, których nie przekroczę i nie zauważam, że Kamila właśnie skończyła rozmowę.

– To jak? Jesteś gotowa na wszystko?

– Jeśli trafię do więzienia, to co stanie się z Frankiem? Jestem matką, jego jedynym rodzicem. Nie mogę pozwolić na takie ryzyko.

– Kaja, litości. Przecież nie zamierzam zrobić z ciebie kryminalistki.

– Nie zabiję ich – ogłaszam z pełną stanowczością. – I tobie też na to nie pozwolę.

Histeryczny śmiech Kamy wypełnia wnętrze samochodu.

– Przecież nikogo nie zamierzamy zabijać – patrzy na mnie jak na wariatkę, wpakowując sobie do ust kolejny kawałek kupionej przed chwilą drożdżówki, naszego jedynego od wielu godzin posiłku. – Chyba ci odbiło.

– To po jaką cholere pytasz, czy dla Franka złamię prawo? Kama, ty mnie zaczynasz przerażać. Co jakiś czas zastanawiam się, czy naprawdę mogę ci zaufać. Chwilami mam wrażenie, że tak chętnie angażujesz się w moją sprawę, bo prywatne śledztwo to zawsze jakaś rozrywka, odmiana od nudnych, wielkomięjskich banków.

Obserwuję reakcję Kamy. Jej twarz wykrzywia grymas. Nie potrafię go jednak zinterpretować. Nie wiem, czy zraniłam jej uczucia, czy odgadłam prawdziwe intencje. Przeraża mnie to, jak nieufną osobą się stałam. Kiedyś skoczyłabym za Kamą w ogień, a teraz ciągle analizuję, bojąc się kolejnych rozczarowań.

– Czyli mam się od ciebie odwalić, tak? – pyta chłodno. – Nie ma sprawy. Przepraszam, że chciałam pomóc.

Jest zbyt twarda, by płakać, ale widzę jak jej oczy zachodzą mgłą. Co się ze mną dzieje? Odrzucam pomoc jedynej osoby, na której zawsze mogłam polegać.

– Przepraszam, to nie tak. Ja po prostu panicznie boję się o Franka i nie podobają mi się twoje tajemnicze pomysły zabawy w Sherlocka Holmesa. Muszę odzyskać moje dziecko. Proszę, zawieź mnie na policję.

– Co?

– Tak, powinniśmy tak zrobić już z samego rana. Trzeba jechać i zgłosić porwanie. Policja odbierze Frania Tomczykom, bo to dla niego zupełnie obcy ludzie.

– Z samego rana jeszcze o tym nie wiedziałaś...

– No to pojedziemy teraz – czuję podniecenie, bo wreszcie znalazłam najprostszy, najbezpieczniejszy i najpewniejszy sposób odzyskania synka. – Popatrz, mamy przy sobie nawet ten list! Świetnie się składa. Ruszaj!

Kama nie odpala jednak silnika, tylko wlepia puste spojrzenie w przestrzeń przed sobą. Po chwili odwraca wzrok w moją stronę. Milczy, jakby ważyła każde słowo, które zamierza zaraz wypowiedzieć.

– Twój plan jest genialny w swej prostocie...

– A nie mówiłam! – wykrzykuję podekscytowana.

– ...ale jedyne, co w ten sposób uda ci się osiągnąć, to powrót na oddział zamknięty i gwarancja, że gdy w końcu go opuścisz, nigdy już nie zobaczysz Frania. Kajuś, spójrz na fakty. Jesteś aktualnie na kilkudniowej przepustce ze szpitala psychiatrycznego, do którego trafiłaś po próbie samobójczej. Masz poważne zaburzenia osobowości i urojenia.

– Wcale nie... – protestuję.

– Przykro mi, ale według dokumentacji medycznej jesteś osobą wyjątkowo niestabilną emocjonalnie, stanowiącą zagrożenie dla siebie samej i innych. Franio przebywa ze swoim biologicznym ojcem i jego matką w ładnym, bezpiecznym domu.

– Nie mów tak – obruszam się. – Dobrze wiesz, że Filip nie jest jego ojcem.

– Tak. Ja to wiem i ty to wiesz. Akt urodzenia Franka mówi co innego.

– Ale Zofia nie jest jego babcią. Na pewno ona zajmuje się teraz Franiem, Filip jest zbyt zajęty pracą. Zgłoszę to! Nie chcę, żeby obca osoba opiekowała się moim synem. Na pewno da się coś z tym zrobić.

– W świetle prawa Zofia jest babcią Frania.

– Dlaczego tak mówisz? – łamie mi się głos.

– Bo tak jest. Nie jestem przeciwko tobie. Próbuję ci tylko uświadomić, że nie masz szans odzyskać dziecka na drodze oficjalnej. Wszystkie fakty przemawiają na twoją niekorzyść. Sytuacja jest beznadziejna. Dlatego trzeba działać inaczej. Wiem jaką osobą jesteś, dlatego zapytałam, czy jesteś w stanie złamać prawo, wyjść ze swojej strefy komfortu. W przeciwnym razie zawiozę cię do domu i wszystkim zajmę się sama.

Wybucham płaczem i wtulam się w nią. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam odwdziżyć się jej za wszystko, co dla mnie robi. I że tak dzielnie znosi moje zmienne nastroje.

– Zrobię wszystko, co konieczne, by odzyskać Frania. Ufam ci.

Kama streszcza swój plan. W duchu przyznaję, że jest naprawdę dobry. Owszem, przerażają mnie momenty, gdy będziemy lawirować na granicy prawa, ale pozostaje mi wierzyć, iż cel uświęca środki. Mam ochotę

zapytać Kamilę o jej nieco szemrane znajomości na Hucie, o których nigdy dotąd nie zająknęła się choćby słowem, ale odpuszczam. Czasem lepiej nie wiedzieć zbyt wiele.

Odzywa się komórka Kamy. Natychmiast odbiera połączenie, a ja uważnie śledzę jej reakcję podczas rozmowy. Od tego, co usłyszy w słuchawce, zależy powodzenie całego przedsięwzięcia. Jeśli sprawy nie pójną po naszej myśli, konieczne będzie zmodyfikowanie planu. A czasu mamy niewiele.

Czuję trudną do opisanego ulgę, gdy twarz Kamy rozpromienia szeroki uśmiech. Żegnając się z Moniką, unosi kciuk w górę.

– Dobra nasza. Jest dokładnie tak, jak przypuszczałam. Filip prawdopodobnie przestał pojawiać się w szpitalu i udawać zatroskanego męża, bo czuł, że grunt pali mu się pod nogami, a prawda prędzej czy później wyjdzie na jaw. Od co najmniej kilku dni nie ma go w Polsce.

– Pozostaje tylko liczyć, że nie zabrał Frania ze sobą – wzdycham.

– Raczej nie. – Kama odpala silnik i rusza z parkingu. Rozgląda się uważnie w obie strony i ostrożnie wyjeżdża z drogi podporządkowanej. – Sorki. Pierwsze sekundy jazdy są najgorsze, muszę ekstremalnie uważać, zanim mój mózg zaskoczy, której strony jezdni mam się trzymać. A wracając do tematu, już wszystko ci streszczam.

– Umieram z ciekawości.

– Monia zadzwoniła do Filipa z prośbą, by w miarę możliwości pojawił się w szpitalu, bo nareszcie udało się złapać z tobą jakiś kontakt i wyraziłaś chęć na spotkanie z nim i Frankiem. Słysząc było, że nie jest tym pomysłem zachwycony, ale starał się zachować pozory. Wyjechał do Niemiec na rozmowy biznesowe, ale jak wróci, to skontaktuje się ze szpitalem, żeby ustalić termin waszego spotkania.

– Nie ma go w domu. To świetna wiadomość. Nadal jednak nie wiemy, czy Franek został w Polsce pod opieką jego matki.

– Masz rację, nie mamy takiej pewności, ale wydaje mi się, że gdyby wyjechał z małym, powiedziała by coś w stylu: *wyjechaliśmy z synem*.

– Oby...

– Musimy być dobrej myśli. A teraz wysiadamy. Dotarliśmy do pierwszego przystanku na drodze do odzyskania Franka.

17.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam w sklepie z zabawkami. Wszystkie rzeczy dla Frania byłam zmuszona zamawiać przez Internet. Tutaj czuję się oszołomiona mnogością pluszowych misiów, drewnianych klocków, mówiących lalek, robotów na baterie, nakręcanych pajacyków i niezliczonych kilogramów taniego, chińskiego plastiku we wszystkich kształtach i kolorach. Rozglądam się z ciekawością i jednocześnie staram się pohamować napływające do oczu łzy, bo w tym miejscu, jak w żadnym innym, boleśnie odczuwam nieobecność synka.

– Czy mogę paniom w czymś pomóc? – niewysoka ekspedientka w różowym topie eksponującym dekolt patrzy na nas z wyraźną niechęcią. – Nie chciałabym być niemiła, ale za chwilę zamykamy.

– Wcale nie zamierzamy pani zatrzymywać. Proszę szybko pokazać nam pistolety i będzie miała nas pani z głowy.

– Wszystkie? – w głosie sprzedawczyni słyszę coś na kształt rozpacz.

– Tylko te najbardziej realistyczne. Cena nie gra roli – dodaje Kama nonszalancko i wygląda, jakby całe życie czekała na okazję, by rzucić gdzieś tym nowobogackim i trącącym obciachem tekstem.

Z głośnym westchnieniem ekspedientka rozkłada na ladzie wybrane modele zabawek. Kama po kolei bierze poszczególne egzemplarze do ręki, waży je w dłoni i finalnie, przymykając jedno oko, pociąga za spust. Dziewczyna w różowej koszulce patrzy na nią z jednoczesnym zaciekawieniem i dezaprobatą.

– To dla siostrzeńca – wyjaśnia pospiesznie Kama. – Ma 6 lat.

– Aha. Fajnie.

– A może pani coś doradzi?

– Nie wiem, ja się na pistoletach nie bardzo znam. Klienci najczęściej biorą ten, bo przy strzelaniu wydaje odgłos jak prawdziwy. Niech panie patrzają – pociąga za spust, a zabawka wydaje irytujący dźwięk, porównywalny z wybuchem najtańszego kapiszona.

– My chyba jednak szukamy czegoś subtelniejszego. Dobrze, weźmiemy ten – dodaje po chwili zastanowienia i sięga dłonią po pistolet, który mnie również do złudzenia przypomina prawdziwy. Gdyby ktoś przyłożył mi go do głowy, nawet przez chwilę nie pomyślałabym, że to zwykła zabawka.

– W takim razie poproszę sto czterdzieści złotych. Zapakować na prezent?

– Nie, dziękujemy. Same to zrobimy.

Kama wyciąga z portfela kartę, a ja kładę na ladzie pluszowego misia z łąką na brzuchu. Bardzo podobnego sama miałam w dzieciństwie.

– Proszę jeszcze to doliczyć – mówię, uśmiechając się, bo wyobrażam sobie moment, kiedy wręcę pluszaka Franiowi. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to już naprawdę niedługo.

Drogę pomiędzy sklepem z zabawkami a ślepą, osiedlową uliczką na Nowej Hucie pokonujemy w całkowitym milczeniu. Niezadane pytania i niezłożone wyjaśnienia wiszą między nami w powietrzu, przez co atmosfera w samochodzie mocno się zagęszcza. Zwiększam głośność radia, do naszych uszu wpływają dźwięki wakacyjnego hitu, próbując wypędzić z głów natrętne myśli. Zawarliśmy nieme porozumienie, każda z nas ma prawo do swoich tajemnic, zarówno malutkich, jak i tych zdecydowanie większego kalibru.

Odprawdzam wzrokiem Kame, której cień znika w jednej z dawno nieremontowanych klatek schodowych. Wciskam przycisk blokujący drzwi, bo bez niej czuję się tutaj bardzo niepewnie. Ochrzaniam się w myślach za podtrzymywanie krzywdzących stereotypów na temat tej okrytej złą sławą dzielnicy, ale mimo wszystko nie potrafię przestać nakręcać spirali strachu. Słońce jest już nisko, a szarobure bloki rzucają coraz dłuższe cienie, zupełnie jakby za chwilę wszystko miała pochłonąć wszechobecna szarość. Wystukuję palcami rytm piosenki, ale szybko się gubię, bo nie potrafię skoncentrować się nawet na tak banalnej czynności. Co chwilę zerkam kontrolnie w kierunku, w którym oddaliła się Kama, ale ta nie nadchodzi. Minuty oczekiwania przeciągają się w moim odczuciu w długie godziny.

Powtarzam sobie, że nic mi tutaj nie grozi. Drzwi są zabezpieczone, a przecież żaden lokalny Seba, czy inny Brajan, nie ma powodu, by kijem bejsbolowym lub też zwyczajnym brzożowym patykiem nawalać w szybę. Jestem w dużym, europejskim mieście. Mimo wszystko nie czuję się bezpiecznie. Prawdopodobnie strach pozostanie moim nieodłącznym towarzyszem. Od przeszło roku ciągle czegoś się obawiam, przed czymś uciekam, czegoś desperacko próbuję uniknąć. Nie chcę tak żyć, więc obiecuję sobie, że kiedy to wszystko wreszcie się skończy, zgłoszę się na jakąś terapię.

Niespodziewane uderzenie w boczną szybę powoduje, że zamykam oczy i osłaniam głowę rękoma. Odgłos nie cichnie, a pukanie staje się coraz bardziej natarczywe. Ktoś szarpie za klamkę od strony kierowcy. Podnoszę wzrok, napotykać nerwowe spojrzenie Kamy. Odblokowuję drzwi od środka.

– No nareszcie – mówi Kama, pospiesznie wsiadając do środka. – Co z tobą?

– Wystraszyłam się. Przepraszam.

Przyjaciółka szybkim ruchem zapina pas i przekręca kluczyk w stacyjce. Samochód rusza z piskiem opon.

– A co ja mam powiedzieć? Ostatni kwadrans zdecydowanie nie należał do najprzyjemniejszych w moim życiu.

Wyrzuty sumienia i poczucie odpowiedzialności za Kamę przybierają na sile. Czym jest mój strach, skoro po prostu spokojnie siedziałam w zaparkowanym samochodzie, a ona narażała się dla mnie i mojego syna.

– Czy on? ... Czy ty musiałaś? ... – pytanie grzęźnie mi w gardle i nie jestem w stanie dokończyć zaczętej myśli.

– Miałaś o nic nie pytać. Zrobiłam, co było trzeba. Najważniejsze, że udało mi się to zdobyć. Czasem naprawdę cena nie gra roli – widzę jak przyjaciółka ukradkiem ociera łzę wierzchem dłoni, ale odruchowo odwracam wzrok. Nie chcę myśleć, co wydarzyło się w tym mieszkaniu, choć i tak dobrze wiem, że Kama nie piła tam herbatki podczas przyjacielskich pogaduszek, wspominając wesołe historyjki z przeszłości.

W letnich miesiącach wieczorami ruch na ulicach jest niewielki, więc dość szybko udaje nam się przebić przez miasto. Punktualnie o 20.50 mijamy roгатki Krakowa.

Pocą mi się ręce. Coraz bardziej się denerwuję. Kama prowadzi nerwowo. Widzę, że i ją ta sytuacja kosztuje wiele nerwów. Już wkrótce cała ta fatalna historia z Filipem może się skończyć. Mam szansę na nowe, spokojniejsze życie. Mogę zacząć wszystko od nowa, odbudować relację z Frankiem, wrócić do równowagi. Jest tylko jeden warunek. Teraz wszystko musi pójść zgodnie z opracowanym przez Kamę planem. Wszystko musi zadziałać jak mechanizm szwajcarskiego zegarka. Nie istnieje żadne wyjście awaryjne, jeśli jakkolwiek element nie wypali, nastąpi efekt domina, którego ewentualnych konsekwencji nie chcę sobie nawet

wyobrażać. Tak wiele, a jednocześnie tak niewiele zależy teraz ode mnie. Od mojej determinacji i umiejętności zachowania zimnej krwi.

– Na pewno wiesz, co masz robić? – upewnia się Kama.

– Tak – odpowiadam, choć sama nie jestem pewna, czy podołam zadaniu, jakie mi wyznaczyła.

Nie wiem, czy wypada w takiej sytuacji prosić Boga o pomoc. Zresztą, nie modliłam się już całe wieki, bo po śmierci Wojtka zwątpiłam w istnienie Bożej miłości i sprawiedliwości. Kieruję więc swoje myśli ku zmarłemu mężowi i proszę, by teraz dodał mi sił. Ten jeden raz, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, potrzebuję poczuć jego obecność. Gdziekolwiek teraz jest.

– Boję się. Tak wiele rzeczy może pójść nie tak – mówię.

– Wiem... Ale musimy być dobrej myśli.

Widzę, że chciałaby jeszcze dodać swoje słynne *za jakiś czas będziemy się z tego śmiać*, ale tego nie robi. Dobrze wie, że nie będziemy. To nie niemożliwy do zdania w pierwszym terminie egzamin z mikroekonomii, moralniak po zbyt mocno zakrapianej imprezie, czy nieudana randka. Jeśli wszystko się uda, obie będziemy chciały jak najszybciej o tym zapomnieć.

Według obrazu satelitarnego w odległości jakichś stu metrów od domu Filipa znajduje się niewielki zagajnik. Postanawiamy zostawić tam samochód i pozostałą część trasy pokonać na piechotę. Nie chcemy, by Zofia lub ktoś z najbliższych sąsiadów zauważył auto z wielkim logo wypożyczalni na masce.

Przed opuszczeniem pojazdu Kama związuje swoje rude loki w ciasny, niski koczek, wierząc, że jeśli choć trochę zakamufluje najbardziej charakterystyczny element wyglądu, Zofia jej nie rozpozna. Widziały się przecież tylko dwa razy, a od ostatniego spotkania minęło już prawie dziesięć miesięcy.

Do tylnej kieszeni szortów wsuwam zabawkowy pistolet, a kartonowe opakowanie rzucam pod tylne siedzenie.

– Kurwa – wyrywa się z ust Kamy. – Nie mamy przy sobie przecież żadnej szmaty. Kompletnie o tym zapomniałam. Masz jakiegoś zbędnego ciucha przy sobie? Cokolwiek?

Kręcę głową. Kiedy wychodziłyśmy z mieszkania było upalnie i duszno. Obie mamy na sobie jedynie krótkie spodenki i koszulki bez rękawów.

– Może biustonosz? Albo majtki? – proponuję niepewnie.

Wtedy mój wzrok kieruje się na pluszowego misia, którego kupiłam dla Frania. Wiem, że będzie idealny.

18.

Dziwne uczucie... Stać po drugiej stronie drzwi, za którymi rozegrały się najbardziej dramatyczne momenty mojego życia. Powietrze wokół domu przesiąknięte jest zapachem strachu, łez i zwątpienia. Wybite okno zostało już wprawione i nic z zewnątrz nie przypomina już o piekle, jakie rozegrało się tu raptem kilkanaście dni temu.

Kucam za schodkami tak, bym nie znajdowała się w zasięgu pola widzenia z judasza. Kama stanowczo puka do drzwi, nie dając mi czasu na ewentualną ucieczkę. Zastygam w bezruchu. To dzieje się naprawdę.

Przez chwilę mam wrażenie, że słyszę płacz Frania. Przecież to możliwe. Na górze, w pokoju, który był moją sypialnią, pali się światło. Ktoś tam na pewno jest.

– Pani Tomczyk, proszę otworzyć – krzyczy Kama grubym głosem, akompaniując sobie rytmicznym pukaniem w drewniane drzwi. – Jestem ze szpitala, pani Kaja uciekła, muszę się upewnić, że nic pani nie grozi.

W tym momencie cieszę się, że Filip wybrał dom na uboczu. Tubalny, wyćwiczony w drodze głos Kamy niesie się po ulicy, na szczęście najbliższe zabudowania znajdują się zbyt daleko, by ktokolwiek był w stanie rozróżnić poszczególne słowa.

– Pani Tomczyk, proszę dać znać, że pani i dziecko nie jesteście w niebezpieczeństwie! W przeciwnym razie wzywam policję!

Słyszę szcęk przekręcanego zamka i wiem, że teraz wszystko w moich rękach. Kolejne sekundy będą decydujące. Scena przed moimi oczami rozgrywa się w zwolnionym tempie.

Zofia otwiera drzwi z telefonem w dłoni. Pewnie zamierza powiadomić Filipa o mojej ucieczce, mam nadzieję, że jeszcze tego nie zrobiła. Wyskakuję zza Kamy i celuję pistoletem prosto w jej klatkę piersiową.

– Rzuć na ziemię telefon albo strzelam! – krzyczę.

Zaskoczenie i przerażenie malujące się na jej twarzy to widok, który zostanie mi przed oczami już do końca życia.

– Ale jak to...

Nim Zofia zdąży wydusić z siebie kolejne słowa, Kama sięga do torebki i wyciąga z niej pluszowego misia. Doskakuje do kobiety jednym susem i dociska do jej twarzy zabawkę. Środek usypiający spełnia swe zadanie, po kilku chwilach Zofia bezwładnie osuwa się na podłogę. Telefon wysuwa się z jej dłoni. Zerkam na ekran. Ostatnie połączenie wychodzące zarejestrowano ponad godzinę temu, co oznacza, że nie zdążyła zawiadomić Filipa o niespodziewanej wizycie.

Jestem w szoku. Poziom buzującej w żyłach adrenaliny zaczyna opadać, nogi mam jak z waty, a ciało drży jak galareta, choć zalewa mnie fala gorąca. Kama jest blada i wygląda tak, jakby właśnie zobaczyła ducha. Kto by pomyślał, że dwie spokojne dziewczyny będą zdolne do takiego okrucieństwa wobec starszej pani.

– Gdzie Franio? – pytam bezgłośnie i pędem rzucam się w kierunku schodów. Jeżeli nie ma go tutaj, cały nasz trud poszedł na marne.

Z każdym kolejnym krokiem tracę nadzieję, bo nie dobiega mnie żaden dźwięk, który mógłby świadczyć, że jest tu mój syn. Wbiegam do sypialni. Łóżeczko Franka nie zmieniło swojego miejsca. Podbiegam do niego, zdając sobie sprawę, że to prawdopodobnie jeden z najważniejszych momentów w moim życiu.

Ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu Franio spokojnie śpi, głośno oddychając. Jego małe klatka piersiowa rytmicznie porusza się w górę i dół.

– Odzyskałam cię, synku – szepczę, głaskając go po główce. Mam wrażenie, że od naszego ostatniego spotkania upłynęły długie miesiące. – Kocham cię. Przysięgam, nikomu już nie pozwolę nas rozdzielić. Nikt nigdy cię nie skrzywdzi.

Siadam na podłodze i pozwalam, by łzy płynęły swobodnie. Nie zauważam, gdy do pokoju wchodzi Kama. Obejmuje mnie ramieniem i całuje w czubek głowy. Kiedy staje nad łóżeczkiem i nareszcie ma okazję poznać Frania, zachwyca się tym, jaki jest śliczny.

– Pakuj się, kochana. Musimy uciekać. Nie wiem, jak długo działa ta substancja. Trzeba się spieszyć.

Powinnam teraz wyciągnąć z szafy torbę i włożyć do niej najpotrzebniejsze rzeczy dla siebie i Franka. Powinnam poszukać pieniędzy i kosztowności, które zapewniłyby nam nowy start. Powinnam raz na zawsze zatrzaskać drzwi, zapomnieć o tym, co wydarzyło się za nimi.

Powinnam, ale nie dam rady. Nie ruszę naprzód, nie poznawszy wcześniej odpowiedzi na pytanie: dlaczego?

Powrót do tego domu wyzwolił wszystkie negatywne emocje. Nagle zdaję sobie sprawę, jak bardzo nienawidzę tych dwojga. Jedno jest dla mnie pewne. Oboje w tym cholernym duecie – matka i syn – chcieli, abym cierpiała, choć tak naprawdę nie rozumiem, co nimi kierowało. Nie mam z ich przeszłością nic wspólnego.

Proszę Kame, by przypilnowała Frania i zaczęła przygotowywać nasze rzeczy do wyjazdu. Sama zbiegam na dół. Kieruje mną tak ogromny gniew i poczucie krzywdy, że nie jestem w stanie odepchnąć ich od siebie.

Wiem, że wiele ryzykuję. Nie byłabym jednak w stanie spojrzeć sobie w oczy, gdybym choć nie spróbowała zaspokoić żądzy zemsty. Muszę to zrobić w imieniu Wojtka. Zmarli nie mają głosu.

19.

– Kaju, to naprawdę nie jest dobry pomysł – Kama dzieli każde słowo na sylaby, jakbym była co najmniej niedorozwinięta umysłowo.

Kończę obwiązywać taśmą izolacyjną nogi Zofii, kiedy ta wydaje z siebie niezidentyfikowane dźwięki. Pewnie przez to, że taką samą taśmą wcześniej zakleiałam jej usta.

– Będziesz później tego żałować! – nie jestem pewna, czy mówi to Kama, czy mój wewnętrzny głos rozsądku

– Zajmij się Franiem, o nic więcej cię nie proszę. Idźcie na górę albo zczekajcie w aucie. Nie wyjadę stąd, dopóki nie załatwię spraw do końca.

– Ostrzegałam cię, pamiętaj. Jeśli za pół godziny nie pojawisz się w samochodzie, odjadę – wyprowadza wózek ze śpiącym Franiem przez drzwi balkonowe i oboje znikają w ciemności.

Pół godziny mi wystarczy. Za trzydzieści minut opuszczę to miejsce raz na zawsze, bogatsza o wyjaśnienia. Zofia już się wybudza. Wprost nie mogę doczekać się jej miny. Tym razem, to ja będę górą. Tym razem to ja będę tą, która budzi strach. Ten jeden raz.

Ciągnę teściową po podłodze za jej wielkie, niezgrabne łydki. Nie chcę, żeby leżała w przejściu. Porozmawiamy w salonie jak kulturalni ludzie. Zamierzam posadzić ją w fotelu, dokładnie naprzeciwko mnie. Nie przypuszczałam jednak, że jest aż tak ciężka, więc szybko sobie

odpuszczam ten pomysł. Szkoda tracić cenne minuty. Układam ją w półsiedzącej pozycji, z plecami opartymi o ścianę. Przysuwam sobie krzesło bliżej niej.

Odczuwam dziwną satysfakcję, kiedy patrzy na mnie półprzytomnym wzrokiem. Nie boję się jej, bez Filipa w pobliżu, ze związanymi rękami i nogami, nie jest w stanie mnie skrzywdzić. Może za to udzielić odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Zrywam więc jednym ruchem taśmę z jej ust.

– Nie spodziewałaś się mnie, prawda? Popatrz, jak szybko role się odwróciły. Dzisiaj to ty będziesz tą, która błaga o pomoc.

– Kaja, dziecko, dlaczego uciekłaś? Oni mogli ci pomóc.

– Zamknij się – cedzę przez zęby. – Ja jestem tutaj od zadawania pytań.

Widzę jak Zofia poci się z nerwów. Na jej czole i skroniach pojawiają się niewielkie kropelki, które po chwili spływają kaskadą w dół twarzy. Na policzkach i szyi wyskoczyły czerwone placki. Napawam się tą chwilą. Nie sądziłam, że z taką łatwością wejdę w rolę. Świadomość budzenia postrachu u swojego dawnego oprawcy okazuje się bardzo podniecająca. Przez chwilę żałuję, że to nie Filip leży skulony u moich stóp.

– Czego ode mnie chcesz? – pyta, nie zważając na moje poprzednie słowa.

– Na początek chciałabym po prostu dowiedzieć się, dlaczego postanowiłaś zniszczyć mi życie? Dlaczego nie reagowałaś na przemoc ze strony Filipa? Dlaczego pomogłaś mu wpakować mnie do psychiatryka? Dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy, kiedy widziałaś, że popadam w obłąd? Dlaczego?

– Dlaczego, dlaczego... – Zofia przedrzeźnia mój rozhisteryzowany ton.

– A dlatego, że nareszcie przyszedł doskonały czas na zemstę. Twój pieprzony mężulek przez tyle lat niszczył życie mnie i mojemu ukochanemu dziecku. Nie mogłam patrzeć, jak Filipek cierpiał, ciągle upokarzany przez własnego ojca. I nagle dostaliśmy na tacy to, co dla Wojtka najcenniejsze. Jego żonę i dziecko. Postanowiliśmy zgotować wam piekło, na jakie on sam sobie zasłużył.

– O czym ty mówisz, kobieto? Wojtek był najlepszym człowiekiem, jakiego znałam, a ty i Filip nigdy nie dorościecie mu nawet do pięt.

– O zmarłych się źle nie mówi, ale głównie mnie to obchodzi. Romana nic nigdy nie interesowało, tylko ta jego zmarła Zosia i półsierotka Wojtuś. Ciągle go faworyzował. Nie mogłam znieść cierpienia w oczach Filipa,

kiedy siadał mi na kolanach i pytał, dlaczego tatuś go nie kocha. A wiesz dlaczego? Bo nie był Wojtusiem. Nikt nigdy nie mógł równać się z Wojtusiem. Wojtuś to, Wojtuś tamto, Wojtuś siamto. Myślał, że nie wiem, jak ciągle podburzał ojca przeciwko mnie i Filipowi.

– To bzdury! Wojtek nawet nie wiedział, że nie jesteś jego matką.

– I co z tego? Gówniarz od początku zauważył prostą zależność. Im częściej ojciec wściekał się na Filipa, tym bardziej wielbił Wojtka. Powtarzałam sobie wtedy, że karma któregoś dnia wróci. I wróciła! Ten wypadek spadł nam z nieba. A to, że byłaś wtedy w ciąży, no lepiej sama bym tego nie zaplanowała.

– Kobieto, jesteś chora! – krzyczę jej prosto w twarz, nie przejmując się, że kropelki śliny rozpryskują się na wszystkie strony. – Jak można być tak podłym człowiekiem? Jak można czerpać radość z czyjśgo cierpienia?

– Pytasz *jak*? A co sama teraz robisz?

Nie pozwalałam, by celną uwagą zbiła mnie z pantałyku. Powtarzam sobie, że nie o zemstę tutaj chodzi, a o zwyczajną sprawiedliwość.

– Czyli nasz ślub i uznanie Frania to była tylko część wcześniej ułożonego planu?

– No a co myślałaś? Że ktoś taki jak Filip naprawdę mógłby się zakochać w takim byle czym jak ty? Jak ostatni frajer do końca życia wychowywać cudze dziecko? To mądry chłopak, uczy się na moich błędach. Będzie mu smutno, kiedy się dowie, że zniszczyłaś nasze plany. Tak bardzo się cieszył...

Po raz pierwszy widzę na twarzy Zofii autentyczny smutek. Ona nie boi się tego, co mogę jej zrobić, gdybym wpadła w szal. Nie boi się ewentualnych prawnych konsekwencji, przecież mogłabym nagrywać naszą rozmowę. Jedynym, co teraz ją martwi, jest niezadowolenie Filipa. To chore.

– Nie rozumiem...

– Bo jesteś głupią gęsią i nigdy nic nie rozumiałaś. Filipek miał mnie zabrać na stałe do Niemiec. I zabierze. Będziemy sobie tam żyć razem i już nikt nie będzie nami pomiatał. Chciał przedtem tylko sfinalizować transakcję, ale wygląda na to, że mu się nie uda. Biedny Filip... Oby się nie załamał.

– Jaką transakcję?

– A wiesz co? Powiem ci! Powiem ci, bo tak bardzo cię nienawidzę i chcę, żebyś dowiedziała się, jak bardzo cierpi matka, widząc krzywdę swojego dziecka. Szkoda, że tego nie doświadczysz, ale to, co teraz usłyszysz, sprawi, że każdej nocy będziesz budziła się z krzykiem, a świadomość tego, jak niewiele brakowało, by twój największy koszmar się ziścił, nie pozwoli ci zasnąć do rana. Będziesz obwiniała się jak fatalną matką jesteś, bo swoją bezradnością i biernością sprowadziłaś na syna tak wielkie niebezpieczeństwo. Ale to nie wszystko. Jesteś strasznym mięczakiem, więc ciągle będziesz myśleć też o tym drugim dziecku. O tym, że prawdopodobnie odebrałaś mu szansę na życie. Nigdy już nie zaznasz spokoju! Nigdy! – wrzeszczy, a w jej oczach widzę prawdziwe szaleństwo.

– Jakie drugie dziecko?

– Maleńka, śliczna dziewczynka, której rodzice gotowi byli zapłacić każdą cenę, by ich córeczce udało się przeszczepić nerkę na czas. Wiadomość, że operacji nie będzie, załamała ich. Widzisz ilu ludzi skrzywdziłaś pojawieniem się tutaj? A Franek ma jeszcze sprawne serduszko, wątrobę i inne organy. Zdajesz sobie sprawę, ile dzieci można było uratować?

Wpadam w furję. Jeśli kiedykolwiek zastanawiałam się, czy Kocham Frania, teraz nie mam najmniejszych wątpliwości. Kiedy kopię Zofię na oślep, po twarzy, brzuchu, kończynach, z każdym wyprowadzonym ciosem czuję, że staję się coraz lepszą matką. Taką, na jaką mój syn zasługiwał od samego początku.

Zerkam na zegar nad kominkiem. Zostało mi pięć minut. Nie wykorzystuję jednak czasu do końca. Zabieram z przedpokoju walizkę i zatrząskuję za sobą drzwi.

EPILOG

Uśmiechnięta stewardessa prosi o zapięcie pasów sobie i dziecku, bo za chwilę będziemy podchodzić do lądowania.

Wyglądam przez okno. Londyn tonie w chmurach i mgle. Zaczynam nowe życie, ale nie potrafię jeszcze się tym cieszyć.

Wracam myślami do wydarzeń ostatnich dni i zdaję sobie sprawę, że moja pamięć na odcinku ostatnich trzydziestu godzin jest dziurawa jak ser szwajcarski. Wyraźnie pamiętam tylko demoniczny śmiech Zofii, kiedy z dziką satysfakcją oznajmiała mi o zamiarach sprzedaży Frania na narządy, mój niepohamowany wybuch gniewu i trzask pękających pod stopą kości, pytanie Kamy o to, co się tam wydarzyło i moją jedyną słuszną odpowiedź:

– Każda z nas ma prawo do swoich tajemnic. Już to ustaliłyśmy.

Gdybym miała szczerze przed samą sobą przyznać, co dokładnie zaszło, nie umiałabym. Nie wiem, czy zabiłam Zofię, czy odniosła obrażenia zagrażające jej nędznemu życiu, czy tylko lekko ją poobijałam.

Nie wiem, czy wszystko, co powiedziała mi tego wieczoru to prawda, czy tylko wymyślona na szybko historyjka, której celem było wytrącenie mnie z równowagi. Nie wiem, czy maleńka nerka mojego syna miała uratować inne dziecko, czy to zwyczajne kłamstwo.

Nie wiem, czy Kama musiała przespać się ze swoim byłym chłopakiem kryminalistą w zamian za środek usypiający, czy pójść na jakiś inny, niewygodny układ.

Nie wiem. I z tą niewiedzą będę musiała jakoś dalej żyć.

Kama, wyczuwając moje napięcie, chwytą mnie mocno za rękę:

– Kajuś, widzę, że się boisz. Strach przed nieznanym jest całkiem normalny. Ale nie martw się, zaopiekuję się wami.

Staram się wyrzucić z pamięci moment, gdy usłyszałam te słowa po raz pierwszy. Tym razem nic nam nie grozi. Przecież Kamie mogę zaufać bardziej niż samej sobie, prawda?

W głowie echem niesie się moja ostatnia myśl: *Nie wiem. I z tą niewiedzą będę musiała jakoś dalej żyć.*



SYLWIA BIES

– rocznik 1988. Oświęcimianka z urodzenia i wyboru. Absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zawodowo spełnia się jako stylistka paznokci i nauczyciel szkoły policealnej. Jej największą miłością są książki, dalekie podróże oraz puchate kocury. Prowadzi bloga, na którym relacjonuje swoje zagraniczne wyjazdy. Marzy o odwiedzeniu sześciu kontynentów i niekończących się pomysłach na dobre opowieści.